ŚLIZG

rap * graffiti * breakdance * snowboard * komiks

numer 12 / 96 grudzien 2003 cena 6 PLN (w tym 7% VAT)

ISSN 1425-1760 INDEX 332682

gangstarr ekskluziff

emade

limp bizkit

mat hoffman

dj honda

fenomen

MASS EST.98

ELONKY

łeeee



MOTOROLA

intelligence everywhere

MOTOCLICK





motorola E[illegible]5

zdjęcie jednym kliknięciem
najwyższej klasy aparat cyfrowy
wybierz swoją melodię
polifoniczne dzwonki, kolorowe tapety
na **hellomoto.com**
patrz i podziwiaj
65 000 kolorów wyświetlacza

96

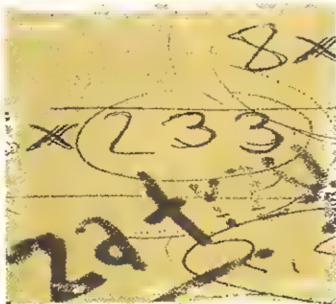
W ŚRODKU



Wydawca - Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o. 00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35, tel/fax +48(prefix)226359874 nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-12177006651

Redaktor Naczelny: Łukasz Kowalski (rednaczkwl@go2.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@wp.pl)
Dyrektor Artystyczny: Grzegorz Forin Piwnicki (forin@wp.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wuzeter@go2.pl)
Redaktor: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@go2.pl)
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (adam.sklad@wp.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Rafał Wielgus, Flintstone, Wiedźma Cessya, Fala, Sebastian Imbierowicz, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak, Sebastian Rerak
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@wp.pl)
Sekretariat: Aneta Haładyj
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi

Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069



Ascetoholix to zespół, który polską scenę rap w ostatnich miesiącach wziął po prostu szturmem. Świetnie przyjęty drugi krążek Apogeum, latające w telewizji i radiu single, z hitem ostatnich tygodni, kawałkiem „Suczki" na czele. Raperzy z Wielkopolski spokojnie osiągają kolejne cele, a jednocześnie...

... a jednocześnie są naszymi specjalnymi gośćmi w tym wydaniu SLG. Przed wami Kris, Doniu i Liber w naszej odsłonie „trzech pytań".



KRIS

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
matma, fiza, muzyka
trzy postacie - bohaterowie:
Skrzetuski, Wołodyjowski, Jeremi Wiśniowiecki
trzy antypatie - leszcze:
politycy, recenzenci, mc bez historii
trzy napoje:
wódka, kubuś, herbata
trzy potrawy:
dziczyzna, wołowina, drób
trzy płyty:
Mack 10 „Mack 10", Outkast „Atliens", M.O.P „Firing Squad"
trzy filmy:
„Prawo Buntu", „Lamot'ta" i mój własny pod tytułem „Życie"
trzy książki:
Biblia, „Trylogia", Paweł Jasienica „Historia Polski"
trzy kolory:
czarny, niebieski, czerwony
trzy cyfry:
111
trzy imiona:
Gandzia, Bletka, Wódka
trzy napisy na murach:
SLD – KGB, Tylko Jezus Cię nie zdradzi, TOY!
trzy dziewczyny:
Angelina Jolie, Jolie Angelina i ta, z którą się spotykam
trzy miejsca:
Oborniki – ul. Armii Poznań, Zakopane i miejsce koncertu!
trzy zainteresowania:
religia, siłownia, rap
trzy gadżety:
Top secret!
trzy ulubione słowa:
mam ich więcej
trzy sukcesy:
siła fizyczna, duchowa i umysłowa
trzy porażki:
brak
trzy plany na przyszłość:
zdrowie, mądrość, spokój
trzy rzeczy ode mnie:
szacunek, pokój albo środkowy palec!



DONIU

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
matma, fiza, chemia
trzy postacie - bohaterowie:
Pan Samochodzik i Batman, a na poważnie Maksymilian Kolbe
trzy antypatie - leszcze:
rozjeb, frajer i debil
trzy napoje:
mineralna, lymbark, wódka
trzy potrawy:
klopsy, de volaille z frytkami, grochówka z bułką
trzy programy tv:
Sonda, Zrób To Sam, Fakty
trzy płyty:
Hi-tek & Talib Kweli „Reflection Eternal", Mike Oldfield „The Songs Of Distant Earth", Dr. Dre „Chronic"
trzy filmy:
„Siedem", „Moulin Rouge", „Wejście Smoka"
trzy książki:
„Lord Jim", „Podręcznik Wojownika Światła", „Tabu"
trzy kolory:
czarny, niebieski, biały
trzy cyfry:
8, 7, 17
trzy imiona:
Dominik, Radosław, Tomasz
trzy napisy na murach:
„Światem rządzą młodzi – jak się postarzeją", „Polski hiphop jest najlepszy!" (30-metrowy napis na spalonej stodole na wsi), „Byłem tu – Tony Halik"
trzy dziewczyny:
Jola, Asia, Klaudia
trzy miejsca:
Oborniki, Poznań, Londyn
trzy zainteresowania
rap, sprzęt A/V, samochody
trzy gadżety:
komórka, keyboard, łóżko
trzy ulubione słowa:
pięknie, jeść!, kocham
trzy sukcesy:
dach nad głową, daję sobie radę robiąc to co lubię, zaufanie innych
trzy porażki:
prawy prosty od ziomka w III klasie podstawówki, zostawiony portfel na dachu samochodu na stacji benzynowej, Politechnika Poznańska
trzy plany na przyszłość:
być zdrowym, być oparciem dla innych, mieć środki i siłę na rozwój
trzy rzeczy ode mnie:
uważajcie na ludzi, poznawajcie ludzi, kochajcie ludzi



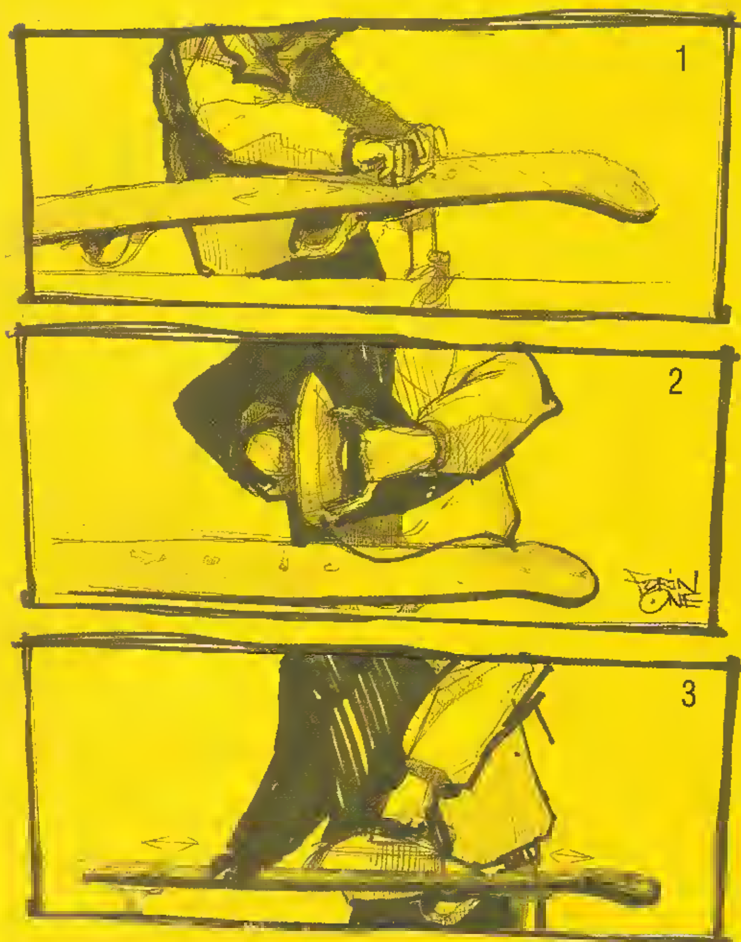
LIBER

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
fiza, chemia, geografia
trzy postacie - bohaterowie:
Bruce Lee, Tygrysia Maska, Thorgal
trzy antypatie - leszcze:
----
trzy napoje:
kawa, sok bananowy, wódeczka
trzy potrawy:
pieczeń z dzika, kaczka z pyzami, jajecznica
trzy płyty:
M.O.P. „Firing Squad", Prodigy (Mobb Deep) „H.N.I.C", Queen (jakakolwiek ich płyta, wszystkie są najlepsze)
trzy filmy:
„Ogniem i Mieczem", „Rocky", „Ring"
trzy książki:
„Ogniem i Mieczem", „Dzikowy Skarb", „Mistrz i Małgorzata"
trzy kolory:
czarny, niebieski, biały
trzy cyfry:
10, 7, 81
trzy imiona:
Stefan, Paweł, Maurycy
trzy napisy na murach:
----
trzy dziewczyny:
brunetka, blondynka, szatynka
trzy miejsca:
Dziupla na Śmiałego, boisko w Bogdanowie, glinianki
trzy zainteresowania:
rybki, „rybki" i piłka nożna
trzy gadżety:
3 komórki
trzy ulubione słowa:
Jest! Gol! Bramka!
trzy sukcesy:
rap, obecny poziom optymizmu, I miejsce w letnim turnieju w nogę
trzy porażki:
u dziewczyny z kwiatami, porażka punto ze sportingiem urbana, okładka pierwszego albumu
trzy plany na przyszłość:
zdrowie, muzyka, język obcy
trzy rzeczy ode mnie:
nie sądź innych samemu będąc winnym, tolerancja, trochę samokrytyki

idea: zrób to sam

temat: smarowanie snowboardu







Dzisiaj postaramy się przybliżyć wam temat smarowania snowboardów. Na pewno wielu z was zimą wyrusza w dalekie góry, by tam oddać się szaleństwu na desce. Aby zwiększyć sobie przyjemność płynącą z jazdy dobrze jest zrobić wszystko, co tylko można, żeby komfort szusowania po stoku był jak największy. Do czynności takich na pewno należy pokrycie ślizgu specjalnym smarem. Dzięki temu wasza deska będzie śmigać dużo szybciej i nie będzie tracić swoich naturalnych właściwości. Szczególnie ważne jest nałożenie smaru. Gdy spodziewacie się dłuższej przerwy w eksploatacji snowboardu - np. po zakończeniu sezonu, wtedy czynność ta jest wręcz niezbędna. Ale teraz, gdy okres zimowy się rozpoczyna, dobre nasmarowanie deski pozwoli wam na osiąganie większych prędkości, lepszą kontrolę nad snowboardem i dzięki temu lepsze triki.

Jest dużo rodzajów smarów, różnią się twardością (trzeba dobrać odpowiedni do śniegu na którym przyjdzie wam jeździć) i sposobem nakładania (są takie, które nakłada się na ciepło lub na zimno - a te dzielą się na: płynne, w paście i w kostce). My proponujemy wam skorzystanie z metody klasycznej, czyli smaru przeznaczonego do nakładania na ciepło. Przyrządem niezbędnym do tej czynności jest żelazko. Można skorzystać z tego, którym mama prasuje tacie spodnie lub wyposażyć się w bajeranckie żelazko z duszą (czyli kupić jakieś firmowe za kupę pieniędzy).

Smary „na zimno" są popularne dzięki swojej praktyczności. Można je stosować bez żadnego urządzenia dodatkowego (wystarczy np. psiknąć sprayem na ślizg i po sprawie). Jednak ich efektywność jest dużo niższa. Dlatego dziś pokażemy wam jak należy smarować snowboard „na ciepło".

1. Przed samym smarowaniem należy dokładnie oczyścić ślizg ze wszystkich brudów i zanieczyszczeń za pomocą cykliny metalowej (możecie poprosić tatę o pomoc lub pytajcie o nią w sklepach z narzędziami) i przetrzeć szmatką z płynem odtłuszczającym (może być coś w stylu „mr.propera") (rys. 1).
2. Kostkę smaru należy przyłożyć do żelazka i - kiedy się roztopi trzeba kapać smarem (tak jak woskiem ze świeczki) na ślizg i w ten sposób rozprowadzić smar po powierzchni ślizgu (rys. 2).
3. Smar, który na razie leży bardzo nierównomiernie, „prasujecie" żelazkiem tak, aby powstała jednakowa warstwa na całym ślizgu (rys. 3).
4. Resztki smaru, wystające poza krawędzie, należy oczywiście usunąć. Można do tego celu użyć plastikowej szpachelki.
5. Po wyschnięciu (ok. godziny - półtorej) nadmiar smaru należy usunąć za pomocą cykliny zeskrobując go po prostu (podobnie jak w punkcie 1).

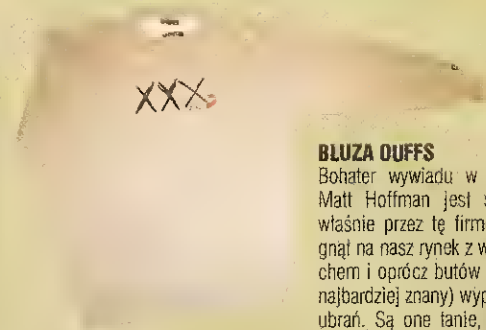
To wszystko, proste - prawda? Teraz należy już tylko cieszyć się nasmarowaną deską i wybrać się na największe stoki i skocznie. Bezpiecznej jazdy! Góry należą do was!!!

bizaar-bazaar



CORMAX 4010 CAMO za 179zł!!!

Firmy Cormax chyba nie trzeba wam przedstawiać. . Cormax i w tym roku postanowił wzbogacić klasyczny model gold o wstawki z materiału CAMO. Tak powstał but jaki widzicie obok. jest on prawdziwym hitem! But wykonany jest z bardzo wytrzymałego, impregnowanego zamszu, na elast.mrozodp.pod. więc wystarczy wam na pewno na dłużej niż jeden sezon. No i do tego ta rewelacyjnie niska... TYLKO 179zł!!! Więcej na www.cormax.info/shop



BLUZA DUFFS

Bohater wywiadu w tym numerze Matt Hoffman jest sponsorowany właśnie przez tę firmę. Duffs wtargnął na nasz rynek z wielkim rozmachem i oprócz butów (z których jest najbardziej znany) wypuścił też serię ubrań. Są one tanie, jak na rzeczy amerykańskie i są dostępne w najlepszych skateshopach.



NOKIA 6600

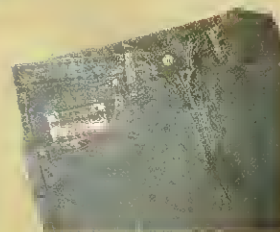
Niby to aparat biznesowy: elegancki, funkcjonalny i w ogóle... Ale chociaż biznesmenami nie jesteśmy, to nowym modelem Nokii się zajaraliśmy. To prawdziwy wypas, ma nie tylko kolorowy wyświetlacz i aparat z zoomem, wyposażony został ponadto w zintegrowaną kamerę. Daje dostęp do poczty elektronicznej, umożliwia pobieranie sporej ilości plików z sieci, a także tworzenie wiadomości multimedialnych. Jest po prostu kozacki! Aha, dzwonić (gdybyście jeszcze mieli na to czas) też z niego można.





KANGURKA METODA

Wieją wiatry, padają deszcze i śniegi, generalnie wesoło nie jest. Zwłaszcza jak leci za kołnierz i ma się mokre plecy. Ale od podobnych niedogodności może wybawić kangurka firmy METODA, która nie przepuszcza niczego mokrego i zajebiście chroni przed wiatrem. Produkowana w kilku kolorach, tutaj macie wersję na wtapianie się w szarość jesiennej nocy. Kilka fajnie umiejscowionych kieszonek pozwoli na schowanie różnych gadżetów, ściągacze uformują fason. Spoko produkt



SPODNIE SYNDROM

Spodenki o wszystko mówiącej nazwie Escobar to szał tej jesieni. Jeżeli chcecie żyć jak legenda narkotykowego biznesu z Kolumbii wystarczy zaopatrzyć się w spodenki Syndrom a reszta pójdzie jak z płatka. Sprawdźcie też stronę: www.syndrom.pl



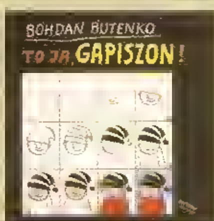
BLUZY BLACKZONE

Firma Blackzone wypuściła kolejne modele bluz, które spodobają się zwłaszcza wielbicielom dużych naszywek. Przy okazji to wdzianko wygodne i ciepłe (co przy jesienno - zimowych wieczorach jest bardzo istotne), zaś szeroki kaptur ochroni wasze głowy od wiatru i mrozu. Utrzymane w różnych tonacjach kolorystycznych pozwolą każdemu dobrać model dla siebie.

GUMOWY BUSH

Oto nielada gratka dla wszystkich, których wkurza polityka prezydenta USA. Jesteś przeciwny tzw. okupacji Iraku? Drażni cię globalny wpływ Stanów na światową politykę i gospodarkę? Nie lubisz komercyjnych produkcji Hollywood? Zemścij się na aktualnym lokatorze-Białego Domu. Oczywiście nie dosłownie, ale możesz kupić gumowego, piszczącego Busha do gryzienia. Dla psów rzecz jasna. Od dziś wieczory w domu mogą ci uprzyjemnić piski maltretowanego prezydenta. No i rozwiązujesz problem gwiazdkowego prezentu dla swojego ulubieńca.





GAPISZON

Szukacie świątecznego prezentu dla młodszego rodzeństwa? Oto gadżecik idealny: przygody Gapiszona. Ekipa SLG z łezką nostalgii w oku wspomina zabawne krótkie historyjki, rysowane przez Bohdana Butenkę, publikowane za czasów naszej młodości w pisemku „Miś". Dzieciakom na pewno będą się podobać, a i może was rozbawi lekko surrealistyczny humor tych komiksów.



ODŚWIEŻACZ POWIETRZA

Tak, drodzy czytelnicy. Nie pomyliliśmy się w nagłówku: ten oto niezwykły gadżet to odświeżacz powietrza o zapachu smażonego bekonu. Idealny prezent dla zaznajomionych wegetarian (Tojba, też taki dostaniesz!) i dla intensywnie odchudzających się grubasów. To właśnie im aromat przypalonej wieprzowiny przypomni co tracą. Pycha!

BREAK DANCE: KONTROLA STYLU

22.XI. (sobota) w Krakowie odbędzie się impreza pt. „Kontrola Stylu 2003". Wszystkie informacje znajdują sią na stronie www.spolem.prv.pl w dziale „imprezy". Możecie już się zgłaszac. W planie konkurs składów (nagroda główna 500PLN), top rock battle, koncerty, afterparty. To na razie tyle, zapraszamy na imprezę, relacja w następnym numerze SLG.



GLOBALNE KOWALSTWO

jesienna rewolucja?

rewolucja jest blisko - zapowiadają na swojej płycie Vienio i Pele. chwilę się nad tym zastanowiłem i... cholera, może rzeczywiście? żyjemy w kraju, w którym określenie „syf" w stosunku do wielu spraw jest czymś niezwykle łagodnym. jakiś czas temu zdziwiłem się, bo zrozumiałem, że gdy słyszymy o czymś, co na całym świecie spowodowałoby nie tylko skompromitowanie jednostki, ale i całego jej zaplecza, politycznego na przykład, to zamiast się tym przejąć, zaczynamy się śmiać, a jak jest trochę więcej czasu, to kombinować, jak też delikwent z tego wybrnie. dzień po dniu, w zwykłych rozmowach przewija się, ile kosztuje ułatwienie czegoś, kto komu za co posmarował, jak coś sobie łatwiej załatwić etc. zdziwienie moje bierze się stąd, że przecież gadamy na przykład o korupcji, rzeczy dość ohydnej, która tak już w Polsce znormalniała, że nikt zohydzony się nie czuje, a raczej uśmiecha się ze zrozumieniem. i rozumienie wcale nie bierze się stąd, że każdy w Polsce daje łapówy, tylko stąd, że każdy już tyle razy o podobnych praktykach słyszał, że zobojętniał, przestało go to dotykać, a może najwyżej śmieszyć. śmieszyć, gdyż jak pokazują przypadki znane z mediów, naród u nas nie tylko podatny na korupcję, ale i głupi. najczęściej bowiem ci wszyscy „mistrzowie" wpadają, bo byli zbyt chciwi albo zbyt pewni siebie. wszystko przejdzie - to już nie tylko hasło programów telewizyjnych komercyjnych stacji, ale powoli określenie tego, co wokół nas.

Polak nie brzydzi się kradzieżą, o czym świadczyć może to, jak rok w rok dostaje po dupie przemysł muzyczny. kiedyś artysta w Polsce sprzedawał po 50.000 płyt, dziś ten sam artysta ledwo osiąga 35.000 i zachwycone towarzystwo wręcza mu złotą płytę. znany producent rapu kiedyś żenił 30.000 kopii, dziś cieszy się i on, i jego wydawca, że udało się opchnąć przykładowo 8.000. ludzie przestali słuchać muzyki? gdzie tam, w życiu - wciąż powstają nowe rozgłośnie radiowe, telewizje muzyczne jakoś żyją, programy telewizyjne w stacjach niemuzycznych też się dobrze mają. jądro biznesu wciąż jest twarde, ale zarabiają albo piraci, albo ci, którym płaci się za korzystanie z internetu, choć oni akurat są bez winy. ciekawe, że rzadko kto przejmuje się tym, że kupując u pirata albo ściągając z sieci po prostu kradnie. dobra, może nie jest to ciekawe, ale tylko potwierdza, że Polak kradzieży się nie brzydzi.

że nie każdy Polak? - uprzedzam ewentualny atak. a nie znacie w swoim towarzystwie nikogo, u kogo na półce bądź na twardym dysku znajduje się polska rap produkcja pozyskana w sposób odbiegający od normy? to gratuluję.

ludzie nie mają co żreć, bo nie ma pracy. nie ma pracy, bo jest jak jest. chcieliśmy kapitalizmu, to mamy kapitalizm... to może uproszczenie, może nie będzie u nas Argentyny, ale lekko jest nielicznym. nawet jak się ogarniasz, masz pracę i płacisz rachunki, to cała galeria dobrych wujków postara się, żeby były odpowiednio wysokie. to niby normalne, ale na życzliwość nie masz co liczyć. działkuj się, bo takie są wymagania. a potem ktoś się dziwi, że jest szara strefa. to kolejne uproszczenie, ale nie trzeba być wybitnym ekonomistą, by zrozumieć, że choć do odważnych świat należy, u nas interesów odważnie robić się raczej nie da. w każdym razie łatwo nie jest, skoro nawet firmy nie możesz zarejestrować od ręki, tylko trwa to Bóg wie ile i Bóg wie po co tak długo.

i mógłbym tak długo, zwłaszcza, że jak każdego dopadło mnie jesienne czarnowidztwo. ale czy „rewolucja jest blisko"?

nie, rewolucja jest daleko. a to dlatego, że w decydującym momencie nikomu nie będzie się chciało. po prostu.

.:KOWALSKI:.



WuDoo 4 DJ's

Chcielibyśmy zainteresować Was udziałem w projekcie WuDoo 4 Dj's, którego celem jest wyłonienie najciekawszych i najlepiej zapowiadających się młodych DJów. Zawody połączone z imprezą na której zagrają WWO oraz Dj'e Deszczu Strugi, Twister odbędą się w Szczecinie 28 listopada 2003 w klubie Słowianin. Organizatorem jest szczecińskie El Paso. Całość składa się z dwóch części:

WuDoo 4 Dj's - eliminacje - każdy z uczestników będzie miał 3 minuty na zaprezentowanie swoich umiejętności w postaci krótkiego setu zawierającego podstawowe elementy techniki. Oczywiście trzeba go wcześniej przygotować.

Koncert wieczorny, w którym wezmą udział:

- WWO
- DJ Deszczu Strugi
- DJ Twister

Finał konkursu - czwórka finalistów spotka się w tzw. „bitwach" i na ich podstawie zostanie wyłowiony zwycięzca.

Zawody będą przeznaczone dla początkujących Djów i nie będą mogli w nich brać udział osoby, które ukazały się na trzech oficjalnych wydawnictwach (płytach).

Zwycięzca otrzyma: mikser VESTAX PMC-05Pro II, kurtkę bejsbolówkę MASS, spodnie i koszulkę MASS, półroczną prenumeratę magazynu Ślizg oraz koszulkę Ślizgu

Kolejne miejsca będą nagradzane ubraniami firmy MASS, koszulkami Ślizgu i prenumeratą naszego magazynu.

Czekamy na wasze zgłoszenia: essa@poczta.fm

Należy je przesłać do 27 listopada. Powodzenia!!!

bizaar-bazaar



FALA

USŁUGI HYDRAULICZNE

Dzisiejszym tematem będzie „kanał". A więc nadstawcie uszu, skupcie się, ale przede wszystkim - i teraz wybrzmi najbardziej pusty slogan - otwórzcie swój umysł. „Open your mind" - wszyscy to słyszeli, wiedzą o co z grubsza chodzi, ale nigdy nie ćwiczyli. No bo jak inaczej wytłumaczyć, że umysły są wciąż zamknięte? Już drugie pokolenie twórców, teoretyków i praktyków hip-hopu powtarza to samo i jak kulą w płot. Kto ma otwarty umysł? Ktoś z was może? Nikt, ale wszystkim się wydaje, że dostali to gratis w pakiecie z genami.

Wywiad z Rahzelem. Pytanie „Co trzeba mieć żeby móc osiągnąć twój poziom?". Odpowiedź: „Przede wszystkim trzeba zacząć słuchać, skupić się, otworzyć swój umysł". No i co zapamiętaliśmy? Nic! Bo, że trzeba słuchać - to oczywiste, w końcu nie chodzi tu o malarstwo. To, że trzeba się skupić - proste, że trzeba się skupić, nie można nauczyć się beatboxu prasując przed telewizorem. To, że trzeba otworzyć swój umysł? Tak jak przerywnik, „you know what I'm saying", czy nasze „kurwa, wiesz" - „otwórz swój umysł" ulatuje naszej uwadze. Nie usłyszymy rady żeby wyjąć watę z ucha jeśli ona tam tkwi, a jeśli nie tkwi, jaki byłby sens tej rady. Kanał!

A czego w ogóle szukamy w wywiadzie... Bez względu na to, po której stronie dyktafonu się znajduję - zadaję sobie takie pytanie. I odpowiadam: ja w wywiadzie szukam przede wszystkim człowieka; jego osobowości, jego poglądów. Szukam czegoś, co zainspiruje. Czekam na hasło, na kanwie którego pleść będę mogła swój osobisty rozwój.

Drugą rzeczą, jakiej szukam jest poczciwy dowcip, czasem skandalik, w każdym razie emocja, jakieś zawahanie, niedopowiedzenie, ryzyko nadinterpretacji. Wszystko, co przeciwdziała nudzie, bawi ale i daje do myślenia, zaskakuje a momentami wręcz oburza - jest czymś mile widzianym w hip-hopie. Żeby nie było, że operuję sloganami, znów wesprę się na ramieniu Rahzela: „W hip-hopie chodzi o zaskakiwanie. O to, żeby opadały ludziom kopary, o show, o zabawę (...) Gdy byłem dzieckiem z nudów zbieraliśmy się na ulicy w kółku żeby freestylować, robić beatbox, tańczyć breaka. Wyzwalało się wtedy mnóstwo dobrej energii". Rozrywka jest z hip-hopem nieodłącznie związana podobnie jak biznes i jak media, w tym komercyjny telewizyjny kanał.

„Druga Twarz" wywołała mega szum już 3 tygodnie przed emisją odcinka o hip-hopie. Znamienne było to, że na 150 wpisów nikt poza jedną osobą nie był poinformowany. W szumie domysłów, spekulacji i żenad, jakie płynęły wartkim strumieniem nikt nie zareagował na prawdę. Prawdziwy kanał, w którym miesza się gówno z przypadkowo zgubionymi perełkami iskrzących myśli, takich jak ta: „a może wiele osób zmieni (po tym programie) swoja słabą dotychczas opinię o hip-hopie. Program przedstawia go w dobrym świetle (...) Może ktoś też zmieni zdanie o prowadzących bo na tym forum wszyscy wszystko wiedzą lepiej", albo ta: „W mediach nie można już nic gorszego zrobić polskiemu rapowi, można mu jedynie pomóc. Poza tym jak pewno wiecie wystąpić musiał ktoś, kto się zna na hip-hopie, a skoro jest prawdziwym hiphopowcem to czy zgodziłby się wziąć udział w chujni?".

Tam, gdzie jest wątpliwość, gdzie jest miejsce na pluralizm osądów, a same osądy nie mają mocy praw ostatecznych, tam należy szukać umysłów otwartych. Choćby nawet stały jedną nogą po drugiej stronie barykady. „Ja nie chcę - nie oglądam. Ludzie chcą - niech oglądają. A co pomyślą o muzyce? Wali mnie to. Ważne, że ja myślę, to co myślę". Ze swojej strony, nie popadając w zbyteczny dydaktyzm, mogę zapewnić, że wszelkie kroki milowe, a ten do takich zaliczam (podobnie jak duet Tedego z Natalią) okupione są godzinami przemyśleń (i to nie tymi spod znaku „ile ja na tym zarobię?" - te trwają krótko). Czy aby na pewno zrobię coś dobrego dla hip-hopu? Czy przynajmniej nie zaszkodzę temu, co kocham od lat? To nie są spontaniczne decyzje z dupy. To odpowiedzialne kroki, które mają pociągnąć i pociągną za sobą zmiany w myśleniu całych rzesz ludzi. I decyzje te podjęli wszyscy, którym to zaproponowano zupełnie niezależnie od siebie. Powiedzieli „tak".

Teraz praca domowa, dla tych, którzy podjęli decyzję o otwarciu swojego umysłu i przeczyszczeniu swoich kanałów na wejściu. Co wy zrobilibyście gdyby wam zaproponowano wystąpienie w „Drugiej Twarzy"? Nie powiem za ile kasy, bo o kasę - jak wszędzie - trzeba walczyć indywidualnie. No, proszę, trzy, cztery - myślcie!

Na koniec: cieszę się, że są fora, bo mimo zakutej głupoty, która tam króluje, ludzie chcąc nie chcąc ćwiczą się w argumentacji i korzystaniu z szarych komórek. Kiedy brak odwagi na powiedzenie czegoś otwarcie w twarz, cieszy, że postęp techniczny daje nam alternatywny kanał komunikacji.

A telewizja rzeczywiście wpuszcza w kanał. Nie wiedzieliście?

.:Fala:.

NAGRODY KKK

Jak co roku Krakowski Klub Komiksu przyznał swoje nagrody za działalność na polu opowieści obrazkowych. Z dumą informujemy, że Ślizg zajął drugie miejsce w kategorii „Czasopismo niekomiksowe publikujące komiksy", zaś Jeż Jerzy - trzecie miejsce w kategorii komiks prasowy. Sukces odnieśli też nasi redakcyjni koledzy, autorzy Jeża Jerzego: Egzorcysta zajął pierwsze miejsce pośród polskich albumów komiksowych, a sam Jeż zdobył drugie miejsce wśród bohaterów opowieści obrazkowych. Rafał Skarżycki zmieścił się na podium dla scenarzystów (3 miejsce), również trzecie zajęła strona internetowa Jerzego. Zwycięzcom i rywalom gratulujemy, sami czujemy się zaszczyceni, a Wam, drodzy czytelnicy, serdecznie dziękujemy za oddane na nasz komiks i pismo głosy. Za rok może będzie jeszcze lepiej!!!

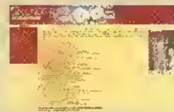
WUWUWU



http://www.x-men.pl/ - Znane niegdyś jako x-avalon. W pełni profesjonalna strona, zaskakująca od wejścia czytelnością interfejsu i częstotliwością aktualizacji. Mamy tu rozbudowane biografie (nie tylko Cyclops, ale i drugoplanowe postacie jak Dazzler czy Forge), doskonałą kronikę komiksów, opisy odcinków animowanych (zarówno TES jak i Evolution), a nawet publicystykę, czy sceny, które nie zmieściły się w pełnometrażowym X2 i gry w postaci romów, z podlinkowanymi emulatorami. Rewelacja. Prawdziwy raj dla fanów.



http://www.derek-lerner.com/ - Inspirujące miejsce, gdzie hip-hop, artystyczna grafika i fotografia, a nawet architektura łączy się ze sobą w bardzo naturalny sposób. Dobra lekcja operowania kolorem, przestrzenią i znakomity esej odnośnie współczesnej sztuki



http://www.wyprawy.pl/reportaze.html - Tym razem bez rewelacji estetycznych, to raczej coś dla marzycieli uwielbiających wyprawy palcem po mapie. Marek Śliwka, jest właścicielem biura podróży o szczególnym profilu. Tu wypad na Antarktydę, przez Brazylię i Argentynę jest na porządku dziennym, a jeśli nawet wycieczka jest w Europę, to w tak zapomniane miejsca jak Albania. Pod linkiem dobre stylistycznie reportaże. Nic, tylko wygrać w totka.



http://www.poznan.hip-hop.pl/ - Wzorcowy przykład tego, jak powinna wyglądać strona o hip-hopie lokalnym. Zawdzięczamy ją Kadzie, utalentowanej organizatorce i producentce (sprawdźcie ją na nowym Feno). Witryna tętni życiem, zawiera wyczerpującą bazę wywiadów, recenzji i notek o najbardziej undergroundowych nawet zespołach, oferuje dostęp do licznych mp3. Rzetelna dziennikarska robota - co więcej, robota obiektywna, daleka od bezsensownych podziałów.

.:flint (cs), thx: oko (nxl9.com, cs):.

OBRAZ



DAWNO TEMU W AMERYCE
Sergio Leone
dystr. ITI video

Sergio Leone, mistrz spaghetti - westernu sławę zdobył trylogią o Bezimiennym z Clintem Eastwoodem w roli głównej. Potem reżyser planował kolejną trylogię, niestety jego zamierzenia upadły. Pierwszy film z cyklu, fenomenalne „Dawno temu na Dzikim Zachodzie" (również ukazało się ostatnio na płycie), nie do końca zostało wówczas zaakceptowane, stąd też druga część cyklu stanęła pod znakiem zapytania. (Wreszcie pojawiła się w formie filmu „Garść dynamitu", ale to już zupełnie inna historia). W końcu po latach udało się Leone nakręcić wymarzone dzieło. „Dawno temu w Ameryce" to po prostu arcydzieło. Prawdziwy wypas dla miłośników kina gangsterskiego, ale także dla wielbicieli kina jako sztuki w ogóle. Epopeja grupy przyjaciół, nowojorskich gangsterów, których współpraca zaczęła się w latach 20. Głównym bohaterem jest Noodles, powracający do NY po latach życia w ukryciu, by jeszcze raz stanąć twarzą w twarz ze swoją przeszłością. Nie można streścić tego dzieła w krótkiej recenzji, po prostu ten film trzeba zobaczyć. Genialne aktorstwo (De Niro, Woods, Pesci), świetne zdjęcia, akcja rozgrywająca się w niespiesznym, chwilami hipnotycznym tempie... Trzeba przyznać, że to prawdziwe dzieło życia Leona (i w rzeczywistości jego ostatni film). Klasyk. (jd)



DOG SOLDIERS
Neil Marshal
dystr. Kino Świat

Grupa żołnierzy, podczas rutynowych ćwiczeń gdzieś w szkockich lasach, znajduje potwornie zmasakrowane zwłoki. Okazuje się, że sprawcami są... wilkołaki, które od lat regularnie nawiedzają okolicę. Szybko też żołnierze przekonują się, że sami również mogą stać się ofiarami potworów. Pozostawieni sami sobie, atakowani przez wilkołaki, dostają się do stojącego samotnie w lesie domu. Tam postarają się przeżyć, choć to wcale nie będzie łatwe... Jeśli ktoś nie lubi horrorów, to takie streszczenie pewnie skutecznie go odstraszy, ale miłośnicy historii krwawych (bardzo!) i przerażających na pewno będą usatysfakcjonowani. Film ma znakomite tempo i odpowiednio mroczny klimat, choć przy tym nie ucieka od humoru. Mnie dodatkowo urzekł jego realizm (o ile można tego słowa użyć opisując film fantastyczny): gdy kończy się amunicja, żołnierze używają tego, co akurat mają pod ręką, nikt przypadkowo nie znajduje pocisków taktycznych w piwnicy. Nikt też nie próbuje na siłę wytłumaczyć niewytłumaczalnego: wilkołaki po prostu się pojawiają, tak jak to miało miejsce od lat. Zresztą takie było założenie: mamy poczuć się jak bohaterowie filmu - zdezorientowani i przerażeni. I w czasie całego seansu poziom adrenaliny rośnie, a samo to już wystarczy, żeby ten film wyróżnił się z setki horrorów, które ostatnio zalewają półki wypożyczalni video. (jd)

FLINTSTONE

Bauns w Babilonie

Ciekawy tego, co Chaciński (Bartek, nie Michał. W ostatnim felietonie omyłkowo przypisałem zresztą Michałowi słowa, które wypowiedział Mateusz Werner. Przepraszam) ma do powiedzenia o trzeciej części Matrixa, przejrzałem sobie 44 numer magazynu Przekrój. Materiał owszem ciekawy, ale znalazły się wieści ciekawsze. „Hiphopowcy Tede —i O.S.T.R. pojechaliby do Babilonu nawet na własny koszt. Już zgłosili się do MON-u. - Słyszeliśmy, że chłopcy w Iraku chcieliby usłyszeć właśnie tych wykonawców - wyjaśnia Tytus".

Cóż, korzyści Polski z „pobytu" naszych wojsk w Iraku powinny być wymierne - polskie firmy dostaną odpowiednie kontrakty (choć jeden, zupełnie intratny, niedawno umknął - traktory w Iraku będą białoruskie, nie nasze), co poniektórzy zaczęli po raz pierwszy zauważać Rzeczpospolitą na mapie politycznej świata (a przynajmniej wielu terrorystów dowiedziało się i dobrze zapamiętało gdzie leży), Amerykanie w przypływie wielkopańskiej łaski anulują część długów, a może nawet postawią system obrony przeciwrakietowej. Ekonomia i dyplomacja raczej zyska, nieco gorzej rzecz wygląda pod względem moralnym - międzynarodowa prasa, a i niektóre krajowe tytuły nie wahają się użyć słowa „okupacja". Cóż, ile by się nie mówiło o tym jak to nasi dzielni wojacy niańczą tubylców i jak to polsko-iracka miłość (niedługo dowiem się pewno, że Mickiewicz nosił turban, a Wisła jest dopływem Eufratu) nie kwitnie, de facto okupujemy pokaźną część kraju. Nie bronimy naszych ziem, wysłaliśmy tam żołnierzy, którzy wykazali wyraźną wolę. Wysyłamy ich z czystego wyrachowania. Chłopaki dostaną prawdziwą amunicję, z której u nas strzelają rzadko, bo nas nie stać, i pensje, o których nasze intelektualne elity mogą tylko pomarzyć. Mają też podobno doskonałe wyżywienie - Wyborcza donosiła, że za polską rację żywnościową można utargować mundur Marines. Przyjeżdżają do nich sławy polskiej estrady. Steczkowska już była i rozpływała się, że wyposzczeni (oczywiście kulturalnie) żołnierze, patrzyli na nią (ooooooch) nie tylko jak na artystkę, ale również, a może zwłaszcza (mrrrrrrau) jak na kobietę. Teraz być może popatrzą sobie na Ostrego i Tedzia.

Kwestionować talentu tej dwójki nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie, przynajmniej pod względem warsztatowym. To indywidualności z dużą dawką buntu. O.S.T.R. pierdoli polityków (policję i wiele innych rzeczy również), co podkreśla na każdym swoim występie. Tede zawsze w wywiadach deklarował obrzydzenie wobec politycznych układów. Ciekawe, dlaczego niebieski mundur wywołuje niechęć, zielony (czy też piaskowy, nie wiem jaki jest strój naszych żołnierzy w Iraku, ale z góry jestem za tym, żeby wysłać do nich Arkadiusa, na pewno zmieni wojaków w szeherezady - kwiaty pustyni) zaś już jest fajny. Ciekawe, dlaczego inteligentni ludzie pchają się w skrajnie polityczną szopkę, jaką jest ten występ, wręcz proszą się MON-u o wyjazd na własny koszt (czyli nie chodzi tu o pieniądze). Co to za radość grać dla brygady spoconych osiłków przy niespecjalnym nagłośnieniu w potwornym upale i jeszcze nie wiedząc czy jest się bezpiecznym? „Na raz wszyscy karabiny w górę", „Wszystkie gorące ziomy rzucają mundury na scenę", „Baunsujemy z pagonami, na trzy cztery wszyscy wrzeszczą Saddam zdzira/wolny Irak". A może Ostry chce przeprowadzić specjalny odcinek „Yo! Mtv raps"? Mógłby przetykać transmisję z koncertu dziesiątkami kawałków z amerykańskiej rap-sceny przeciwstawiającymi się wojnie. To by była prawdziwa rap awangarda. I zakończyć specjalną wersją „Kochana Polsko", dedykowaną tragicznie zmarłemu Majorowi. Tede zaś mógłby chwalić się, że jego nagrania bootleguje się już nie tylko w USA, ale i w innych strefach kulturowych (ciekawe co by mu obcięli, za parę tekstów na Buhhu, w takiej np. Syrii).

Tak sobie myślę, że warto by też wysłać Gurala. On, stary prowojenny militarysta, z całą pewnością wiedziałby jak wygląda francuska rakieta Roland i kiedy się ja produkowało. Albo posłać cały Gib Gibon, Wujek Samo Zło podpisuje się czasem Osama, myślę że miałoby to wiele komizmu sytuacyjnego i chłopaki w koszarach zlaliby się ze śmiechu. Zwłaszcza, że telewizje z całego świata pokazywały, iż lubią wypić (kto nie lubi?), a potem ma się zwykle zajebiście dobry humor (ja nie mam).

No nic, mam nadzieję, że rapowa dwójka zrealizuje swoje życzenie i wybiorą się na koncert. Przy błogosławieństwie George W. Buhha, przepraszam, Busha. Przy okazji Tedzik i Ostry mogą pozwiedzać - to obszary najstarszych na ziemi cywilizacji, w niektórych muzeach pustoszonych systematycznie na oczach armii amerykańskiej może coś nawet jeszcze zostało. Jak to rymował Kazik? „Brązowe buty dla całej grupy / Wojsko czeka, wzywa z daleka".

.:Flint (CS):.



BYLIŚMY NA...

...Międzynarodowym Festiwalu Komiksu w Łodzi. Oj działo się, działo. Przyjechali goście: Pat Mills i Clint Langley, tworzący aktualnie nowe przygody Slaine'a, autorzy zajebistego serwisu internetowego Borderline, Zbigniew Kasprzak, promujący swoje nowe komiksy i wielu, wielu innych. Na zdjęciu powyżej siedzą m.in. nasi koledzy od Jeża, a także Jarek z serwisu wrak.pl oraz Piotrek Kowalski, autor Gaila. Jak zwykle na łódzkim festiwalu: pełen wypas dla fanów komiksu, a także mocna nocna impreza, na którą niestety w tym roku nie dotarłem, ale podobno było nieźle... Dzięki dla Jarka i Warlocka, który zrobił foto.



BISLEY - errata

No cóż, pisząc do poprzedniego numeru artykuł popełniłem błąd (z bólem przyznaję, że nie jedyny - patrzcie: Hjadpark), twierdząc, że Simon nosi długie włosy. Okazało się, że to przeszłość... Bisley postanowił pozbyć się swoich piór, o czym donoszę dzięki uprzejmości (i wnikliwości) Filipa Myszkowskiego (dzięki!!!). Co prawda krótkie włosy nie ujmują Bizowi talentu, ale mimo wszystko trzeba własne błędy naprawiać. Kubanos

KOMIKSOWE NOWOŚCI

W październiku ukazało się sporo nowości (recenzje części z nich pojawią się w najbliższej przyszłości). Egmont: 32 grudnia (drugi tom nowej trylogii Enki Bilala), Antresolka Profesorka Nerwosolka, Cygan tom 6. Aztecki śmiech, Dziedzic tom 4, Gail tom 4. Kamienie, Dziedzictwo Green Lanterna, Gunsmith Cats tom 2, Kajko i Kokosz. Woje Mirmiła cz. 2, Piotruś Pan tom 5. Hak, Sandman tom 5. Kraina snu, Skrzydła seralina tom 2, Strażnicy tom 2, Top 10 tom 1, Trolle z Troy tom 4. Pierwotny ogień, Trust. Historia choroby, Tymek i Mistrz tom 3. Strachy na lachy, Wyprawa tom 4. Mandragora: Darkness #2, Obywatele w miłosnych uściskach, Szminka, Usagi Yojimbo tom 1. Ronin, Wolverine/Hulk #2. Post: V jak Vendetta tom 1. Kultura Gniewu: Bajki urlackie, Kic przystojniak. Bestia znad Wisły, Redaktor Swędak czyli sztuka wywiadu. Graficon: Arena #10, Karsten Storož. JPF: Chobits tom 3, Dr Slump tom 23, Magiczni Wojownicy - Slayers tom 3. Inne: Ciach Bajera 2, Fastnachtspiel część 1, KKK nr 3/2003, Produkt nr 19, Przebudzenie legendy akt 1. Dziewanna. Świat kropli tom 1. Sommo, Zło tom 1.

bizaar-bazaar

SŁOWA, SŁOWA, SŁOWA...



ODLOT
Nick Mc Donell
wyd. Prószyński

W chwili wydania książki debiutujący autor miał siedemnaście lat. Podobno oparł fabułę na wydarzeniach z własnego życia. Ale tak naprawdę to nieistotne. „Odlot" to krótka opowieść z kilku dni życia nowojorskiej młodzieży. I to raczej nie z Brooklynu, tylko dzieciaków z dobrych, bogatych domów. Centralną postacią jest Biały Mike, dealer (sam nie bierze), który właśnie takim dzieciakom sprzedaje towar. Na brak klientów narzekać raczej nie może, tym bardziej, że zbliża się Sylwester, więc wszyscy chcą się dobrze zabawić. Ale w tle przewijają się również inni bohaterowie: od cichych licealistów po drobnych gangsterów. Wszyscy - w taki czy inny sposób - staną się uczestnikami tragedii, do której nieuchronnie zmierzają wydarzenia. Trudno streszczać tę powieść. Formalnie przypomina mi ona znakomity film Gusa Van Santa „Słoń", w którym kamery śledzą poszczególnych bohaterów, skupiając się na ich odczuciach, a mniejszy nacisk położony jest na akcję. Tak jest też w powieści McDonella, obserwujemy konkretne postaci, ich wpływ (a czasem jego brak) na następujące po sobie wydarzenia. I to co dzieje się w ich głowach jest tutaj najważniejsze. Ta książka jest jak kula z pistoletu: szybka, gwałtowna i boli. Ale warto ją przeczytać, bo to nie tylko opis rzeczywistości. To przede wszystkim ostrzeżenie. (jd)



OSTATNI BOHATER
Terry Pratchett
wyd. Prószyński i s-ka

„Ostatni bohater" to kolejna opowieść ze Świata Dysku, w ktorej pojawia się czołówka stworzonych przez Pratchetta postaci: nieudany czarodziej Rincewind, strażnik miejski Marchewa oraz Cohen Barbarzyńca ze swoją Srebrną Ordą. I to właśnie ten ostatni jest motorem napędowym historii: dochodzi bowiem do wniosku, że skoro Pierwszy Bohater ukradł bogom ogień, to Ostatni (a nadchodzi zmierzch barbarzyńców i Cohen musi być tym, który zostanie zapamiętany) go bogom odda. W związku z tym Srebrna Orda - z beczką wypełnioną materiałami wybuchowym - udaje się do siedziby bogów. Jednak jej wysadzenie grozi zniszczeniem całego pola magicznego i - co za tym idzie - zagładą Dysku. A powstrzymać szalonych barbarzyńców może tylko specjalna ekipa, w której skład wchodzą wspomniani Rincewind i Marchewa oraz wybitny wynalazca Leonard Da Quirm, a także, całkiem przypadkowo, Bibliotekarz Niewidocznego Uniwersytetu. To taki tradycyjny Świat Dysku: zabawny, dynamiczny (tym razem krótszy niż poprzednie części), niegłupi. Ale to wydanie jest szczególne, niemal jak album, opatrzony licznymi, znakomitymi ilustracjami Paula Kidby'ego. Dzięki niemu świat stworzony przez Pratchetta nabiera wyraźniejszych kształtów. Warto. (jd)



LUNGA LA STRADA
Andrea Rigano

Znakomity album - zbiór zdjęć autorstwa pankowego fotografa, Andrei Rigano. Jako, że Andrea jest Włochem, fotki tu zamieszczone pochodzą z kilkudziesięciu koncertów zespołów pank, hard core, emo, ska i oi! jakie odbyły się wzdłuż i wszerz całej Italii. Łatwiej byłoby wymienić nieobecnych, niż wszystkich tych, których zdjęcia pojawiły się w tym albumie. Kogo my tu mamy? Bad Religion, The Vandals, Misfits, Atari Teenage Riot, Agnostic Front, Klasse Kriminale, Bouncing Souls, Lagwagon, Avail, Dropkick Murphys, 25 Ta Life, Derozer... Wystarczy? Technika wykonania fotek bardzo zróżnicowana, jakość niezmiennie świetna. Piękna rzecz, choć w Polsce raczej nieosiągalna. Wyjściem będzie sprzedaż wysyłkowa lub jakiś krewny we Włoszech. Aha, tytuł jest tłumaczeniem na włoski tytułu piosenki „Along The Way" Bad Religion. To dla wiadomości ciekawskich, a z italijską mową nie zaznajomionych. /SR/



SMOCZY PAZUR
Artur Baniewicz
Wyd. Supernowa

Na końcu książki można przeczytać informację, w której widnieje, że autora do napisania tegoż zbioru opowiadań zainspirował fakt, że Andrzej Sapkowski postanowił zakończyć cykl o wiedźminie. Szczerze mówiąc po przeczytaniu „Smoczego Pazura" stwierdziłbym to samo. Podobieństw do Sapkowskiego jest tu tak dużo, że głowa mała, i nie są to wcale pozytywy tego „dzieła". Przez cały okres zapoznawania się z tą lekturą miałem nieodparte wrażenie, że pan Baniewicz kseruje ze swojego bardziej znanego kolegi jak tylko może. Po pierwsze język jest bardzo podobny, po drugie fabuła często nawiązuje do baśni i legend, a po trzecie główny bohater ma wiele cech Geralta. Żeby chociaż opowiadania trzymały w napięciu i były ciekawe (tak jak u Sapkowskiego)... Gdzie tam, tu akurat podobieństwo się kończy, wszystko tu jest nudne, raczej bezbarwne, a zakończenia są bardzo łatwe do przewidzenia. Jeżeli zdecydujecie się na kupno jakiejś książki w życiu, to radzę żeby nie był to „Smoczy pazur".



TROPEM KAMELEONA
Eugeniusz Dębski
Wyd. Fabryka Słów

Po dwóch książkach opowiadań o Hondelyku - sympatycznym wojowniku, który może przybrać każdą ludzką postać i jego przyjacielu Cadronie nadszedł czas na trzecią, tym razem pełnowymiarową powieść. Jest jednak książka inna niż pozostałe. Oprócz zasadniczej różnicy, jaką jest forma literacka (poprzednie były jak wcześniej nadmieniłem zbiorami opowiadań), to dzieło jest inne od pozostałych pod innym jeszcze względem. Tym razem prawie do końca nie wiadomo kto naprawdę jest tu głównym bohaterem. Dziwne - prawda. W ogóle „Tropem Kameleona" jest książką inną niż pozostałe powieści fantasty dostępne na rynku. Tutaj mamy do czynienia z czarnym kryminałem dziejącym się w świecie magii i miecza. Rzecz jest następująca - groźny i wielki monarcha wynajmuje słynnego maga do znalezienia kameleona, czyli Hondelyka. Jednak tak naprawdę nie wiadomo czy czarownik jest tym za kogo się podaje, czy tytułowa postać rzeczywiście jest zła oraz jakie są motywy króla. Akcja trzyma w napięciu, z rozdziału na rozdział tajemnic jest coraz więcej, więcej rozwiązanie zadziwi niejednego z was - słowem książka warta polecenia.

DO KINA W GRUDNIU



TAM, GDZIE ŻYJĄ ESKIMOSI
reż. Tomasz Wiszniewski
wyst. Bob Hoskins, Sergiusz Żymełka, Krzysztof Majchrzak

Akcja filmu rozgrywa się w powojennej Bośni. Borsuk - zajmuje się kupowaniem dzieci i przewożeniem ich do Polski. Podczas jednej z akcji poznaje sierotę – Vlada. Wspólna podróż przez Bośnię pełna niebezpieczeństw i pułapek staje się okazją do nawiązania przyjaźni między dorosłym, samotnym mężczyzną i chłopcem. W kinach od 5 grudnia.



S.W.A.T. JEDNOSTKA SPECJALNA
reż. Clark Johnson
wyst. Samuel L. Jackson, Colin Farrell, Olivier Martinez, Michelle Rodriguez

Jim Street, były członek grupy operacyjnej S.W.A.T., który wraz ze swoim partnerem Brianem Gamble wyrzucony został z szeregów oddziału w konsekwencji kontrowersyjnej decyzji, którą obaj podjęli podczas akcji odbicia zakładników z rąk przestępców. Gamble zniesmaczony i zniechęcony porzuca służbę, ale Street, dla którego służba w policji to całe jego życie, zgadza się na degradację, mając nadzieję w głębi duszy, że pewnego dnia dana mu będzie szansa odkupienia swoich win i jeszcze raz z dumą będzie mógł założyć mundur elitarnych jednostek S.W.A.T. Zajebista obsada! W kinach od 5 grudnia.



MEDALION
reż. Gordon Chan
wyst. Jackie Chan, Claire Forlani, Julian Sands

Historia detektywa z Hongkongu i agntki specjalnej z Wielkiej Brytanii na tropie działających na terenie Azji i Europy przemytników. Bohaterowie muszą rozwiązać zagadkę tajemniczego medalionu. Jak to w filmach z Jackie Chanem: możemy spodziewać się leciutkiej fabuły i niesamowitych popisów aktora - akrobaty. W sam raz żeby strawić świąteczny obiad. W kinach od 26 grudnia.



OD NAS DLA WAS!

Chcemy robić wszystko, żeby Ślizg był jak najlepszy, w związku z tym urządzamy mini-konkurs. Obok widzicie okładkę, jest to wersja, która przegrała rywalizację z okładką bieżącego numeru. Ale postanowiliśmy wam ją pokazać , bo chcemy, żebyście ocenili, która waszym zdaniem jest lepsza? Ta obok, czy okładka magazynu, który właśnie czytacie? Dlaczego?? Co byście zmienili lub pokazali? Czekamy na wasze odpowiedzi, przysyłajcie je na adres redakcji lub nasze e-maile - kontakt jak zwykle w stopce na trzeciej stronie. A najciekawsze wypowiedzi nagrodzimy płytami. Więc do dzieła!



600V
RZECZ O MEDIACH

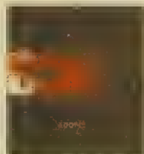
Media. To dopiero temat. Wraz z nadejściem wolnego rynku od niedawna kształtuje się w kraju nowy obraz mediów. Co dają media w dzisiejszym świecie? Pieniądze i władzę czyli to, czego każdy chce tak dużo jak tylko się da. Jedni chcą kontrolować media, inni chcą zarabiać na mediach jeszcze inni chcą zarabiać dzięki mediom.

Jakkolwiek tego nie nazywać i tak zawsze chodzi o pieniądze. W wyścigu po hajs niektórzy „łapią zająca" jak np. Rywin i jego team. W wyścigu po oglądalność inni serwują nam polskie edycje prawdziwych telewizyjnych rarytasów w stylu talk-show--reality-true-contest-tv-shit. Te programy to bardzo cwany sposób na telewizję. Koszt zamknięcia kilku osób w budynku i filmowania wszystkich mądrości, które przyjdą im do głowy jest bardzo mały. Chętnych nie trzeba daleko szukać, bo ludzi, którzy zapłaciliby nawet za możliwość popajacowania przed kamerą jest i tak więcej niż przypuszczasz bez względu na to jak wielka wydaje ci się to w tym momencie liczba. Bez pisania skomplikowanych scenariuszy powstają godziny programu bo scenariusze i dialogi jakich nie wymyśliłby niejeden spec od komedii rodzą się w głowach uczestników bez przerwy i za darmo. Na przykład w jednym z tego typu programów, w którym kilkadziesiąt dziewczyn robi wiochę bez zahamowań konkurując na oczach widzów o względy elegancika zwanego kawalerem padła opinia, która mnie tak rozbroiła jak zaniepokoiła. Jedna z konkurentek - długowłosa blondi stwierdza, że „jedzenie sushi jest jak bycie z dojrzałym mężczyzną". Nigdy już sushi nie będzie mi smakowało tak jak wcześniej. W zasadzie to nawet nie wiem czy powinienem je jeszcze jeść. Inna wyraża oburzenie, że elegancik umawia się na randki z konkurentkami (bo chyba nie przyszła jej do głowy taka możliwość gdy zgłaszała się do programu). Tylko kręcić i emitować. Kiedyś podobnej rozrywce służył program „Z kamerą wśród zwierząt", ale telewizja jak i sport stają się coraz bardziej ekstremalne i dziś możemy oglądać już obyczaje godowe ludzi. Weźmy inny program. Tutaj serwisanci i rzemieślnicy różnych kategorii biorą udział w naprawianiu bądź instalowaniu / obsłudze najróżniejszych urządzeń w sytuacjach zaaranżowanych przez autorów programu. Co się okazuje? mniej niż 10 % „gości" programu ma jakiekolwiek pojęcie o swojej pracy! Skłamałbym, twierdząc zatem, że tego typu programy są bezużyteczne czy nieciekawe. Jak dotąd nie miałem szansy zaobserwować tak dogłębnego studium naszego społeczeństwa a przynajmniej jego części. Mieszkam w betonie, mam zamknięte grono przyjaciół i nie miałem dotąd szansy zaobserwować tylu Polaków na co dzień. No, może nie na co dzień, bo wiadomo, że przed kamerą każdy stara się wypaść lepiej a i nie byle-osobnik ma szansę przed łą kamerę się dostać, bo przecież trzeba przejść jakieś eliminacje, żeby pojawić się na ekranie mojego telewizora. Fakt. Jeśli jednak nawet przyjąć, że ludzie prezentowani w „żywej telewizji" stanowią miarodajny obraz populacji a nie co lepsze wyłowione z niej kąski sytuacja i tak nie napawa optymizmem. Polacy nie są narodem ludzi mądrych ani inteligentnych. To źle. To bardzo źle. Choć od dawna przewidywałem, że tak właśnie jest cykliczne programy bazujące na pokazywaniu zwykłych Polaków w akcji utwierdziły mnie w tym przekonaniu a pieczątkę na tym sprawozdaniu przybił narodowy test inteligencji. Jak się okazało przeciętny Polak ma IQ w okolicach 100 czyli mniej więcej o 10 mniej niż przeciętny Anglik. Jakim cudem mielibyśmy zatem wygrywać z nimi w rozwoju gospodarczym, przemysłowym czy kulturalnym???? Co więcej okazało się, że w klasyfikacji państw kandydujących do członkostwa w Unii europejskiej Polacy po raz kolejny pokazali się z właściwej strony. Unijni inspektorzy okrzyknęli nas najgorzej przygotowanym do członkostwa krajem. Należy być szczęśliwym, że w grupie kandydatów nie ma Bułgarii czy Albanii, bo możemy mieć choć promyk nadziei, że nie jesteśmy najgorszymi matołami w Europie. Sądzę jednak, że pod względem nieprzygotowania do czegokolwiek moglibyśmy prześcignąć nawet i Bułgarię z Albanią. OK. Co ma z tym wspólnego hip hop? Teraz uważajcie:

MOIM ZDANIEM gdyby jednym z kryteriów oceny gotowości Polski do wstąpienia do unii był stan HIP-HOPU w danym kraju zajęlibyśmy pierwsze, drugie i trzecie miejsce a cała reszta nie byłaby nawet w stanie powąchać naszych spalonych opon. My (polscy producenci, dj'e, emce, writerzy i b-boye) jesteśmy pierdolonymi profesjonalistami a nie amatorami, turystami, ignorantami, frajerami i pseudo-cwaniaczkami jak cała ta reszta ludzi odpowiedzialnych za nasz kraj.

.:600V:.

mój mail: piszcie@yahoo.com



ROZWIĄZANIE KONKURSU 600V

Elo! Płyty DJ 600 V otrzymują: Halina Młynarczyk (Rzeszów), Paweł Turek (Warszawa), Michał Kowalczyk (Kraków), Sylwia Majak (Opole), Kuba Fręczak (Gdynia), Sylwester Jakubiak (Warszawa), Karolina Nasielska (Gorzów Wlkp.), Radek Terpich (Koszalin), Grażyna Pawlak (Wrocław), Leszek „Jedi" Michalak (Szczecin). Gratulacje! I oczywiście odpowiedzi: W pierwszym teledysku z płyty 600C rapuje Tede. 600C jest piątą płytą Volta. I wydał ją Terror Muzik. Proste było? Proste. Zapraszamy do udziału w kolejnych konkursach!

GAME OVERload



Max Payne2: The Fall of Max Payne
(Remedy Entertainment/Take-Two Interactive)

Pamiętacie pierwszą część Maksa? Mrocznego policjanta, któremu zabito żonę? Fani bardzo długo czekali te grę, podnieceni informacjami na temat jej grafiki, bullet time'u itp. Czekanie się opłacilo, pierwszy Max Payne powalil niejednego na kolana. Grafika przeszla najśmielsze oczekiwania, zwlaszcza czarny, skórzany płaszcz Maksa, falujący podczas biegu, bullet time - teraz obecny w co drugiej grze - rozkochal w sobie dokladnie wszystkich, komiksowe wstawki tez zrobily swoje (zwlaszcza ta, w której Max orientuje się, że jest... bohaterem gry komputerowej!). No i oczywiście mroczny klimat samej gry.

W związku z tym, gdy pojawily się pierwsze informacje o pracach nad drugą częścią gry, nieźle zawrzało w sieci. Zwlaszcza wtedy, gdy pojawily się pierwsze screeny, jak Max ma wyglądać, a byl - delikatnie mówiąc - niezbyt podobny do tego z pierwszej części. Jednakże wszystkie obawy rozwialy pierwsze filmy pokazujące grę, zaś dziś już swobodnie możemy pójść do sklepu i kupić sobie dwójeczkę, choć bez polskiej wersji językowej, czy różnych dodatków (ale na to przyjdzie czas, dajmy trochę czasu twórcom modów).

Co nas czeka w Max Payne2: The Fall of Max Payne? Akcja rozgrywa się jakiś czas po wydarzeniach z pierwszej części, Max się pozbierał, znowu jest cenionym policjantem, zostal nawet policjantem roku. No i poznal Monę Sax, kobietę, która zawladnęla jego sercem. Ale niestety w życiu jest zawsze tak, że coś musi nie wyjść. Kumpel Maksa, tez policjant, zostaje zabity i podejrzenia padają na Payne'a, któremu nie pozostaje nic innego, jak znowu zacząć walczyć o swe dobre imię. Ma na to zaledwie kilka dni. Niestety, w morderstwo najprawdopodobniej jest wmieszana Mona.

Podobnie jak w pierwszej części pojawiają się wstawki komiksowe, a także sceny odgrywane na silniku gry. Pojawia się też nieśmiertelny, lekko podrasowany bullet time. Nowością jest bez wątpienia współpraca Maksa z innymi postaciami z gry (coś w rodzaju trybu cooperative, bądź jak kto woli sposobu rozgrywki znanego jako team-based tactic). W niektórych momentach gracz zagra również Moną. Również grafika zostala odświeżona, choć to malo powiedziane - jest rewelacyjna! Bardzo poprawiono animacje twarzy (twarze poruszają ustami, uśmiechają się, marszczą brwi). Doskonala jest też interakcja z otoczeniem: można zdemolować o wiele więcej przedmiotów niż w pierwszej części, o wiele więcej też można wykorzystać w samej rozgrywce. A wszystko to za sprawą tzw. Havoca i rag-doll, programów i procedur odpowiadających za realna fizykę w grze (ciala spadają ze schodów, różnie padają, w zależności od otoczenia itd.). Ciekawe, co na to twórcy innych gier, zapowiadanych jako wielkie hity, których premiery są wciąż odkładane? Gier, które mialy powalić grafiką - jak Doom 3 - czy interakcją - Half Life 2?

Czy Max Payne2: The Fall of Max Payne okaże sie hitem końca 2003 roku? Prawdę mówiąc, wszystko na to wskazuje. Zaś za jakiś czas i brać konsolowa (Playstation 2 i Xbox) też będzie się mogla cieszyć nowym Maksem. gad

newsy



Jezus Mściciel

Jezus z karabinem w dloni postanawia się rozprawić ze wszystkimi nieprawowiernymi: liberałami, ateistami, feministkami i tymi, którzy go ukrzyżowali. Jak wam się podoba taki scenariusz gry? Mnie raczej średnio. Najwyraźniej inne zdanie ma Last Stone Studios, które postanowilo stworzyć grę na pecety Jesus Freakin': Time to Prey, w której to Jezus powraca na Ziemię po 2000 lat i postanawia glosić miłość i pokój za pomocą palek, kijów, lopat, noży, toporów, strzelb, karabinów, granatników, miotacza płomieni a nawet... plag.

Gier glupich i brutalnych było już wiele. Twórcy Jesus Freakin' postanowili chyba pójść na całość i nie mieć żadnych oporów w tematyce gry. Ciekawe tylko po co? Dla darmowej reklamy własnej firmy, bo chyba nie sądzą, by taka gra nie spotkala się bojkotem sklepów. A na oficjalnej stronie można już kupić bluzy, czapeczki, kubki z logiem gry.

Halo w pecécie

W końcu, po dlugich miesiącach oczekiwania, pojawilo się na pecety demo Halo, gry, która w zasadzie sprzedała konsolę Billa Gatesa, Xboksa. Warto przypomnieć, czym w zasadzie jest to Halo. Gra pierwotnie była planowana na pecety i miała się pojawić... naprawdę dawno temu. Jednakże pewnego dnia okazalo się, że tylko posiadacze Xboksów pograją w nią sobie. W grze wcielamy się w postać niejakiego Master Chiefa, niezlego twardziela, który ma powstrzymać coraz silniej napierających Obcych na ostatnie bastiony ludzi. Posiadaczy Xboksów zachwycily grafika, możliwość korzystania z pojazdów i współpraca z postaciami w grze. Ale czy dziś ma ona szansę stać się hitem na komputerach? Tym bardziej, że w drodze jest bardzo podobny tytuł - Breed, gdzie też współpracujemy z innymi postaciami z gry.

GTA pack na Ekspudlo

Kto z was nie zna gierki Grand Theft Auto? Jak milo w niej „wypożyczyć" samochód i go porozbijać, i przy okazji troszkę pospierać się ze stróżami prawa przy użyciu najrozmaitszej broni... Otóż wszyscy szczęśliwi posiadacze Xboksa mogą się cieszyć świeżutkim kompletem

Grand Theft Auto 3 i Grand Theft Auto: Vice City o nazwie Grand Theft Auto Double Pack. na razie co prawda tylko w Ameryce...

Konsolowy Counter-Strike

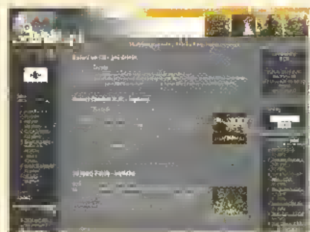
Świat gier konsolowych i pecetowych przenika się coraz bardziej. Co rusz pojawia się konwersja z PS2 czy Xboksa na komputery. Ale i w drugą stronę też się coś dzieje.

Microsoft Game Studios oraz Valve poinformowały o zakończeniu prac nad Xboksową wersją gry Counter-Strike, najpopularniejszej modyfikacji sieciowej do Half Life'a. W wersji konsolowej pojawią się nowe mapy oraz nowe drużyny terrorystów i antyterrorystów. Będzie można grać przez sieć - do 16 graczy - i z botami. Premiera 18 listopada. A pecetowcom pozostaje czekać na Counter-Strike: Condition Zero...

Koniec PS2?

Nie, aż tak źle nie jest ani PlayStation 2 ani producentem tej konsoli, firmą Sony. Po prostu Soniak postanowił nieco odświeżyć wizerunek swego sztandarowego produktu do gier. Najprawdopodobniej od sierpnia przyszlego roku PS2 zmieni się w PStwo i przy okazji zostanie zmniejszona wielkość konsoli.

WUWUWU



http://www.cd.net.pl/

Adres tej polskiej strony może być trochę mylący. To nie żaden warez, ani żadna inna witryna, na której znajdziecie nielegalne pliki, tu wszystko jest czyste jak lza. Tu wszyscy fani shooterów spod znaku Unreala, Quake'a, Wolfensteina, Half Life'a i Battlefield 1942 poczują się jak w raju. Serwis oferuje omówienia ogromnej ilości modyfikacji do tych gier, oraz linki, z których można je ściągnąć. Istnieje także możliwość wypalenia na płytę konkretnych dodatków, jeśli ktoś nie dysponuje odpowiednio szybkim łączem, albo po prostu nie chce mu się ściągać.



http://www.planetunreal.com/cliffyb/

Własna strona unrealowego guru, Cliffa Bleszinskiego, podpięta pod ogromny unrealowy serwis www.planetunreal.com. Cliff jest jednym z najważniejszych twórców oryginalnych map do gier z serii Unreal. A co ciekawego znajdziecie na stronie? Przede wszystkim nowe mapy do Unreal Tournament 2003, których autorami są fani z calego świata. Ale są to mapy, zdaniem Cliffa, najlepsze z najlepszych, a jemu chyba można wierzyć.



http://www.planetquake.com/lvl/

A teraz coś dla quakerów. Pod tym adresem znajdziecie ogromną kolekcję map do Quake'a III Areny, oraz Team Areny. Mapy są podzielone na kategorie wg typów rozgrywki, a więc mamy capture the flag, tourney, deathmatch, space (wiem, że nie ma takiego trybu, ale widocznie zwolenników fragowania w przestrzeni jest sporo), no i mappacki. Zwolennicy niektórych modów też znajda tu coś dla siebie, przede wszystkim ci, którzy lubią Rocket Arenę i Challenge Pro Mode. Download jest z www.fileplanet.com, ale wystarczy się tam zalogować - bez żadnych oplat - i ściągać.

.:gad:.

EA SPORTS BIG

Złamane kości, serca, deski i prawo.
Pokonane granice, cisza, rekordy, duma, wyobraźnia i wiatr.
Wszystko przed Tobą.

Lawiny. Drzewa. Rywale. Wąwozy. Koszmary. Śnieżyce. Zbocza.
Wszystko przeciw Tobie.

Wpadnij na
www.ea.com

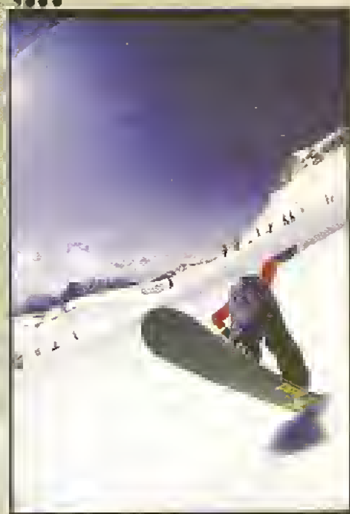
PlayStation 2 | XBOX | NINTENDO GAMECUBE | GAME BOY ADVANCE

7+ EA BIG

trik miesiąca

backside 540 mute

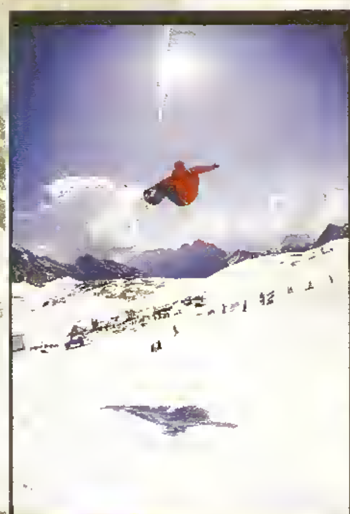
Jan Michaelis





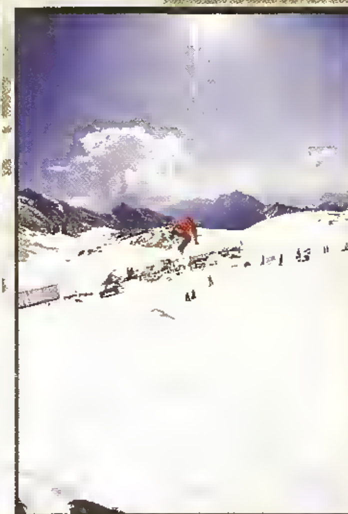


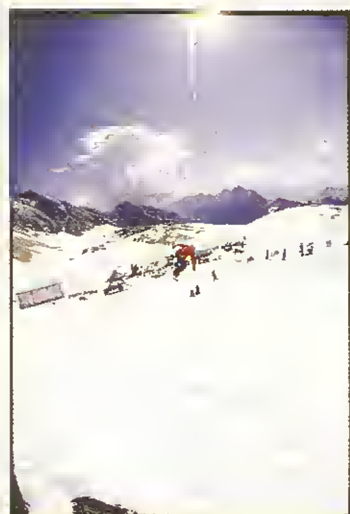


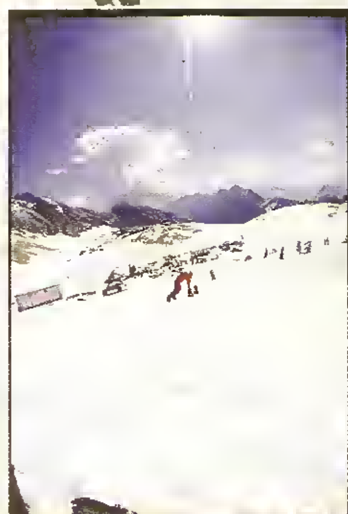


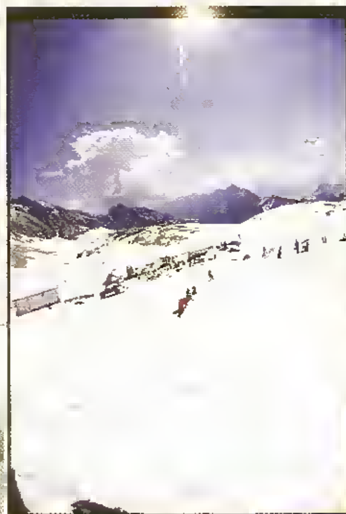


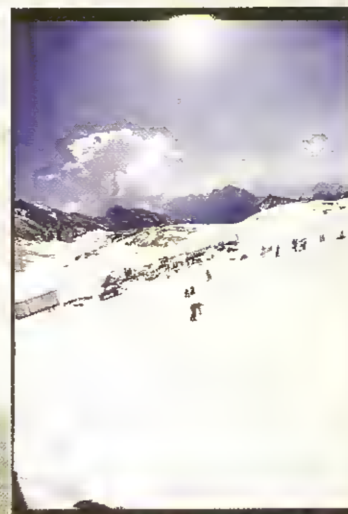












Toy Story
czyli o podsumowaniu roku słów kilka...

TOY STORY czyli o podsumowaniu roku słów kilka...

Zastanówmy się jaki był rok 2003 dla polskiej deskorolki. Na całym świecie skateboarding przeżywa ogromny progres. W Stanach jest to już zjawisko masowe, w samej Kaliforni jest aż 3 miliony skaterów, skateparki rosną jak grzyby po deszczu, a firmy są wykupowane przez wielkie koncerny, bo te wietrzą w tym ruchu wielkie pieniądze. Oczywiście te posunięcia nie zawsze idą w parze z dobrym kierunkiem rozwoju skateboardingu, ale świadczą na pewno o tym, że dyscyplina ta nie stoi w miejscu. Podobnie jest w Europie, oglądając coraz to nowe filmy mam wrażenie, że na Starym Kontynencie poziom jazdy szybciej rośnie, a nawet niektórzy są lepsi od Amerykanów. Wystarczy choćby spojrzeć na dokonania firm Lordz, Tikal czy Blueprint. To już nie są małe firemki, tylko prężnie działające i przede wszystkim nakręcające deskorolkę firmy.

Tak jak wiadomo jest gdzie indziej. Nawet w niedalekich Czechach można zaobserwować ciągły postęp, to już nie są śmieszne skejciki odpychające się „po czesku" tylko podziwu godni skaterzy, tacy jak chociażby Petr Horvath.

A u nas, właśnie, co przyniósł ze sobą ten rok, czy coś tak naprawdę się zmieniło. Wielu pesymistów powie, że nie, że było tak samo chujowo jak dawniej i w ogóle nie ma sensu tu żyć i pozostaje emigracja lub zbiorowe samobójstwo. Oczywiście nie są oni pozbawieni racji (szczególnie z tym targnięciem się na życie), ale jednak od pewnego czasu moja skromna osoba zauważyła pewien postęp.

Po pierwsze firmy, które nazywają się deskorolkowymi nie poprzestały tylko na obdarowywaniu ubraniami, ale zaczęły robić coś co za parę lat może będzie można nazywać profesjonalnym sponsoringiem. O co chodzi? Przede wszystkim o organizowanie wyjazdów. W tym roku mieliśmy kilka sponsorowanych tourów i to nie tylko po Polsce. Takie firmy jak Fenix, Brotherhood, Malita, Cormax, Mentor zdecydowały się na wysłanie swych riderów do innych miast, a nawet państw by ci mogli rozwijać swoje umiejętności i podpatrywać triki u lepszych od siebie. To na pewno można zaliczyć na plus.

Po drugie w naszym pięknym kraju zaczęły powstawać firmy zajmujące się wyłącznie deskorolką, a nawet zaczęły produkcję decków. Na wydawać by się mogło tak nieopłacalnym rynku pojawiło się jednak kilku ryzykantów - zajawkowiczów, którzy na przekór wszystkim postanowili udowodnić że w Polsce też można sprzedawać deskorolki. Te, które istniały wcześniej nie zaniechały tego, a nawet rozwijają się - o czym świadczą chociażby wspomniane przeze mnie wcześniej wyjazdy. Znak to jest ze im się opłaca, że coś jednak w deskorolce się rusza.

Następna sprawa, chyba najważniejsza. Zawody. W tym roku było ich całe zatrzęsienie. Praktycznie w każdym zakątku kraju organizowane były w 2003 roku jakieś contesty. A to jeszcze przecież nie jego koniec (doszły mnie słuchy, że będą jeszcze jakieś zawody we Wrocławiu i Warszawie). Wiem że z reguły były to marne imprezki na których niewiele się działo, jednak kiedyś może przerodzą się one w większe wydarzenia (tak jak na przykład Skate City Classic - od małych lokalnych zmagań po solidną ogólnopolską imprezę). Ważne jest, że ludzie próbują aby o deskorolce było w miarę głośno, nie dają o tym temacie zapomnieć.

Jeśli mowa o zawodach to nie można nie wspomnieć o Mentor Skate Session. Ten kontest jak by nie było rozsławił imię Polski, przynajmniej na skalę Europy i był dużo bardziej widowiskowy w tym, niż w zeszłym roku. Do Torunia ściągnęło więcej, tak przyjezdnych gości jak i lokali z Polski. Poziom imprezy był również o niebo lepszy, dzięki takim ludziom jak organizatorzy takich imprez skateboarding w Polsce naprawdę się podnosi.

Chociaż wszyscy (ze mną na czele) narzekamy, że nie gdzie jeździć, to jednak w stosunku do roku poprzedniego wiele się poprawiło. Przede wszystkim powstają nieliczne skateparki: Jutrzenka zbudowana przez chłopaków z warszawskiego Gocławia, tor we Wschowie, na którym odbyły się zawody czy otwarty skatepark w Białymstoku. Cieszą takie wieści. To co że jest ich mało, ważne, że się pojawiają. Przez kilka ostatnich lat wcale nie było im podobnych.

Pozostaje mieć nadzieję że przyszły rok będzie jeszcze bardziej owocny w tego typu wydarzenia. Czego życzy sobie i wam

.:TOi Oi:.

recenzje sk8 video



411 „Europe2003"

Jest to nic innego jak relacja z tras letnich firm deskorolkowych, które nie zmieściły się do właściwego wydania 411, plus największe contesty w Europie. Co tym razem? Jak zwykle Praski Mystic Cup i niemiecki Monster Mastership, jest też Armageddon Cup z Anglii i Scandinavia Open ze Szwecji. Startowała tam cała plejada skaterów z całego świata - USA, Niemiec, Hiszpanii, Francji i oczywiście silna ekipa z Brazylii. Oprócz zawodów, jak już wspomniałem wcześniej, zobaczyć tu można kilka relacji z tourów. Jest więc trasa Zoo York i Billabong. Prawdziwy rarytas zatrzymałem na koniec. W tym wydaniu „Europe 2003" jest relacja z wyjazdu na Ukrainę, w skład którego wchodzili Kenny Reed, Brad Staba, Stefan Janoski, Reese Forbes i... Gutek Szymański z Tomkiem Kotrychem. Polacy mają tam najwięcej trików i ogląda się to świetnie. Wreszcie nadszedł czas, że można oglądać Polaków na amerykańskich filmach. tOi Oi



Mack Dawg „Shakedown"

Jeżeli nie obca wam jest seria Mack Dawg i w dodatku przypadła wam ona do gustu, to na pewno nie zawiedziecie się najnowszym dokonaniem wydawnictwa pt. „Shakedown". Do współpracy zaprosili najlepszych chyba, w tej chwili speców od lotów i ślizgania się po łamanych poręczach. Już początek mocno wbija w fotel, czołówka jest zmontowana z upadków - uwierzcie że są hard core'owe. Później, jak u Hitchcocka atmosfera narasta. Z przejazdu na przejazd jest coraz lepiej i bardziej ostro. Najlepsze części według mnie to triki J.P. Walkera (jeżdżącego przy jakimś Backstreet Boys), Jona Kooleya, Mikey Leblanca i najlepszego Jeremy Jonesa. Ten ostatni ma zajebisty początek przejazdu: robi na zmianę triki najpierw na deskorolce a później te same na snowboardzie. Zajebisty!! tOi Oi



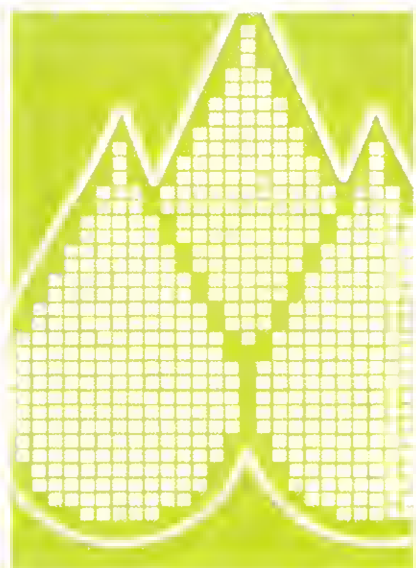
Osiris „Subject to change"

Przez ostatnie lata firma Osiris bardzo pracowała nad zmianą swojego image. Po poprzednim video „The Storm" był ona kojarzona z hip-hopem (wydawali nawet mixtape'y). Czasy się zmieniły, podobnie jak i moda, dlatego Osiris aby utrzymać się na rynku zapragnął coś zrobić ze swoim wizerunkiem. Znaczną część starego teamu usunięło (m.in. Petera Smolika), a w swe szeregi przyjęli skaterów takich jak Ali Boulala czy Diego Butchieri. Kontynuacją przemian w firmie jest nowe video. Tutaj już dominuje inny styl niż na poprzednim, wydaje się to na maxa sztuczne, ale cóż - takie są prawa rynku. Jeśli chodzi o jazdę to jest ona na prawdę niezła. Nowi team riderzy - Butcher, Ali czy młody James Brockman maja solidne przejazdy, podobnie starzy - Kanten Russel czy Brandon Turner. Jednak prawdziwym szokiem są dwie części: jedna w wykonaniu Chrisa Dobstaffa - full techniki na ogromnych rzeczach i druga należąca do Jerrego Hsu i Louie Barletty z mnóstwem wygłupów połączonych z mega trikami. Widać, że chłopaki bawią się deskorolką. tOi Oi



„Streets"

Jest to swego rodzaju almanach po ulicach i miejscówkach San Fransisco. Video to podzielone jest na kilka części. Każda z nich jest poświęcona jakiemuś znanemu spotowi. Jest zamieszczona informacja jak tam dojechać, co oferuje dane miejsce, a także wypowiedzi znanych skaterów o nim. Jak na sk8 video przystało nie mogło tu zabraknąć jazdy i rzeczywiście jest tu jej bardzo dużo. Lokale z SF prezentują stary, dobry Californijski styl typowy dla swego miasta. Nie ma tu może jakichś mega wyjebanych trików, ale sa sekwencje które bardzo miło się ogląda - czuć energię płynącą z San Franscisco. Gorąco ten film polecam. Występują m.in.: Henry Sanchez, Spanky, Brad Staba, Anthony Mosley, Dan Murphy, Nikhil Thayer, Peter Ramondetta, Justin Strubing. tOi Oi









snowboard i deskorolka w jednym

Nie trzeba być mistrzem obserwacji żeby stwierdzić, że skateboarding i snowboarding mają ze soba wiele wspólnego. Obie te „dyscypliny", choć są uprawiane na zupełnie odmiennych terenach, mają te same korzenie. Oczywiście deskorolka była pierwsza. Ale i ona nie była czymś pierwotnym i wywodzi się w prostej linii z surfingu.

Rzeczy łączących ślizganie się na desce po śniegu i jazdę po asfaltowych połaciach terenu miejskiego jest wiele. Począwszy na tych samych ewolucjach, na samym podejściu do sprawy kończąc. Jak wiadomo snowboard zapożyczył sobie od swojego miejskiego poprzenika nazwy trików i sposób (styl) ich wykonywania. Dla prawdziwych zajawkowiczów snowboard jest po prostu deskorolką na śniegu. Jeździ się w snowparkach na żywcem wyjętych ze skateboardingowych torów przeszkodach. Są one rzecz jasna o wiele większe i przystosowane do jazdy po śniegu, ale inspirowane były na pewno street skatingiem.

Nic więc dziwnego, że nie moglo to nie doprowadzić do integracji i przenikania się tych dwóch środowisk. Na zawodach snowboardowych często jako impreza towarzysząca organizowane są contesty skateboardingowe. Bardzo duża liczba osób uprawia zarówno snowboarding jak i skateboarding. Szczególnie w takich krajach jak Polska jest to wskazane. Zimą, gdy nie można jeździć na deskorolce (bo jak wiadomo nie ma u nas skateparków), pozostaje wyjazd w góry i „białe szaleństwo".

Wielu znanych profesjonalistów deskorolkowych przyznaje się do fascynacji deską śniegową, m.in. Rick McCrank, Mike Maldonado, Colin McKay.I na odwrót zajaranymi skaterami są snowboardziści - J.P. Walker, Ingemar Backman (powiedział on kiedyś, że jest skaterem, który czasem lubi sobie pojeździć na snowboardzie) czy Jeremy Jones (jest on nawet sponsorowany przez Zero). Jest też paru wariatów, którzy potrafili dojść do perfekcji w tych dwu dziedzinach. Choć dyscypliny te są do siebie bardzo podobne, to jednak być mistrzem w tym i w tym jest strasznie trudno. Dzisiaj postaram się pokrótce przedstawić najbardziej znanych prosów zarówno snow jak i skate...

Pierwszą osoba znaną na tych dwóch płaszczyznach był chyba Amerykanin Noah Salasnek. Jego okres świetności już raczej minął, był znaną osobą na początku lat dziewięćdziesiątych. Jeździł dla Simsa (kiedyś firma ta produkowała też skateboardy), pamiętam, że w czasie jego przejazdów śniegowych zawsze pojawiały się motywy ze skateparków. Jego jeden z promodeli desek snow miał na ślizgu namalowany dół deskorolki - trucki i koła.

Mniej więcej w tym samym czasie dla H-Street jeździł koleś, który nazywał się Dan Peterka. Jak na owe czasy był prawdziwym mistrzem technicznego skateboardingu. Razem z Erikiem Kostonem i Mikiem Carollem stanowili filary tej firmy, niedługi czas potem Movement Snowboards wypuściła jego promodel. Na śniegu jeździł równie dobrze jak na ulicy - prezentował typowo deskorolkowy styl jazdy.

Człowiek - tytan, legenda vertu i steetu Danny Way również zapisał się w historii snowboardingu. Pamiętam, jakim szokiem dla mnie był fakt, że na pierwszym video Plan B zrobił Mc Twista najpierw na deskorolce, później na snowboardzie. On również doczekał się swojego promodelu śniegowego (w firmie Type A). Jest to koleś, który robi rodeo flipa na obydwu deskach.

Najbardziej jednak znaną osobą łączącą te dwie dyscypliny był (bo chyba już nie jest, ale o tym później) John Cardiel. Ten prawdziwy hardcore'owiec nie oszczędzał się ani tu ani tu. W obu środowiskach znany jest z pełnej determinacji i ogromnego poświęcenia dla sprawy. Pamiętny przejazd w filmie Lamara „Driving License" i ogromnej ilości skate videos potwierdzają te słowa. Istotą jazdy Cardiela nie jest technika tylko czysta adrenalina i jazda na pełnym speedzie. Jego nazwiskiem sygnowany jest teraz dodatkowo snow skate - Lamara oczywiście.

W Europie również mamy takich zawodników. Najbardziej znany jest koleś z Francji Nicolas Droz. Podobnie jak Cardielowi, tego było mu mało i jest też mistrzem na mało u nas popularnym snow skate'cie. Sluggo, czyli Rob Boyce to już istny człowiek - orkiestra. Snowboarder, skater, akrobata, b-boy i bóg wie co jeszcze. Jako pierwsza osoba na świecie zrobił on back flipa na deskorolce na vercie, trik ten przeniósł on oczywiście ze snowboardu.

Wcześniej wspomniałem, że w tej chwili najbardziej znanym profesjonalistą obydwu dyscyplin nie jest już Cardiel. Tak, miano to zabrał mu przez niektórych znienawidzony, a przez wielu uwielbiany Shaun White. Postać tego młodego rudzielca wzbudza wiele kontrowersji. W zasadzie był on od małego szkolony na mistrza. Od początku wiedział, że musi być najlepszy, przypomina to trening jakichś olimpijczyków, a nie czystą zajawkę. Dlatego tak wiele osób nie przepada za Shaunem. Jednak prawdą jest, że to fenomen jeśli chodzi o wykonywane triki. Wygrywa większość zawodów snowboardowych, A na deskorolkowym vercie tylko nieliczni mogą się z nim równać. Na rampie jeździ głównie z Tony Hawkiem i ten kreuje go na swego następcę.

Również w Polsce rzecz ma się podobnie. Oczywiście tutaj dużo łatwiej jest być bardzo dobrym w obu dyscyplinach, bo poziom jest dużo niższy niż na Zachodzie i w USA. W latach dziewięćdziesiątych większość najlepszych snowboarderów była najlepszymi skaterami. Stikorama, Dorian Ciągliński czy Marcin Majewski kontynuowali swoje fascynacje deskorolką na śniegu. Stali się pionierami jibbingu w Polsce.

Nie inaczej rzecz się ma u naszych południowych sąsiadów. Tam jednym z lepszych snowboarderów jest legenda praskiej deskorolki David Horvath.

Wszystkim wymienionym przeze mnie osobom należy się ogromny szacunek. Trzeba mieć naprawdę dużo poświęcenia w sobie i przede wszystkim talentu, żeby móc uprawiać obie te dyscypliny na najwyższym poziomie. Wydawać by się mogło, że aby być w czymś dobrym, należy się oddać tylko tej rzeczy. Ci panowie udowadniają, że tak nie jest...

.:snowman:.

fotoprezentacja



rider: Lucek / boardslide / big A summer camp / foto: yarrek

fotoprezentacja


LES 2 ALPES3600







lokalny rajder
nosepress
foto: Yarrek

LES 2 ALPES 3600

Mundial Du Snowboard

No i doczekaliśmy się, nadszedł październik a wraz z nim Mundial du Snowboard w Les 2 Alpes. Na parę dni (25 - 27 października) to małe miasteczko w Alpach zmieniło się w stolicę snowboardingu.

Do Les 2 Alpes dojechaliśmy w sobotę ok. 13.00, przywitało nas piękne słońce... i kręcące się nad miasteczkiem helikoptery. W pierwszej kolejności uderzamy do hotelu, gdzie miła pani z recepcji informuje nas, że nie włada żadnym innym językiem poza francuskim. Chłopaki już rwali się, żeby to sprawdzić..., ale nagle w powietrzu zmaterializował się klucz do naszego pokoju i im przeszło. Wbijamy się na górę, gdzie po krótkiej przepychance, mającej na celu wyjaśnić kto, co robi pierwszy i które to jego wyrko, ustalamy warunki rozejmu. Potem szybki prysznic, jakaś szama, skręcamy deski i ruszamy radosnym krokiem na główny plac L2A, gdzie organizatorzy zmontowali wielki namiot i rampę. W namiocie umieszczono małe muzeum snowboardu, stoiska firm snowboardowych oraz scenę, na której bez przerwy odbywały się jakieś zabawy bez śniegu, przepychamy się przez tłum, gdzieś po drodze rejestrujemy sprawców tego zamieszania to jest Burton, Pacific Motion, Level, Head, Volkl, Cebe, Nidecker, Donuts, Rossignol, Palmer, Bastard, Ride i parę innych firm. Po czym obładowani gadżetami udajemy się pod rampę, gdzie zaczęły się pokazy prosów. Chłopcy latali czysto i wysoko. Po wykonaniu kilku methodów, indy 36 i 54 dobili i tak już mocno rozgrzaną publiczność wysokimi na jakieś 2,5 metra nad kopingiem seriami mc twistów. Tłum szalał, prosi prześcigali się, który wyżej może, a my spotkaliśmy ziomów z Polska, od których dowiedzieliśmy się że te helikoptery, co się kręcity nad miastem, to z prosami do szpitala latały, bo na górze były eliminacje do niedzielnego Slope Style Contest GAME CUBE 1080 i chłopcy się trochę porozbijali. Mając jasność co do eliminacji, udaliśmy się zwartą grupą na małą imprezkę do znajomych z Billabonga, gdzie po wypiciu paru piwek z JP Pelchat'em i Dawidem Pitchi prognozowaliśmy zwycięzcę... Czas przyspieszył, słońce schowało się za górv. Na ulicach pojawiły się tłumy raiderów w imprezowych nastrojach, a my przenieśliśmy się na następną imprezkę, gdzie premierę miał jakiś film snowboardowy. Ktoś tańczył na stole, komuś urwał się film, ktoś kogoś zgubił, aż w końcu nastało rano...

Tylko słońce zapomniało odwiedzić mundial i chmury zapanowały w krajobrazie. Tomek z Młodym oznajmili, że to jakaś ściema organizatorów i na górze to na pewno jest słońce. Chwycili swoje deseczki i ruszyli do dolnej stacji kolejki. Wjeżdżamy na 3200 n.p.m. Co prawda słońca dalej nie ma, ale ktoś powiedział, że później może będzie. Nas bardzo niepokoi to "może", ale co zrobić. Szukając snowparku znajdujemy kolejne namioty tym razem ze sprzętem do testów. A oglądać, dotykać i jeździć można było do woli. Swoje namioty ze sprzętem na sezon 2003/2004 postawili: Cebe, Ripcurl, Bolle, Vans, Oakley, Palmer, Blacksmith, Option-NFA, Ride, Flow, Nitro, Head, Santa Cruz, F2-Duotone, Deeluxe, Atomic, Dynastar, K2, Volkl, Salomon, Forum-Jeenyus, Burton, Nidecker, Donuts, Sims i to chyba jeszcze nie wszystko. Specjalne stoisko miała firma Rossignol. Ciekawe też rzeczy prezentowane były w skateboardowym stoisku firmy Hawk, gdzie była ustawiona duża rampa, na której dokazywali zajarani deskorolkowcy.

Docieramy w końcu do orczyka i wyjeżdżamy na ok. 3400 n.p.m. Pod nami snowpark, nad nami chmury i nie zapowiada się, żeby słonko miało nas ochotę odwiedzić. Nic to. Tomek twierdzi, że musi zobaczyć, czy Francuzi potrafią porządny snowpark wybudować, więc atakuje serie hopek, a Młody dla równowagi postano-

wil sprawdzić wytrzymałość swojego nowego Volkla na handrailach. Umawiamy się za godzinkę w chilloucie. Czas leci szybko i wiemy już, że raile są i to ciekawe, bo stoi rainbow, wysoki łamaniec, c-rail oraz parę mniejszych dla słabiej czujących poręczę, hopki są i to każdej wielkości od małych dla początkujących po naprawdę duże (chociaż te największe niestety zamknięte ze względu na pogodę), do tego dwa kornery no i oczywiście halfpipe, tylko że są dwa, mały i duży ustawione tak, że można oba przejechać za jednym przejazdem, a po drodze jeszcze zaliczyć jakiś handrail albo hopę. W chilloutcie dostajemy wiadomość, że Slope Style Contest został odwołany ze względu na warunki atmosferyczne i że prosi w większości olali sprawę i zostali na dole. No i dobrze, będzie luźniej w snowparku. Wcinamy jakieś francuskie mięcho z grilla i wracamy do parku, gdzie chłopaki wyciskają ile się da. Tomek kręci swoje 5-tki przy czym twierdzi, że to tylko rozgrzewka, a Młody sypie iskrami z raili. Ok. 16.30 ogłaszamy chwilowe zawieszenie broni. Wycieńczeni spadamy na dół, gdzie już z gondolki Młody dostrzega wielki materac a przed nim najazd i dwumetrową hopkę. Cóż trzeba spróbować. W kolejce do hopy dostrzegamy znajomych z Polski (pozdrowienia!), a także Dawida Benedka plus paru raiderów z teamu Salomona więc zapowiada się niezła jazda. Najpierw rzuca się Młody i robi wysokie fs rodeo za nim Tomek jedzie na switch i kręci fs900, czym wywołuje małe zamieszanie. Wszyscy zadowoleni, więc postanawiamy spadać do hotelu w celu przegrupowania czy czegoś tam. Po drodze zaglądamy jeszcze na moment do skateparku, gdzie Tylasa szlag trafia, bo nie zabrał deskorolki. W oczekiwaniu na to co przyniesie nam jutro postanawiamy sprawdzić lokalne miejsca rozrywki, ale dla dobra naszych organizmów nie bardzo chcemy pamiętać co, kto, ile oraz gdzie, ani kto miał racje. Ważne, że w końcu nastało rano a wraz z nim poniedziałek, ostatni dzień mondialu... tylko że pogodę ktoś sprzedał bo jej po prostu nie było.

Tak czy inaczej udaliśmy się na górę bo w końcu nie jesteśmy tu dla przyjemności ;-))). Wjeżdżamy do parku, chmury jeszcze gorsze niż dzień wcześniej, do tego zaczęło wiać. Młody oznajmia, że ma to gdzieś i że trzeba jebać swoje, po czym znika we mgle, ja za nim, a Tomek tradycyjnie kieruje się na hopy. Próbujemy robić jakieś foty, ale pogoda mocno przeszkadza i chyba niewiele z tego będzie. Do tego dociera do nas wieść, że Slope Style Contest się w końcu nie odbędzie, więc wszyscy zawiedzeni, ale tylko na chwilę... Podjeżdża do nas Tylas i mówi, że zawody będą, ale amatorów, bo pogoda ma być, ale po południu. I rzeczywiście, koło południa chmury opadają, a na niebie pełna lampa, wszyscy z bananem na twarzy ruszają na demolkę snowparku, a ja robię fotki, bo widoczki kapitalne. W końcu zaczynają się zawody z naszych startują Tomek Tylka, Kondor i Cichy. Po kolei lecą bs540 Tomka i Kondora oraz cork 540 Cichego i było by wszystko pięknie gdyby nie ostanie podejście Tomka którego przy bs720 zacina na hopie i ląduje na plecach. Dla nas zawody się skończyły, bo okazało się, że z Tomkiem nie jest dobrze i trzeba zjechać na dół.

Wieczorem tradycyjnie całe miasteczko zmieniło się w wielki snowboardowy piknik, tłum raiderów przemieszczał się z klubu do klubu, tu i tam był jakiś koncert, w hotelach powstawały chwilowe ośrodki rozrywki, w knajpach brakowało miejsc, na to wszystko spadł śnieg, a rano obudziło nas słońce. Mondial się skończył. Pozostało tylko spakować graty, pożegnać znajomych i wrócić do domu.

.:tekst Monk:.

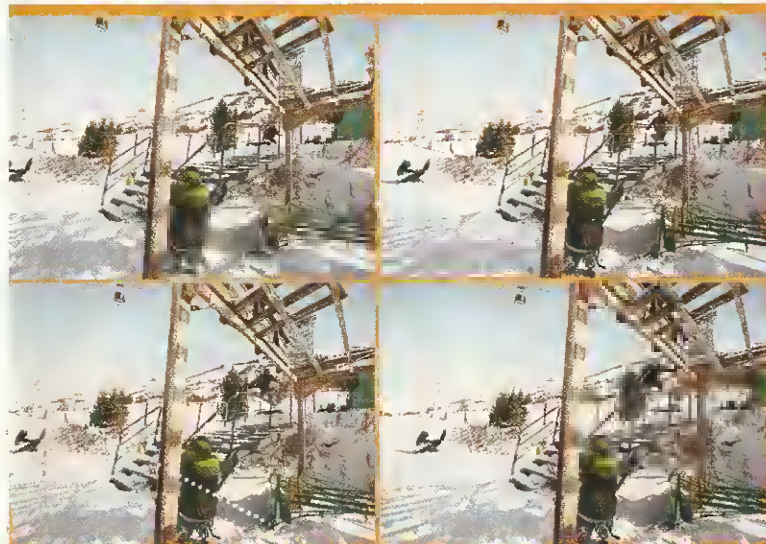


Młody
boardslide
foto: Yarrek

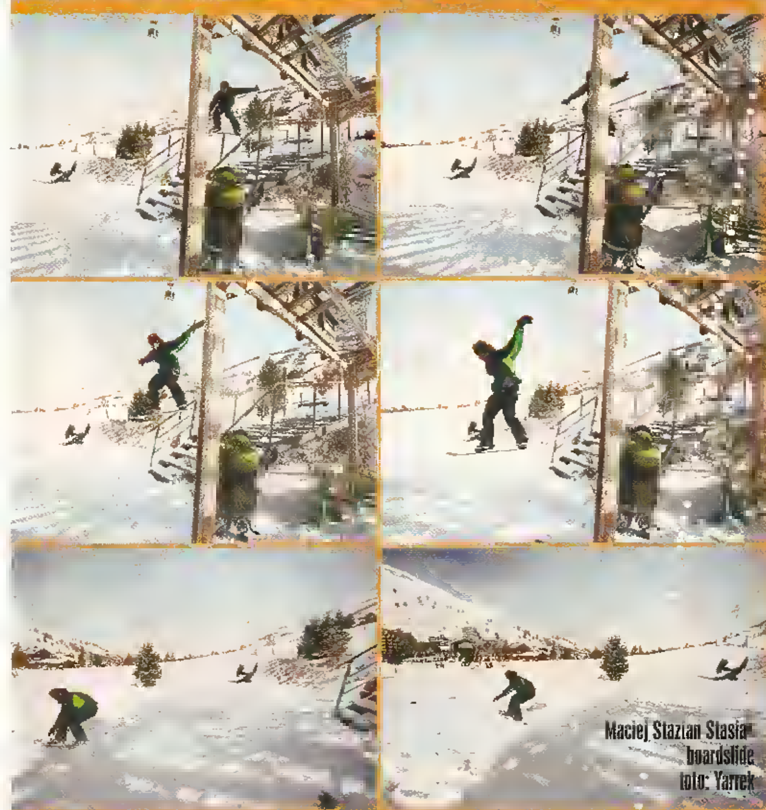


Mateusz Ligocki
indy to fakie
foto: rafalwielgus.com

LES 2 ALPES 3600



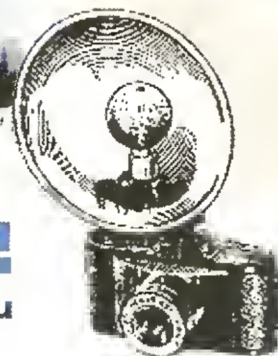




Maciej Stazian Stasia
boardslide
foto: Yarrek







uwaga!!!

wielki konkurs fotograficzny Nokii i Ślizgu

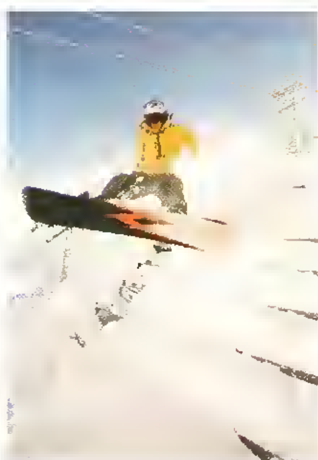


Zima... Każda pora roku ma swoje zalety, zima ma taką, że jest biało, śnieg skrzypi pod butami i można uprawiać sporty zimowe. W naszym konkretnym przypadku chodzi o śmiganie na snowboardach, choć na pewno wśród naszych czytelników znajdą się zwolennicy jazdy na nartach, sankach czy lepienia bałwanów. Czyli jednym słowem zima jest w porządku! Na pewno wiele osób szykuje się już na dalsze lub bliższe wyjazdy zimowe. Jedna podpowiedź dla was. Nie zapomnijcie zabrać ze sobą aparatu fotograficznego (i nowego numeru Ślizgu). Aparat oczywiście przyda wam się z wiadomych względów, z każdego wyjazdu dobrze jest mieć albumik ze zdjęciami, ale my mamy jeszcze jedną propozycję. Propozycję nie do odrzucenia. Zróbcie jakieś fajne zdjęcie koledze na desce? Ktoś wam zrobi zdjęcie jak śmigacie? Zbudujecie fajną hopkę i będziecie robić zdjęcia swoich lotów? Znajdziecie wypasiony railik i zrobicie sobie na nim Jib foto-sesję? Wszystkie wasze (no może nie wszystkie, ale te najlepsze) snowboardowe zdjęciówki przysyłajcie do nas. A my sobie te zdjęcia pooglądamy, pomyślimy i najciekawsze z nich wspólnie z firmą Nokia nagrodzimy. Jest o co walczyć, spokojna wasza głowa. Do wygrania jest wypasiony telefon Nokia 3650 z aparatem fotograficznym i innymi bajerami, a także 10 plecaków z serii Nokia Snowboards. Dla uczestników konkursu z profesjonalnym nastawieniem do fotografii przewidujemy możliwość współpracy z nami. Rozwiązanie fotograficznego konkursu Nokii i Ślizgu nastąpi w numerze marcowym (koło 20 lutego w kioskach), tak więc macie całą zimę na pstrykanie i przede wszystkim jeżdżenie. Powodzenia, dużo śniegu, dobrych ujęć i bezpiecznej jazdy!

Swoje prace przysyłajcie na adres:

Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5
00-624 Warszawa
z dopiskiem NOKIA

Termin przysyłania prac: do 11 lutego!









NOKIA



NOKIA game.com

Nokia Game to odbywająca się co roku, dziesięciodniowa rozgrywka wirtualna, która naprawdę potrafi wciągnąć. Udział w grze jest bezpłatny. Wystarczy mieć telefon komórkowy i dostęp do Internetu. Możesz się zarejestrować do 19 listopada. Gra jest pełna wyzwań i od 19 do 28 listopada na pewno nie będziesz się nudzić.

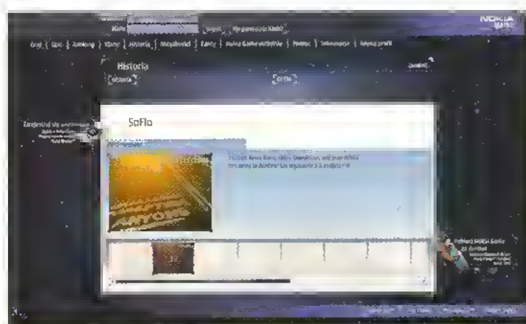
Jednak to nie wszystko. W tym roku Nokia Game ma zupełnie nową formułę i jest podzielona na dwa etapy. Pierwszy etap Nokia Game 2003 stanowi mobilna gra internetowa, którą można pobrać bezpłatnie z witryny www.NokiaGame.com lub otrzymać na specjalnej, promocyjnej karcie pamięci, która począwszy od 7 października 2003 roku będzie przez pewien czas dołączana do pakietów z konsolą do gier N-Gage na terenie Europy i Afryki. Jest to gra rozgrywana przy użyciu telefonów komórkowych i obejmuje trzy elementy. Jednym z nich jest gra Flo Boarding, czyli jazda na snowboardzie. W grze dostępne są rozmaite plansze i wiele niespodzianek (patrz screeny z gry pod tekstem). Pozostałymi elementami pierwszego etapu Nokia Game są czaty z innymi graczami, a także możliwość spotkania i porozmawiania z Flo, wirtualną bohaterką tegorocznej edycji gry. Gracze mogą także korzystać z funkcji łączenia się z internetem i dzięki temu mają dostęp do takich nowości jak wysyłanie swoich najlepszych wyników, i w zamian pobieranie tzw. duchów czyli najlepszych wyników innych graczy. W ten sposób możliwe jest rywalizowanie z innymi uczestnikami za pośrednictwem bezprzewodowej technologii Bluetooth lub sieci komórkowych. Aby wziąć udział w mobilnej grze internetowej, należy być szczęśliwym posiadaczem telefonu Nokia.

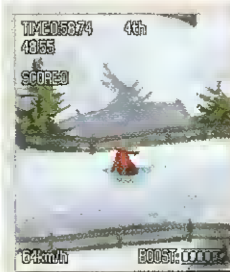
Drugi etap rozpocznie się 19 listopada i potrwa 10 dni. Osoby, które chcą wziąć udział w grze, muszą mieć dostęp do Internetu, adres e-mail i telefon komórkowy z możliwością odbierania sms. Po zakończeniu gry 50 najlepszych graczy w Polsce dostanie w nagrodę mobilną konsolę do gier N-Gage. Ponadto, tylko w Polsce, 20 członków Club Nokia z najlepszymi wynikami, którzy znajdą się w finałowej 50-tce wszystkich laureatów Nokia Game, otrzyma gratis od Club Nokia 2 gry na N-Gage.

Fabuła drugiego etapu Nokia Game przypomina film sensacyjny. Młoda i urocza dziennikarka o imieniu Flo wybiera się na snowboard i tak nieszczęśliwie się składa, że ktoś kradnie jej telefon. W czasie poszukiwań swojego aparatu Flo trafia na ślad tajemniczego spisku. Od tego momentu zaczyna się cała historia w którą mogą być uwikłani dosłownie wszyscy...

Gracze chcąc pomóc Flo odzyskać telefon muszą zarejestrować się w centrum Nokia Game skąd będą otrzymywać wskazówki w postaci wiadomości MMS i SMS. Informacje przydatne do rozwiązania zagadki znajdować się będą także na stronie NokiaGame.com, a także w miejscach najmniej spodziewanych (np. reklamy telewizyjne Nokii), tak więc trzeba mieć oczy szeroko otwarte i dobrze się bawić!

z lewej strony screen ze wskazówkami dla graczy ze strony nokiagame.com, poniżej screeny z gry nokia flo boarding











BEZPIECZEŃSTWO PRZEDE WSZYSTKIM,

czyli co zrobić, żeby sobie nie zrobić krzywdy - przygotowanie do sezonu i rozgrzewka

Przed rozpoczęciem sezonu i pierwszymi wyjazdami trzeba się przygotować fizycznie. Dobra kondycja będzie doskonałą bazą wyjściową do nauki czy też doskonalenia posiadanych już umiejętności. Odpowiednie przygotowanie fizyczne i rozwinięcie pewnych cech motorycznych, takich jak siła, skoczność, równowaga czy koordynacja w znacznym stopniu ułatwiają i przyspieszają snowboardowe postępy. Wytrenowane ciało jest też znacznie uodpornione na kontuzję. Sprawne, rozciągnięte i silne mięśnie wzmacniają stawy i chronią je przed skręceniem czy też zerwaniem więzadeł. Mięśnie też chronią kości przed złamaniem. Tak więc w skrócie mówiąc warto zająć się sobą, jeżeli myślimy poważnie o jeździe na desce. Zająć się to znaczy odpowiednio wcześnie zaplanować sobie zajęcia ruchowe tak, żeby poświęcać na nie conajmniej godzinę dziennie parę razy w tygodniu. Można ćwiczyć na siłowni, gdzie wykorzystując rozmaite urządzenia można przygotować potrzebne nam partie mięśniowe do jazdy na snowboardzie. Ćwicząc trzeba skupić się na mięśniach nóg (można robić przysiady ze sztangą, lub korzystać ze specjalnych ławeczek), trzeba pamiętać o mięsniach brzucha (wszelkiego rodzaju skłony i wznosy nóg) oraz mięsniach grzbietu (podciąganie lub ćwiczenia na atlasie). Bardzo ważna, przy ćwiczeniach jest rozgrzewka. Powinna być ona lekka, ale staranna. Może to być np. 3-5 minutowy bieg lub jazda na rowerku stacjonarnym, po czym troche mocniej, ale z niewielkim obciążeniem wykonujemy kilka ćwiczeń i na koniec rozciąganie. Także po zakończeniu ćwiczeń trzeba pamiętać o rozciągnięciu mięśni (wszelkiego rodzaju skłony i naciągania).

Żeby przygotować się fizycznie do sezonu nie trzeba koniecznie chodzić na siłownię, można podobne ćwiczenia wykonywać w domu. Wykorzystując własny ciężar ciała można robić przysiady, pompki, skłony. Brzuch można ćwiczyć kładąc nogi na np. kanapie, tułów na podłodze i robiąc skłony. Można też biegać w terenie. Właśnie biegi terenowe dają świetne przygotowanie wytrzymałościowe, a wykorzystując ławki lub drzewa można ćwiczyć rozciąganie.

Odpowiedni i regularny trening zapewni widoczne i warte wysiłku rezultaty. Będziemy mniej się męczyć, będziemy mniej narażeni na kontuzje i co najważniejsze jazda na desce będzie dla nas większą przyjemnością.

Teraz kwestia którą większość osób pomija. Rozgrzewka przed jazdą. Bardzo ważna i naprawdę przydatna czynność, którą należy wykonać tuż przed jazdą. Wystarczy poświęcić na nią dosłownie 5 minut. Dodam jeszcze tylko, że rozgrzany zawodnik ma dużo większą płynność ruchów, lepsze wyczucie równowagi, w końcu jest mniej narażony na kontuzje niż osoba olewająca rozgrzewkę. No to hop, rozgrzewamy się. Po kolei, od góry do dołu. Na początek kręcimy głową i masujemy kark. Dalej można rozmasować i rozgrzać nadgarstki i zaczynamy rozgrzewać ręce. Wymachujemy ramionami w przód, w tył i na przemian. Trzeba zrobić kilka skrętów całym ciałem za siebie i jedziemy dalej, kręcimy biodrami, dookoła w jedną i w drugą stronę, po czym wykonujemy kilka skłonów do jednej i drugiej nogi. Czas na rozgrzewkę nóg. Robimy kilka przysiadów raz na jedną, raz na drugą nogę. Rozluźniamy się i wykonujemy kilka podskoków i przysiadów, na przemian. Teraz krążenia kolan, dokładnie i mocno. Na koniec będąc w grupce znajomych można zwyczajnie potarzać się w śniegu. Po takich 5 minutach ruchu powinno się czuć przyjemne ciepło we wszystkich częściach ciała i właśnie wtedy można ruszać na stok... Życzymy bezpiecznej i przyjemnej jazdy...





Dachstein

superstar session



Seppi Scholler bs180 / foto actionscount.com SuperStarSession

Tego pięknego niedzielnego wieczora rozpoczął się zjazd czołówki światowego snowboardingu. Do miejscowości Ramsau, na zaproszenie austriackiego portalu sportowego actinscouts.com przybyło około 50 pro zawodników m.in. Gigi Ruef, Jon Cartwight, Marc Andre Tarte, Ile Eronen, Christoph Schmidt, Flo Mausser, Marco Grilc, Friedl Kolar, Sani Alibabic, Danu Kautman, a wśród nich wielu snowboardowych fotografów i kamerzystów, wszyscy po to, aby ciężko pracować nad materiałem, który będziemy mogli oglądać przez cały następny sezon. Impreza pt. SuperStarSession rozpoczyna się!!!

Poniedziałek, następnego dnia nie było ładnej pogody, mimo tego, że w mieście było bardzo ciepło, to na lodowcu było mgliście i wiał dość mocny wiatr, wszyscy jednak jak jeden mąż stawili się w snowparku „ready for action". Pomimo, że nie było warunków do prawdziwego snowboardingu, to jednak wszyscy próbowali coś wymyśleć ciekawego. Najbardziej kreatywnym pomysłem tego dnia był konkurs na najwyższe



roman marti / foto actionscount.com SuperStarSession

superstar session



tadej valentan /nose press / foto actionscount.com SuperStarSession



marc andre tarte / ollie / foto actionscount.com SuperStarSession

ollie, wygrał go pan Marc Andre Tarte, kanadyjska snow-maszyna. Późnym popołudniem, mgła minęła, pojawiły się dość spore połacie błękitnego nieba, niestety kolejka kończyłą pracę i było trzeba zwijać się do domu. To była dobra zapowiedź na następny dzień!

Nazajutrz pierwsza jadąca na górę gondola była zapakowana kilkudziesięcioma super zmotywowanymi do jazdy kolesiami. Szejperzy nie zawiedli, gdyż jeszcze w nocy gładzili park, więc z rana był przyjemnie zmrożony, a bozia wywiązała się z pogody, usuwając z nieba wszystkie chmurki. Zajawka 100 procent, do tego stopnia, że chill area z darmowym piwem była pusta przez większość dnia!!

Większość zawodników koncentrowała się na wielkim hip'ie i transferze między dwoma skoczniami, to chyba dlatego, że niewiele jest takich konstrukcji w Europie. Mocno oblegane były raile oraz pięknie wyprofilowany halfpipe. Wszyscy zawodnicy nawzajem ładowali się swoją jazdą i szybko podnosili poziom tricków, oczywiście wszystko ku uciesze ludzi z mediów. Specjalne honory m.in. dla pana Andre, który trikam i przez hip przeszedł chyba samego siebie, poleciały wszystkie wielokrotności 180 stopni, super stylowo i z pieknymi długo trzymanymi grabami. Bjorn Hartweger pokazał najbardziej stylowe i najwyższe backside Shifty. Młody szwajcarski masta Romain Marti, zarządził super wolnym butterem switch bs 720 i to z największej skoczni, a Lika Ojansivu i Tadej Valentan mieli swój własny battle na łamanym railu, mistrzowskie fs noseslidy przy okazji.

Doskonała pogoda nie chciała się skończyć, organizatorom udało się załatwić specjalną dodatkową gondolę, dlatego większość riderów i fotografów pozostała w górach, aby korzystać do końca z wyjątkowego światła.

W środę nikt już nie czuł mięśni, ale nikt o tym nie myślał, przy śniadaniu rozmowy dotyczyły tylko wtorkowej sesji. Jak na złość, niebo się zachmurzyło i wiatr zaczął wiać, a deszcz padać. Cóż, pech. Po prostu cholerny pech!! Niektórzy zrobili sobie wycieczkę do pobliskiego skateparku w St. Joann, ale większość przesiedziała na basenie w jacuzzi, relaksując mięśnie.

Pierwszy actionscount.com SuperStarSession kończy się tylko z jednym dniem dobrej pogody, to nie dużo, ale wystarczająco aby zrobić tony dobrego materiału, szczególnie kiedy pojawiają się tak zmotywowane do jazdy jednoski.

Wielkie podziękowanie dla głównego szejpera parku Berna Mandlberga i jego całej ekipy, która jak nas zapewniała cały czas będzie robiła w parku nowe rzeczy. Oczywiście sprawdzimy to, i to jeszcze w tym roku!!!

Dachstein

mone monsberger / foto actionscount.com SuperStarSession

fotoprezentacja



rider: Jens Anstetter / fs. boardslide / gap / foto: rafalwielgus.com

fotoprezentacja

mat hoffman



foto wzrr/wojtek antonów


rooftop swimimig pool drop czyli z dachu do basenu
foto hoffmanbikes.com

gdziekolwiek się człowiek nie ruszy w bmx-owym światku wszyscy znają nazwisko i sylwetkę Mata Hoffmana. nie tylko zresztą bmx-owcy znają tą postać. Hoffman jest rowerowym odpowiednikiem Tony Hawka czy nawet Michaela Jordana, prowadzi swoją własną firmę produkujaca rowery, jest bohaterem dwóch części gry komputerowej. tak więc jego sława rozciąga się poza świat sportowców i zahacza o rejony ogólnoświatowej kultury. jednak jedno trzeba powiedzieć, Mat Hoffman jest najlepszym w historii bmx zawodnikiem na rampie, lista jego osiągnięć zajęłaby połowę tego magazynu, więc już się tym nie zajmujmy, tylko przejdźmy do tego, co Hoffman powiedział mi gdy zaczepiłem go z prośbą o krótki wywiad na tegorocznej Nokia Totallyboard w Sevilli. jedziemy...

Jak to się stało, że zacząłeś jeździć na rowerze? To znaczy nie chodzi mi o to jak zostałeś pro, tylko jak to było w najmłodszych latach? Urodziłeś się, jak to mówią, na rowerze?
Od zawsze byłem bardzo wysportowany, dorastałem i próbowałem wszystkich sportów koszykówki, futbolu i innych, ale żadnej z nich tak naprawdę nie lubiłem. Ci wszyscy trenerzy, zasady... Szukałem zajęcia, które by mi bardziej odpowiadało i odkąd tylko zacząłem jeździć na rowerze powoli inne zajęcia zaczęły schodzić na drugi plan. Wybrałem tę drogę, która jest sportem, możliwością wyrażenia siebie i trochę nawet sztuką. Moimi prawdziwymi korzeniami są bmx-owe wyścigi dirt racing. To tradycja, esencja bmx. Dopiero po tym etapie zacząłem robić triki, okazało się, że robię to dobrze, że kocham to robić, że chcę to robić. I dzięki Bogu robię.
A co myślisz o innych sportach rowerowych, takich jak kolarstwo czy mountainbiking?
To zupełnie inne dyscypliny. Tak samo oczywiście trzeba się poświęcać dla nich, trenować, dążyć do czegoś, ale to są zupełnie inne cele niż w bmx. No i nigdzie nie można się tak rozwalić jak na bmx-ie... Kiedyś nawet próbowałem robić coś na mountainbike'u, ale to nie to. Bmx wydaje się być idealnie stworzony do tego co robię, jest mniejszy, łatwiejszy do kontrolowania.
Próbujesz innych „ekstremalnych" sportów?
Dorastałem z deskorolką. Zawsze miałem deskę i z bratem jeździliśmy na rampie. Teraz ciągnie mnie w stronę sky diving i base jumping, to naprawdę niewiarygodne przeżycia. To mnie cieszy.
Hobby?
Gram na gitarze, prowadzę firmę produkującą rowery... A, przecież jeszcze mam rodzinę, jestem ojcem!
Jakiej muzyki słuchasz?
Takich kawałków jak Tom Waits, Fugazi i innych punkowych kapel ze wschodniego wybrzeża, Boba Marleya, można by tak wymieniać. Czasami hip-hop oldskul jak BDP, EPMD i takie inne.
Powiedz, w jakiej jesteś obecnie kondycji?
Uch, miesiąc temu spadłem na plecy i wtedy ostatni raz jeździłem. Dzisiaj (Nokia Totally Board - przyp. red.) będę jeździł pierwszy raz od urazu. Ale czuję się całkiem nieźle i cieszę się, że będę mógł pojeździć ze znajomymi. Trzech z jeżdżących dzisiaj zawodników jest z mojego teamu. Poza tym podoba mi się tutaj, słońce świeci, dużo ludzi, dobra rampa...
Obecnie jesteś znany jako zawodnik rampowy, jeździsz jeszcze na ulicy?
Faktycznie, od pięciu czy nawet więcej lat jeżdżę tylko vert. Prawda jest taka, że na dircie i ulicy miałem dużo kontuzji, w wyniku kontuzji kilka poważnych operacji. W tej chwili moje kolana i nie tylko nie nadają się za bardzo na jazdę na ulicy. Czasami jednak jeżdżę w mieście. Tylko wtedy to jest zabawa, a nie hardkor. Ale lubię bardzo uliczny bmx, w tej chwili miejscówki w miastach są tak zajawkowe, można robić wszystko, tylko wyobraźnia może ograniczać rajderów.
Tyle kontuzji, niebezpieczne sporty, chyba jesteś nieźle ubezpieczony?
Taa, za moje kontuzje skasowałem trochę szmalcu... Zawsze ubezpieczam się jako osoba prywatna, właściciel firmy, żadna firma nie chciałaby ubezpieczyć typa, który skacze z samolotów, budynków i na rowerze.
Myślałeś kiedyś, że zostaniesz bohaterem gry komputerowej?
Ukazały się już dwie części gry Mat Hoffman Pro Bmx, teraz trwają prace nad trzecią częścią. Kiedy zaproponowano mi współudział przy tworzeniu pierwszej części, pomysł mi się bardzo podobał, wiesz grałem nałogowo w Tony Hawka i cieszyłem się nawet, że powstanie taka gra o bmx-ach. Tylko ile to jest roboty, człowieku, projektowanie tras, programowanie trików, koszmar... Nie żartuję, dużo pracy, ale efekt mi się podoba. Mam nadzieję niedługo trzecia część gry.
Lubisz grać w Tony Hawka, przyjaźnicie się?
Tony Hawk to wyjątkowy gość. Spotykamy się na różnych imprezach, zawodach, graliśmy nawet razem w jego grę. Jest mistrzem. Nie tylko w grze, w życiu i na vercie też jest prawdziwym mistrzem.
Jak ci się współpracowało z twórcami serii Jackass, występowałeś w kilku odcinkach?
Znam ich od dawna, wiem, że są świrami. Wszystko było naturalną zabawą i o to chodziło. Było śmiesznie w każdym razie.
Dzięki za wywiad, masz może coś do przekazania naszym czytelnikom?
Trzymajcie się wszyscy, pilnujcie swoich zajawek i nie pozwólcie im zginąć. Jak tylko będę miał okazję to wpadam do Polski trochę pojeździć. Ostatnio zgłosił się do mnie przedstawiciel jakiejś polskiej firmy, która chce współpracować z nami, tak więc wszystko jest możliwe.
Hmm... Może być problem ze znalezieniem rampy, w Polsce nie jest najlepiej, jeżeli chodzi o przeszkody...
O, to niedobrze, szkoda, że nie ma gdzie jeździć. Jak przyjadę to zbudujemy piękny vert i zostawię go na miejscu, ok?
Ok, do zobaczenia w takim razie, dzięki!
Dzięki.

.:wywiad wzrr/wojtek antonów:.

full loop i back loop z planu jackass / foto hoffmanbikes.com
















idealny superman, sevilla - nokia totally board
foto wzrr/wojtek antonów

Kona Racing 2003

Jak zorganizować zawody, na których i kibice, i zawodnicy będą się dobrze bawić? Jakie zapewnić atrakcje i nagrody? Te i wiele innych pytań zadaliśmy sobie, gdy powstał pomysł na zorganizowanie Kona Racing 2003.

Priorytetem było zorganizowanie zawodów, które zintegrują scenę MTB i BMX. Podstawowy problem to brak w Polsce torów speedcrossowych, na których można by było zorganizować Racing BMX. Jedynym, który udało nam się znaleźć to miejsce treningu bródnowskiego OneManTeamu. Tor był zbudowany legalnie, więc łatwiej było uzyskać pozwolenie urzędników na zrobienie imprezy i gdy dostaliśmy oficjalną zgodę pozostało tylko zabrać się do roboty.

Zalążek toru już był, więc należało go tylko przygotować pod BMXy, wygładzić i usunąć kamienie. Gdyby nie pomoc OneManTeamu nigdy by nam się to nie udało na czas.

O zbudowanie hop do Dirt Jumpingu poprosiliśmy Dominika Drabicha. On również poświecając swój wolny czas wykonał kawał dobrej roboty. Cztery hopy w rytmie, które zbudował były sporym problemem dla niedoświadczonych zawodników. Tylko najlepsi technicznie zdołali pokazać triki na wszystkich czterech.

Dzień zawodów zaczął się dla nas bardzo wcześnie... Pobudka 4:30 i wyjazd na tor. Przejazdy treningowe miały zacząć się o 9, lecz cześć zawodników przyjechała dużo wcześniej aby zapoznać się z miejscówką. Gdy tylko odpaliliśmy komputer rozpoczęliśmy zapisy. Jakież było nasze zdziwienie, gdy lista przekroczyła 70 osób. Ostatecznie w Kona Racing 2003 we wszystkich kategoriach wystartowało aż 73 zawodników. Jak na zawody offowe wynik jest imponujący.

Na liście startowej znalazły się takie nazwiska jak Drabich, Kucbora, Koniuszewski, Miśkiewicz, Pietruczuk i Solarski, czyli cała śmietanka. Po eliminacyjnej czasówce najlepszy był Wojtek Koniuszewski, drugi Frutis, który na wszystkich przeszkodach kręcił Yetiego a trzeci - najmłodszy z zawodników - Robert Kulesza. Maciek Kucbora wycofał się ze startów w wyniku kontuzji barku, również Grzegorz Falski nie ukończył przejazdu eliminacyjnego po dość poważnym upadku.

Większość startujących bmx'owców po takim torze jechała pierwszy raz w życiu. Nieznane przeszkody takie jak bandy i racingowe hopy sprawiały im na początku trochę problemów, jednak gdy rozpoczęły się starty we dwójkach wola walki nieznacznie wzrosła.

Chłopaki na iksach mieli sporo zabawy ze ścigania się, widać było że nie podchodzą to tego tak poważnie jak mountainbike'owcy.

Faworytem Racingu był od początku Szwed i to on wygrał tę konkurencję. A ponieważ były to pierwsze takie zawody w Polsce, uznaliśmy go za I Mistrza Polski w Racingu BMX. Pozostałe miejsca zajęli Piotrek Wyszyński zwany Boyem i Tomek Kućkowski z Łomianek.

W dualu od początku widać było dominację Diabła. Gdyby jednak nie postawa Fair Play ze strony Robina i chęć powtórzenia biegu, w którym Diabeł miał pewne wątpliwości dotyczące startu, kto wie jak wyglądała by lista wyników. Na pewno wielkim przegranym jest Arczi, którego objechał na ostatnich metrach 15 letni Robert Kulesza. Jednak jak wiadomo Zwierzu najlepiej czuje się w zjeździe a dual nie jest jego sztandarową konkurencją.

W fianałach dualu walka o pierwsze miejsce rozegrała się między Koniuszewskim a Dębskim i ostatecznie Diabeł wygrał. Mały finał zakończył się na przejeździe dwóch reprezentantów OneManTeamu Ostrowskiego i Kuleszy, z którego Ostrowski wyszedł z na miejscu trzecim. Po zakończeniu ścisłych zawodów, na torze rozegraliśmy dwa dodatkowe biegi. Pierwszy, w którym wystartowały panie, czyli Matylda Wrzesińska na BMX`ie i Dibi na dualówce. Dibi tryumfowała nad młodziutką rywalką, jednak trzeba przyznać, że Matylda z wielką odwagą pokonywała niełatwy tor. Liczymy, że za rok znowu zobaczymy ją na BMXowych zawodach.

Drugim biegiem dodatkowym był Super Finał, czyli wyścig najlepszego mountainbikera z bmiksiarzem. Szwedowski niestety nie mógł wystartować więc Diabeł pojechał z Tomkiem Kućkowskim i ponownie okazał się najlepszy. Szkoda że Szwedowski nie wystartował z Koniuszewskim - zapowiadał się naprawdę interesujący pojedynek.

Finał imprezy przeniósł się na hopy wykopane przez Doktora. Niemal godzinny Jam Session wyłonił najlepszego Dirt Jumpera w BMX i w MTB. Poziom trików był zupełnie niezły - one touche, nothingi, tailwhipy, 360 oraz wiele innych wygłupów, na małym i dużym rowerze można było zobaczyć podczas konkursu. Tylko Jankowi Pietruczukowi i Doktorowi udało się przelecieć wszystkie cztery hopy. W ocenie trójki sędziów najlepszym BMX`owcem został Dominik Drabich a z górali wygrał Wariat z Kazury, czyli Grzesiek Konwicki.

Na terenie zawodów, dzięki firmie Ski Team mieszczącej się przy ulicy 17 Stycznia, można było zapoznać się z nową kolekcją Kony. ArMar pokazał BMX`y Perva. Kafejka Internetowa - „Piękna" z ulicy Pięknej 66 zapewniła dla zawodników i kibiców ciepłe posiłki. W trakcie całych zawodów mieliśmy


Grzesiek Konwicki (wariat z kazury) hiclicker


[illegible]chowy przejazd Waldka Kiepskiego


Nypel (wschodząca gwiazda)

przyjemność słuchania hardcorowej muzyki. Dzięki Bykowi i firmie InPleno oraz takim zespołom jak Weed i My Pole. Największe podziękowania należą się jednak Burmistrzowi oraz całemu Urzędowi Dzielnicy Targówek, który ufundował wspaniałe rowerowe puchary i od początku był nam bardzo przychylny.

Po wręczeniu nagród należał nam się wypoczynek więc... wyruszyliśmy na After Party do Klubu Dziennikarza przy ul. Nowy Świat. Tam niedzielna zabawa zamieniła się w poniedziałkową. Rodzinny klimat oraz piwko rozluźniło towarzystwo. W konkursach siłowania się na rękę brały udział nawet dziewczyny, a typowo męską konkurencję w piciu piwa na czas wygrał sam Mistrz Polski - Maciek Kucbora. Ja z Rudym zakończyliśmy na kowbojskim pojedynku na plaskacze, jednak nie pamiętam kto wygrał...

Dziękujemy wszystkim, którzy nas odwiedzili i dobrze się bawili i zapraszamy na inne imprezy organizowane przez Atom, czyli Wełnę, Pawelca i Sierścia.

.:tekst Pavulon:.
.:foto Feliks.Szewczyk.info:.



Nypel
no footer

Grzesiek Konwicki (wariat z Kazury)
can can



na zdjęciu człowiek ze zwycięskiej ekipy POKEMON


walka finałowa EXPRESSION vs POKEMON


zawodnicy z Azji rządzili na tegorocznej BOTY - zawodnik z FIREWORKS Japonia

BATTLE OF THE YEAR 2003

Specjalnie dla Ślizgu swoje wrażenia z tegorocznej BOTY zgodził się opisać Stanley, zawodnik obecny na polskiej scenie breakdance od kilku (jak nie kilkunastu) lat. Stanley pochodzi ze Stargardu Szczecińskiego i związany jest z grupą RTB. No to co? Nie ma na co czekać, jedziemy! Oh, yeaaaaaaaaaaah!

„Stało się. 25. 10. 2003 Battle of the Year w Braunschweig (Niemcy). Ponad 8000 osób z całego świata po raz kolejny doświadczyło tego największego w breakdancowym światku wydarzenia na żywo. W tym roku w wyniku serii imprez kwalifikacyjnych w walce uczestniczyło szesnaście grup z kilku kontynentów:

„WICKID FORCE" - Australia
„THE DYNAMICS" - Belgia
„ELECTRIC FORCE CREW" - Bulgaria
„SUBMISSION" - Estonia
„MANIAX" - Niemcy
„BREAK THE FUNK" - Włochy
„QWIK 'N' EZY" - Nowa Zelandia
„NO HALF STEPPIN" - Szwajcaria
„QUASSIT X-BOYS" - Słowacja
„ADDICTOS" - Hiszpania
„AZANIAN FLAMES" - Południowa Afryka
„TOP 9" - Rosja

Między nimi były też „czarne konie" imprezy, czyli:
„POKEMON" - Francja
„FIREWORKS" - Japonia
„EXPRESSION" - Korea
„GAMBLER" - Korea

Dzień wcześniej, czyli w piątek 24.10.2003, odbyła się impreza WARM UP PARTY dla B-boy'ów uczestniczących w bitwie. Niestety, mnie tam nie było, ale mam materiał z tej imprezki i wiem, że było tam naprawdę gorąco. Powiem tylko jedno, koreańskie: „EXPRESSION" i „GAMBLER" oraz „FIREWORKS" z Japonii nie miały sobie równych. To, co oni tam robili (w kółkach) - masakra! Porównując bitwę oficjalną, a „WARM UP PARTY", to dzień do nocy. To właśnie w piątek B-boy'e pokazali 100% swoich umiejętności, takich numerów pozazdrościłby niejeden tancerz!

To jednak nie jest realcja z „WARM UP" tylko z BOTY, więc do rzeczy. Na początku przedstawiło się nam jury w składzie:

CRAZY - Szwajcaria
PAT - Niemcy
LAMINE - Francja
DAMON - Szwecja
HER-MAN - Niemcy

Po krótkiej prezentacji jurorów zaczęły się występy grup. Ekipy biorące udział w BOTY miały po 6 minut na prezentację swoich umiejętności. Na pierwszy ogień poszedł skład, który wygrał BOTY EUROPE Polska - „QUASSIT X--BOYS" ze Słowacji. Nie pokazali, krótko mówiąc, nic specjalnego. Zatańczyli to samo, co w Szczecinie i nie zrobili nic, co by mnie osobiście rozjebało. Zresztą nie tylko mnie...

Na szczęście później było już tylko lepiej. Najbardziej utkwiły mi w pamięci grupy z: Australii, Hiszpanii, Południowej Afryki i Niemiec. Podobali mi się z bardzo prostego powodu - mianowicie zatańczyli z własnymi pomysłami i stylem. Ich pomysłowość i oryginalność świadczy o szacunku do innych składów, bez ściągania numerów i tanich chwytów. Co ciekawe była jedna grupa („SUBMISSION" z Estonii), która zrobiła podobny numer jak „R. T. B." w 2002 na BOTY Europy Wsch. w Polsce - chodzi mi o numer z płytą, na której B-boy kręci bańkę. Świadczy to o tym, że Polak też potrafi dojść do oryginalnego pomysłu (szacunek i pozdrowienia dla „R. T. B.").

Z wyżej wymienionych grup, jedną szczególnie zapamiętałem. To była ekipa „MINIMAX" z Niemiec, zauważyłem ich z dwóch powodów: mieli idealnie dopasowaną muzyk oraz dobry pokaz z mistrzowskim wykonaniem Electric Boogie. Chylę przed nimi czoła.

Żal, że żadna nasza rodzima ekipa nie występowała, ale jeżeli chodzi o Polskę, mam nadzieję, że w przyszłym roku zobaczymy tam którąś z naszych ekip. Tylko którą??? Może „R. T. B.", „NASA"... Wszystko zależy od formy. W końcu czekają nas jeszcze trzy imprezy w Polsce, w przyszłym roku:

- Marzec 2004: walka pięciu na pięciu - Warszawa
- Mistrzostwa Polski - Konin
- Mistrzostwa Europy - Szczecin

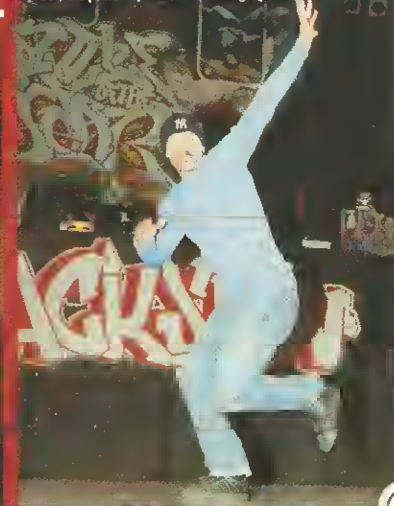
Dwie ostatnie imprezy organizują Asia i Andrzej Tyszkiewicz.

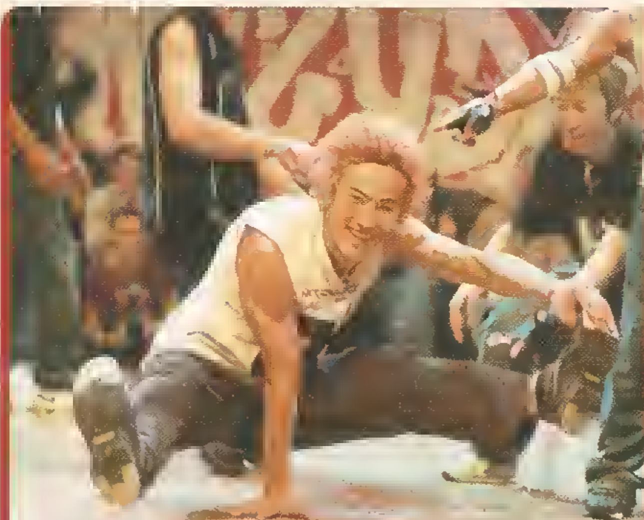
Jeśli chodzi o „czarnych koni" 2003 BOTY: „EXPRESSION", „GAMBLER", „POKEMON" i „FIREWORKS", to nie mam pytań do tych kolesi.

Rozwalają mnie swoją oryginalnością, poczuciem rytmu, muzą i w ogóle swym zajebistym poziomem ta-


ADICTOS - Barcelona


trofeum BOTY i jego tw rca


jeden z sędziów podczas krótkiego pokazu



zawodnicy z EXPRESSION nie tylko dobrze tańczyli, ale też bawili się przy tym świetnie



necznym. Od początku do końca ich układy były na maksymalnie dopracowane. Dzięki temu, grupy te znalazły się na czołowych miejscach i miały prawo do walki o prymat BOTY 2003.

W przerwie, pomiedzy pokazami wystąpiła grupa „BINARY STAR" z USA. Byli nieźli, ale wszyscy chcieli wiedzieć, kto wygra tegoroczne BOTY. Pojawiła się również wcześniej zapowiadana ekipa „FLYING STEPS", która zrobiła zajebisty pokaz taneczny z piłkami do kosza. Naprawdę, show nie do opisania.

I stało się. Walka o trzecie miejsce: Korea „GAMBLER" vs. Japonia „FIREWORKS". Rozpoczęło się delikatnie, numer za numer. Po kilku minutach weszła obydwie grupy poczuły zajebistą zajawkę - kto wygra, kto jest lepszy. Doszło do wymiany na power moves, jednak jeden z japońskich tancerzy nie dawał rady i doszło do małego spięcia. Zrobiło się gorąco i niemal doszło do rękoczynów. Interweniowali sędziowie i na szczęście po chwili zamieszania wszystko wróciło do normy. Walka toczyła sie dalej, ale było widać, że B-Boy'e z Korei mieli takie numery, że Japończycy z „FIREWORKS" nie umieli znaleźć odpowiedzi na ataki rywali. Dzięki temu Korea zajęła trzecie miejsce.

Walka o pierwsze miejsce toczyła się między zeszłorocznymi tryumfatorami BOTY „EXPRESSION" z Korei a „POKEMON" z Francji. Każdy z tancerzy śledzących wszystkie BOTY stwierdziłby jednoznacznie, że jest to rewanż za zeszłoroczny finał Korea vs Francja. Ta walka od samego początku była ostra i zawzięta. „EXPRESSION" robiło wiele numerów z poprzedniego roku dodając niewielkie zmiany z zajebistym efektem. „POKEMON" ratowali się natomiast tanecznością, której brakowało „EXPRESSION".

Teraz spróbuję zrobić małą symulację punktowania obydwu finalowych ekip. Tak więc moim zdaniem „EXPRESSION" wygrali i dostali następująco:

Power moves (łączenia i trudność wykonania) - 2 punkty
Freezy, rowery - 2 punkty
Taneczność - 1 punkt
Drugie miejsce „POKEMON":
Power moves (łączenia i trudność wykonania) - 1 punkt
Freezy, rowery - 1 punkt
Taneczność - 2 punkty
Jednak według jury wyniki były inne:
I Miejsce: „POKEMON" - Francja
II Miejsce: „EXPRESSION" - Korea
III Miejsce: „GAMBLER" - KOREA
IV Miejsce: „FIREWORKS" - Japonia

Wiadomo już kto wygrał. Dodam jeszcze tylko, że hala w Brunszwiku była prawie w całości zapełniona, ludzie maksymalnie żywiołowo reagowali na to co działo się na scenie, a w przerwach między występami błyskawicznie tworzyły się kółeczka chętnych do tańczenia. Atmosfera nie do powtórzenia na jakiejkolwiek innej imprezie breakdanceowej.

Podsumowując, Battle of the Year 2003 - była to jedna z najlepszych bitew, na których byłem. Z roku na rok poziom taneczności jest coraz wyższy, dlatego warto pojechać w przyszłym roku i jeszcze raz podziwiać tą imprezę.

Pozdrowienia dla wszystkich B-Boys na świecie!!!
PEACE

.:STANLEY („R.T.B."):.
.:Mała pomoc - kun:.
.:foto: WZRR/Wojtek Antonów:.



prowadzący imprezę - Spa[illegible]rix



w kółeczkach można było zobaczyć niezłe numery, tu trafiliśmy na kółko dziewczyn



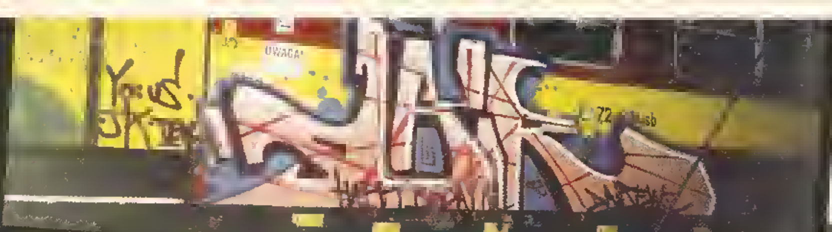


w VWhalle w Brunszwiku było tego wieczoru 8000 ludzi

graffiti magazin

HANDMADE 03

sh**t a cop to kil







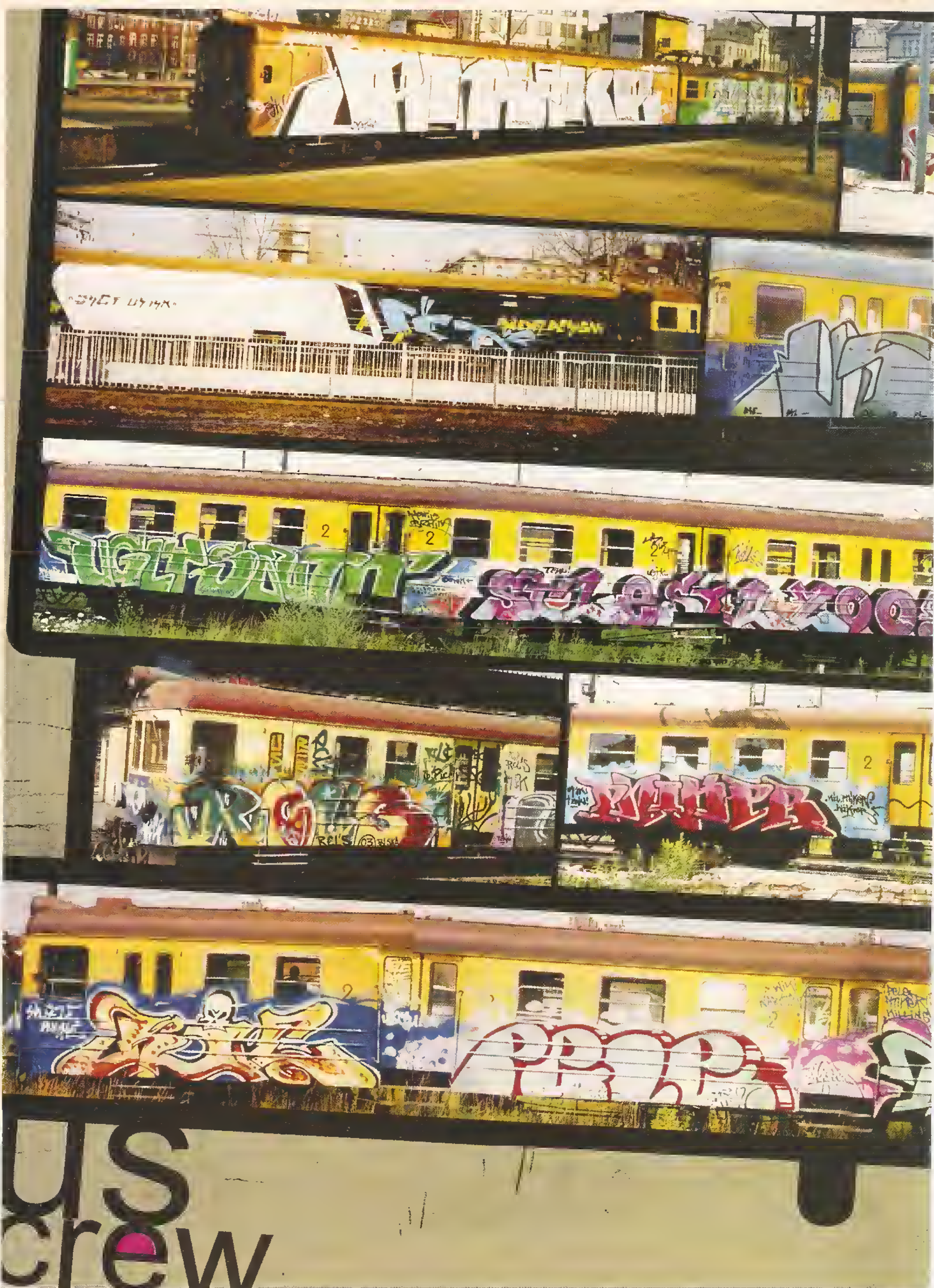


us crew
us crew



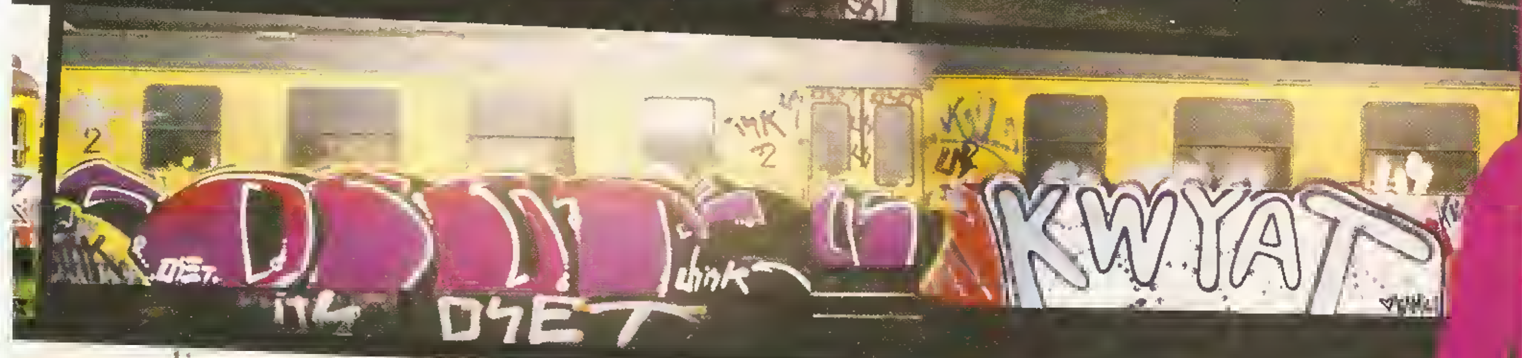


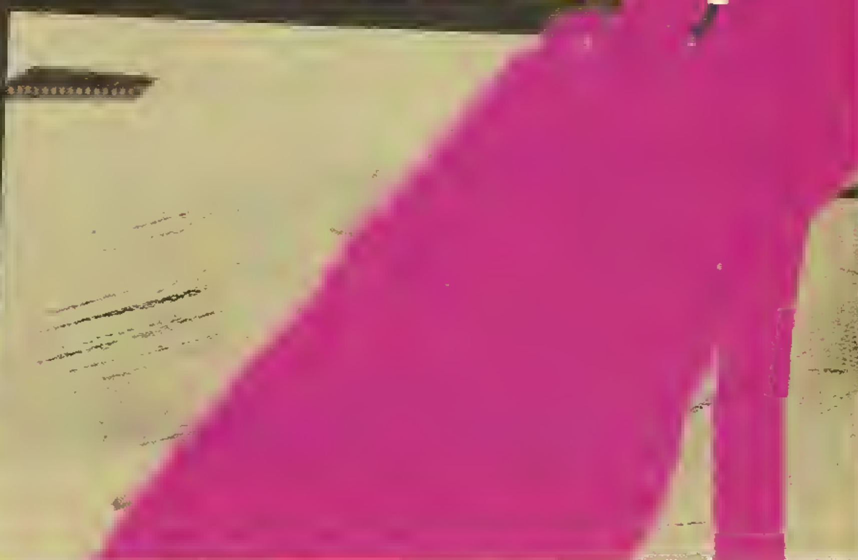

us
crew


us
crew






KWYAT

























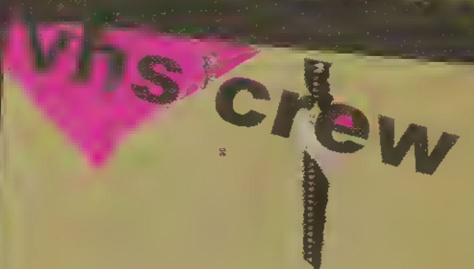












vhs crew



do ra ef , jak j es foty to na: fixy@hip-hop

ja linki to na : tb1@poczta.onet.pl

a j k jakieś ale to na: handmade_zin@wp.pl

dobra, redakcja:

nas

jarosz

skotak

f.one

NAJWIĘKSZE HIP-HOPOWE WYDARZENIE ROKU !!!

20 GRUDNIA 2003

GANG STARR W POLSCE !!!

Koncert promuje płytę pt.: „The Ownerz"

SUPPORTY: ZIP Skład, Grammatik, Włodi, Rhymes Street Squad (Czechy)

WARSZAWA - CENTRUM TARGOWE MOKOTÓW, ul. BOKSERSKA 71

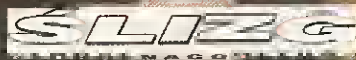
Start godz. 19.00, bilety w cenie: 40 zł do 30.11; 49 zł od 01.12 do 19.12; 59 zł w dniu koncertu.

Przedsprzedaż: Bileterie EMPiK, Sklepy [illegible] oraz Yo Shop

Rezerwacje internetowe: www.hip-hop.pl i www.[illegible]













portret
remik
W rynsztoku albo w złotych butach

„Nie kręci mnie fame" - powiedział od razu na początku Remik. Sama rozmowa, a raczej przerwany tylko kilka razy monolog prowadzony przez komórkę, trwał ponad godzinę i trwałby dłużej gdyby nie rozładowały nam się obojgu telefony. Ekspresja i gorąca pasja z jaką Remik wypowiada się o swojej, obchodzącej właśnie rocznicę powstania, firmie z pewnością przekłada się na moc, z jaką UMC weszło na polski rynek hiphopowy. Owal, Mezo, Ascetoholix i Pięć Dwa Dębiec szturmują media. Co stoi za tak błyskawicznym sukcesem wielkopolskiej wytwórni? Przede wszystkim trzeźwe, unikające obłudy spojrzenie na polski szołbiznes plus... talent artystów!

Jeszcze dwa lata temu 24-letni wówczas Remik nie miał zielonego pojęcia o hip-hopie. Słuchał Perfectu i IRY, choć od czasu do czasu puszczał muzykę w klubie Trops i spędzał dużo czasu z żoną - Asią. Pracował wtedy jako agent promotora Zbyszka Bańkowskiego w Boksie Zawodowym i organizował największe gale Boksu w Polsce. Odkąd pamięta był typem kamikaze - kasyno, zakłady - to był jego żywioł. Osiem lat temu obstawiając mecze piłkarskie poznał Urbana - dziś drugą połowę trzęsącą UMC.

W tamtych czasach z hip-hopem kojarzył mu się jedynie Peja i to tylko dlatego, że mieszkał z nim na tej samej ulicy. Przez Urbana Remik miał w końcu okazję poznać Peję osobiście. Już podczas pierwszego spotkania wpadli na pomysł zrobienia wielkiego, konkurencyjnego dla Opola, festiwalu, który wznieciłby ogień na wielkopolskiej scenie hip-hopowej.

W poznańskim klubie Arena mieści się 2/3 ludzi z katowickiego Spodka. Jej wynajem jest trzy razy tańszy. Chłopaki postanowili spróbować. Zawrotna suma organizacji, sprzętu, ochrony, promocji i gaż dla artystów, która przekroczyła 110.000 złotych zmusiła ich do szukania dużego sponsora. Stała się nim firma New Yorker, którego obecność i wkład finansowy przełożył się na nazwę imprezy „New Yorker Festiwal". Pierwszy festiwal odbył się szesnastego kwietnia 2001 roku. Wystąpił Peja, Owal, Mezo, Ascetoholix, WWO, Fenomen, Pięć Dwa Debiec. Ponad 4 tysiące ludzi - taka frekwencja przerosła oczekiwania organizatorów.

Potem przyszedł czas na drugą imprezę, a właściwie cykl „Bless Da Mic". Na pierwszym Bless wystąpił KC Da Rookie, na drugim miała być super gwiazda, ale nie zgadzały się terminy Areny i artysty w Polsce. Impreza okazała się wielkim sukcesem i Remik zgromadził na tyle duże fundusze, by móc je w coś zainwestować. - W tym roku zrezygnowałem z organizowania Bless Da Mic, bo ja albo robię coś z rozmachem albo wcale, tymczasem Arenę rezerwować trzeba pół roku wcześniej. Już zaklepałem kwiecień 2004 na New Yorkera - tłumaczy Remik.

Po kolejnych udanych imprezach - Remik stał się w środowisku hip-hopowym osobą znaną i rozpoznawaną. Któregoś dnia przyszedł do niego Owal z prośbą o pomoc w szukaniu wydawcy. Uznał, że osoba z taką siłą przebicia i kontaktami nadawałaby się świetnie na menedżera. Tymczasem Remik zobaczył siebie w innej roli. Przesłuchał materiału z demówki i podjął decyzję o założeniu UMC.

W tej chwili wydajemy reprezentantów wszystkich stylów; od braggadocio po hardkor - podsumowuje roczne osiągnięcia Remik. Rzeczywiście, UMC ruszyło od razu pełną parą. Po Owalu dołączył skład Ascetoholix, potem Mezo, wiosną pojawił się Pięć Dwa Dębiec, a lada moment premiera Jeden Osiem L. Na początek przyszłego roku planowany jest długo oczekiwany debiut - Pan Duże Pe z Warszawy. Remik wpadł na pomysł, żeby ściągnąć go do wytwórni dopiero po tym, jak Mezo nagrał z nim „Harmonię" na zwieńczony sukcesem album „Mezokracja". - Pe to szołmen - mówi Remik - powiedziałem mu, że będzie o nim głośno i Pe się tego rozgłosu nie boi.

UMC zalewane jest masą demówek, choć do tej pory tylko Jeden Osiem L z Płocka dostało się pod skrzydła wytwórni w ten sposób. Większość swoich artystów Remik zwerbował, gdy poznał ich osobiście na New Yorkerze. Wykonawców na ten festiwal dobierał Peja i Remik ufał, że wybierze najlepszych.

UMC nie kryje, że kluczem do sukcesu jest agresywna polityka medialna. Mezo na przykład pojawił się w Telexpressie, 30 Tonach, Przebojach Jedynki, Teleskopie, Gali Wielkopolan na TVP 2, a to dopiero początek! Remik nie widzi powodu, żeby stronić od Brava czy Popcornu. To tylko kolejne gazety, tyle, że z ogromnym nakładem - tłumaczy. Podkreśla, że nikogo do niczego jeszcze nie zmusił i jeśli artysta się uprze, że gdzieś nie pójdzie - ma do tego prawo. Niedawno Mezo dostał propozycję wystąpienia w Barze. Nie znalazł się tam jednak. Wspólnie ustalili bowiem, że pójście do programu, który, owszem, ma dużą oglądalność, ale żadnego związku z muzyką, to już nie ryzyko, a psucie sobie wizerunku.

Remik nie widzi niczego zdrożnego w słowie „komercja". Każdy, kto myśli o wydaniu płyty na legalu już myśli komercyjnie - twierdzi - dziwi mnie jak niektórzy wyzywają mnie na forum od „komerchy", a sami wysyłają mi potem swoje dema. Podkreśla swoje uznanie dla Tedego, który nie bał się krytyki i nic sobie nie robi z komentarzy zazdrośników. - Brawo Tede! Dziesięć punktów dla ciebie - komentuje współpracę rapera z Natalią Kukulską.

Niektórzy mówią, że w biznesie nie ma miejsca na przyjaźń. W przypadku UMC jest odwrotnie - trudno wyobrazić sobie biznes bez przyjaźni. Rzeczywiście, współpraca między UMC a raperami musi opierać się na wzajemnym szacunku i zaufaniu, gdyż zawierane są tylko umowy... ustne. Remik uważa, że żaden papier nie jest w stanie zagwarantować dobrej współpracy. Jeśli kiedyś ewentualnie pojawi się konflikt, będzie można się polubownie rozstać i nie ciągać po sądach.

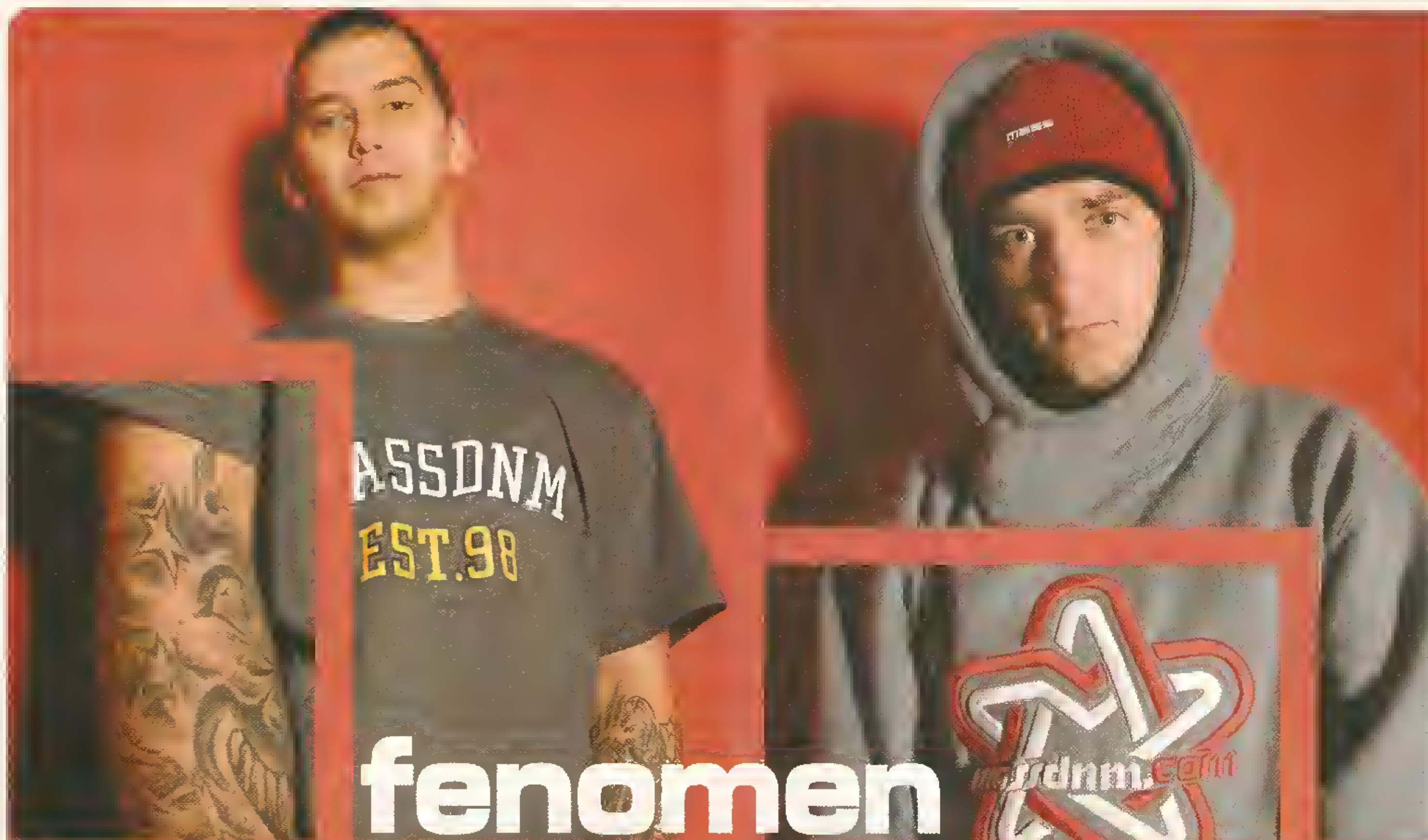
Poza tym taka umowa ustna jest silną motywacją dla obydwu stron. Choć polegają na sobie wzajemnie, uważają, żeby się sobie nie narazić. Wszystko chodzi więc, jak w zegarku. -Widzę jak każdy artysta głęboko mi ufa. Oddaje w końcu w moje ręce swój materiał i to mnie właśnie mobilizuje, bo nigdy nie chciałbym tego zaufania stracić - podsumowuje Remik.

Jedyny podpisany do tej pory papier to umowa z Hirkiem Wroną. UMC odsprzedało mu prawa do kilku utworów na CD dołączany do gazety Polski Hip-Hop. Było to tak rzadkie wydarzenie, że przy stole zebrali się wszyscy wykonawcy. Sama firma prowadzona jest kolektywnie. Biuro UMC mieści się u Urbana w domu na ulicy Staszica, a stroną internetową zajmuje się - z wykształcenia informatyk - Owal.

Remik nie ukrywa, że działa dla pieniędzy, a nie z zajawki, choć jak twierdzi, kokosów się jeszcze nie dorobił, bo ostro inwestuje w klipy i promocję. Choć do tej pory wydawał same hip-hopowe debiuty, nie odżegnuje się od innych rodzajów muzyki. Chce promować wszystko, do czego się przekona, co wyda mu się świeże. Albumami, które wydaje, zarażać chce całe rzesze ludzi, niekoniecznie należących do konkretnej subkultury. Twierdzi, że Meza słuchają i panie w średnim wieku.

W końcu sam Remik do hip-hopu przekonał się sam dopiero niedawno. - Polubiłem hip-hop, bo to jest wszystko wasze - słowa, muzyka, forma. Młody człowiek może swój bunt przelać na papier i stworzyć coś od zera - mówi. Od dwóch lat kupuje wszystkie płyty, jakie ukazują się na polskim rynku hip-hopowym i ma ich obecnie już prawie 260. Odkrył w sobie talent do freestyle'owania, ale, jak twierdzi, nie będzie go publicznie pokazywał, bo każdy powinien się skupiać na jednej rzeczy i robić tylko to, co umie najlepiej. Remik swoją drogę już znalazł i konsekwentnie nią podąża. -Albo skończę w rynsztoku albo w złotych butach!

.:Fala:.



fenomen

Dla przeciwników to tylko ogniwo, które można umieścić gdzieś pomiędzy Zip Składem i Grammatikiem. Dla zwolenników - dowód na to, że podziały na stronę jasną czy ciemną, rap uliczny i tak dalej, to bezsens. Dla przeciwników - kolejna porcja historii o tym samym - ludzkiej podłości, biedzie i opalanych foliach. Dla zwolenników - coś, w czym jest dusza, antidotum nie zaś zwykłe słowa. Dla przeciwników... Mniejsza o to, chyba mało kto słucha przeciwników. Fenomen sprzedał 18000 egz. płyty „Efekt", 6000 egz. singla „Ludzie przeciwko ludziom", jest pożądanym gościem każdego festiwalu, wielu płyt i czarnym koniem wydawnictwa Blend. Zapraszam was na przewodnik po ostatnim albumie grupy - „Sam na sam".

Intro

Jak wiadomo, Feno jest kwartetem, który na koncertach, kiedy asystuje mu DJ Kostek, ulega czasowej metamorfozie w kwintet. Choć z drugiej strony, wcale nie jest to takie oczywiste, już w ostatnim wywiadzie dla Ślizgu panowie mocno sygnalizowali, że większa część roboty spadła na barki duetu Ekonom-Żółf. „Sam na sam" definitywnie to potwierdza. „Zająłem się niepotrzebnym sprawami w nieodpowiednim czasie" tłumaczy dyplomatycznie Ziaja siedząc na tylnim siedzeniu samochodu zaparkowanego na warszawskich Jelonkach. „Ja również nie robiłem tyle muzyki, ile chłopaki potrzebują, żeby byli zadowoleni" uzupełnia Mazsa. „W przyszłości to się zmieni". „Dokładnie, ogarnę się z pisaniem tekstów" analogicznie obiecuje raper. Mimo usunięciu się w cień dwóch członków, płyta powstawała naturalnie. „Kontrakt był sformułowany tak, że teoertycznie musieliśmy ją nagrać. Przerwa między dwoma płytami trwała całe dwa lata, więc na pewno nie wyglądało to tak, że ktoś nas cisnął, żeby to koniecznie zrobić. Cały czas nagrywaliśmy, tylko potrzebowaliśmy trochę więcej czasu, niż można by się było tego spodziewać. Zbieraliśmy pomysły, teksty, muzykę. Trochę na to wszystko zeszło, ale z całą pewnością nie ulegaliśmy presji. Chcieliśmy ją nagrać, i, mam nadzieję, będziemy nagrywać kolejne. Ale nikt nam niczego nie każe" mówi Ekonom, przyjmujący na siebie ogień pytań - zwłaszcza, że podczas naszej rozmowy Żółf dochodził do siebie w zaciszu domowym po sobotnim balecie. Płyta wynikała spontanicznie, z daleka od odgórnych ustaleń - „Nie było myśli przewodniej płyty" - słyszymy. „Tytuł 'Sam na sam' powstał z racji na sytuację w której postawiony jest człowiek, będący właśnie sam na sam - z życiem, ze swoimi wewnętrznymi problemami. Pojedyncze utwory zlepiły się w całość". A zlepiały się, trzeba przyznać, trochę czasu. „Samo nagrywanie płyty, związane z pobytem w studiu S-33 u Noona i Głuba trwało równy rok. Na przestrzeni 12 miesięcy pojawiały się nowe pomysły". „Trwało to długo, bo graliśmy też masę koncertów" dodaje Ziaja. Temat zostaje natychmiast podchwycony przez przyjaciela - „Po debiucie wyskoczyło bardzo dużo propozycji grania koncertów w całej Polsce, i skoncentrowaliśmy się głównie na tym. Żeby grać, robić odpowiednie show i tak dalej. Zajmowało to strasznie dużo czasu. Ale przyszedł wreszcie taki moment, kiedy poczuliśmy, że trzeba znów zacząć nagrywać i dokładnie tak się stało. Koncerty zaczynały się zmieniać w rutynę, a my chcemy mieć z nich satysfakcję, potrzebny był więc nowy materiał. Nie ma w tym głębokiej filozofii"

Wydawnictwo

W 2003 Blend artystycznie spuścił z tonu, tracąc reputację wyrabianą skrupulatnie w 2002. Wzmocnił za to własne struktury. Feno jak samo przyznaje, nie ma się raczej na co skarżyć. Ekonom - „Współpracuje się nam nieźle, właściwie nie mamy na co narzekać. Wiadomo, sprzeczki zawsze się zdarzają między wydawcą a artystą, ale tego się nie uniknie. Tak naprawdę nie wiemy jak jest w innych wytwórniach, bo z nikim innym nie współpracowaliśmy. Wszystko jest ok., zwłaszcza że Blend teraz bardzo się rozwinął i ta firma nieco inaczej funkcjonuje". Trzeba docenić też takt, iż zaufanie dla zespołu było niemal bezwzględne, co w erze coraz to bardziej wścibskich wydawców, lubiących rozpanoszyć się i mieć uwagi ingerujące w zawartość materiału, jest niewątpliwym plusem. „Wydawca tak naprawdę usłyszał krążek, kiedy był już zmasterowany, nie miał absolutnie żadnego wpływu, co więcej przez rok czasu nie słyszał żadnego utworu, może z wyjątkiem dwóch obecnych na singlu. Nie miał zielonego pojęcia, co dostanie pocztą". Jesteście ciekawi, jakie zdanie mają panowie o innych zespołach wydawanych przez zapracowanych wrocławian? Nie ma sprawy. „Słucham Kasty. Tak naprawdę nie słyszałem jeszcze Eldoki, udało mi się przesłuchać go raptem raz, bardzo szybko, u Mikołaja. Moim planem jest poświęcenie jej większej uwagi, zwłaszcza w świetle licznych pozytywnych opinii" przyznaje Eko. „No i Gural" kwituje Ziaja, która to opinia natychmiast zyskuje popleczników. „Wiesz, nie słucham tylko płyt mojego wydawcy, sięgam po bardzo różną muzykę wykonawców polskich i zagranicznych" wraca do dyskusji mój główny rozmówca na poły ironicznym stwierdzeniem. „Tak naprawdę niewielu artystów z Blendu lubię sobie posłuchać"

Singiel

Dlaczego akurat „Ludzie przeciwko ludziom" zostało singlem? Wśród śmiechów pada odpowiedź - „Bo było gotowe". „Był dobry pod względem muzycznym, ruszał jak trzeba, wydawał się najlepszym kawałkiem, żeby wypromować album" - to opinia Ziaji. „Tak naprawdę był rok wcześniej zanim się ukazał, tylko oparty o bardzo znany sampel. Zdążył się pojawić, drugi, trzeci producent, później ja się znów za niego wziąłem i tak już zostało" - jedno z nielicznych wtrąceń Mazsy rzuca na sprawę więcej światła. Dyskusję zamyka Ekonom - „Ukazał się w odpowiednim czasie, nie mieliśmy nic innego skończonego. Było bardzo dużo wersji do bardzo różnych beatów, Mazsa zrobił podkład i okazało się, że to jest właśnie to, co chcemy mieć na płycie i na singlu. Teksty były naszym zdaniem w porządku, wszystko grało jak należy. 'Pamiętam' było z kolei skończone jak drugie. Naturalna droga, nic na siłę, nie chcieliśmy do żadnego kawałka dogrywać nieprzemyślanych zwrotek" . Starałem się sprowokować zgoła filozoficzną dyskusję o charakterze natury ludzkiej, i tego, czy u jej podstaw jest dobro czy zło. „Tego nie da się jednoznacznie sklasyfikować" - usłyszałem. „Bardzo dużo jest ludzi z natury złych, wystarczy włączyć telewizję i spojrzeć na to, co dzieje się na świecie. Przeważają sytuację w których człowiek człowiekowi szkodzi, nie zaś pomaga.", „Zawiść jest wszechobecna. Choćby podejście człowieka do człowieka - jeżeli ma lepiej ode mnie, to niech ma tak jak ja". Szybko i konkretnie rozmówiliśmy się natomiast analizując fakt, iż singiel sprzedał się świetnie, co w Polsce, pozbawionej absolutnie tradycji singli, w której takie wydawnictwa przeznaczone są głównie dla mediów jest ewenementem (czy może raczej - fenomenem). „Przede wszystkim cena była przystępna. Chcieliśmy, żeby był jak najtańszy. Niecałe 10 złotych. Tak to miało wyglądać. Nie wzięliśmy za ten singiel ani grosza, zrezygnowaliśmy z tantiem, po to by dużo ludzi mogło sobie pozwolić" - mówili raperzy wchodząc sobie w słowo. „Nie przypominam sobie innych kompaktowych singli w takiej cenie" - argumentuje beatmaker. „Poza tym ten numer przetarł nam szlaki, kiedy w rozgłośniach i telewizjach już o nas zapomnieli. Był zrobiony do celów medialnych i marketingowych" wtrąca Ekonom. Przypominam o gościnnych występach. „Tak, ale ja nie traktuję gościnnych występów jako formy promowania zespołu. To rzecz robiona bardziej po koleżeńsku, nie zaś po to, żeby się komukolwiek pokazać"



Teledyski

Tu najciekawsze wydawalo mi się to, czy chlopaki wykazują się własną inwencją. Mazsa - „Kiedy mamy pomysly, to oczywiście je przekazujemy. Czasem jest tak, że wizja reżysera podoba nam się na tyle, że nie mamy większych zastrzeżeń. O ile 'Sensacja' powstała dokladnie tak jak chcieliśmy, to 'Ludzie przeciwko ludziom' byli całkowitą inwencją Darka".

„Stosujemy kompromisy, nasze komentarze są brane pod uwagę, nieudane naszym zdaniem pomysly są zastępowane. Wplyw jest ogromny" podsumowuje Ekonom. Przypominam tylko, że wszyslkie klipy Fenomenu (z wyjątkiem „Szansy" Latkowskiego) są robione przez Darka Szermanowicza, z doskonale znanej w branży „Trzynastki". O współpracy panowie mówią krótko - „Zajebista! Wszystko na luzie". Zastanawialem się gdzie luz był największy i panowie bawili się najlepiej. „Ludzie przeciwko ludziom" pada odpowiedź. „Nie bylo dużo kręcenia, zmieniania miejsc, siedzieliśmy w jednym studio. Mogliśmy wypić browar, pójść na szluga". Mazsa nie może zapomnieć za to ostatniego klipu - „Siedem godzin jechaliśmy, bo plan był 500 km od Warszawy. Od 10 do 3 w nocy byliśmy przed kamerą, przemarznięci, zmęczeni, a następnie... siedem godzin powrotu!". Dzwoni telefon, Ekonom przejmuje narrację opowiadając o dramatycznym dość incydencie „O mało nie mieliśmy wypadku. O 8 rano, kiedy ja prowadzilem. Naprawdę cudem udalo się go uniknąć. Ledwo dojechaliśmy do Warszawy". Wątek kończy Ziaja - „W teledysku sami jesteśmy po wypadku, mijamy go, tymczasem sami prawie staliśmy się ofiarami". Istny „Losu żart" - tak jak jedna z piosenek na lp.

Ziaja nie może tylko darować klipu do „Yelonków", który wedlug niego można bylo zrobić lepiej i odbiegal od oczekiwań.

Okładka

Czerwień miesza się z szarością i bielą czcionki. Bardzo stonowana i gustowna.. „Chcieliśmy kontynuować motyw z pierwszej plyty - fenomenu pogodowego. Stwierdziliśmy, że chcemy mieć zdjęcie w podobnym klimacie. Nie ukrywajmy, fotografie na obu plytach są z internetu, z jakiejś tam strony NASA, zresztą podajemy te adresy. Człowiek stoi na dzikiej plaży, zaś naprzeciwko niego nadciąga huragan. Po prostu 'sam na sam'". Pomysl z żołnierzykami wykorzystany na okladce singla, nie mial już wiele wspólnego ze stroną NASA - „Nasz czlowiek od okladek szuka ciekawych rzeczy i je wykorzystuje. Uslyszał tytuł, a jako, że trudno o coś bardziej wymownego, niż dwóch żołnierzy stojących naprzeciwko siebie i mierzących z karabinów...". Postanowiłem zweryfikować jak to jest ze zdolnościami plastycznymi w samym zespole. „Jesteśmy totalnymi antytalentami, choć Ziaja taguje" mówi Ekonom, wprawiając kolegę w zaklopotanie. „Jestem typowym amatorem" tłumaczy się. „Ja kiedyś dwa wrzuty zrobilem!" wyrywa się znów Eko, kończąc salwą śmiechu. „Dobrze, że zamurowali to przejście" podsumowuje niemniej uradowany kompan.

Plyta

Wbrew wersowi mówiącemu o tym, aby pieprzyć smutek, to plyta bardzo pesymistyczna. Ekonom ma inne zdanie - „Nie jest pesymistyczna, raczej stonowana i spokojna. Można wyciągnąć z niej bardzo optymistyczne wnioski. Wsluchujesz się w chwile, kiedy mówimy, że jest chujowo, ale nie wylapujesz tego, że rap ludziom pomaga, apelów o mobilizację wobec tego, co dzieje się wokół, o dostrzeganie rzeczy wartościowych". Cóż, to wciąż pierwiastek dobra w zalewie zla.. - „Nie oszukujmy się, tak wygląda świat, nie będziemy nagrywać rzeczy sztucznych i totalnie wykreowanych. Chodzi o pokazanie tego jak jest, za to w fajnej formie". Album przynosi wersy, które trudno zapomnieć (jak choćby: „Losu żart jest ponoć, że jak się topisz to i tak możesz splonąć" Żóllia, czy „Jak zwykle wszędzie bieda, tylko czemu nawet żebrak gardzi odrobiną chleba / jak mu hajsu nie dasz, nic nie weźmie / Taki glodny! / W całym kraju każdy chce banknoty, a nikt nie chce drobnych" Ekonoma) ale i koncept potrafi się wryć w pamięć. Jak np. historia pewnego banknotu w „Stówie" („Wymyśliliśmy to z Żólliem, chcieliśmy zrobić kawalek, w którym wymienialibyśmy po kilka wersów. W końcu napisaliśmy po jednej normalnej zwrotce, i po dwie krótsze, bodajże ósemki. Oczywiście wcale nie twierdzimy, że taka historia się zdarzyla, choć to prawdopodobne") czy skarga do, czy może raczej na Boga. („Ja jestem wierzącym czlowiekiem, Piotrek też, choć moja zwrotka byla zdecydowanie bardziej stonowana. To przerost formy nad treścią. Nie jest tak, że mamy szczególny żal do Boga, to raczej upust emocji zebranych w pewnej chwili, gdy kogoś zabraklo"). Rymowanie na „Sam na sam" da się latwo podsumować. Sokól użyl kiedyś sformulowania „Jak rymuję, to przed oczami masz obrazy". Taki efekt osiągnęli panowie opowiadając wiele pelnych zaangażowania historii. Ekonom bardzo się ucieszyl - po pierwsze lubi ten wers czlonka Zipów, po drugie o to mu chodziło. „To wyznacznik dobrych zwrotek. Przekazujesz słuchaczowi nie tylko audio, ale wirtualne video". W kwestii przekazu powiedzieliśmy już sobie co trzeba, warto wspomnieć o beatach, tutaj zespól poszedł bowiem oryginalną drogą. „Mazsa nie mógl zrobić wystarczającej ilości beatów, miał swoje zajęcia czy też zanik weny twórczej. Mieliśmy więc do dyspozycji wszystkich, którzy chcieli z nami współpracować. Przesłuchaliśmy z 300 beatów, nie biorąc pod uwagę kto je zrobil (Po Warszawie chodzilo plotki, iż odrzucono wiele podkładów wielu slawnych producentów, Ekonom nie dementuje, raczej ochoczo przytakuje zaslyszanym wieściom)". Poprosilem o krótką opinię na temat nowych twarzy, które się pojawily. „Kociolka polecil nam Noon, puścil parę jego rzeczy. Zajebiście nam się spodobały, więc się skontaktowaliśmy. Są jego dwa beaty i outro. Chcielibyśmy kontynuować współpracę. Jeżeli chodzi o poznaniankę Kadę, poznaliśmy ją zupełnie przypadkiem, będąc w sieci. Nie pamiętam, ale chyba wyświetlilo mi się okienko na Gadu-Gadu, z pytaniem czy nie potrzebujemy podkładów. Wysłała, spodobały mi się. Potem spotkaliśmy się w Warszawie. Są dwa jej beaty, w tym ten do drugiego singla. Robi je zajebiste, brakuje jedynie technicznej jakości. Jej melodie i wyczucie zwyciężają niedostatki, choć Noon stawal na głowie i nie wiedział co się dzieje. Do jednego numeru bas dograł Glub. Zupełnie „z niemca" podmienił ścieżkę basu. Kto jeszcze? WDK jest z głębokiego poludnia, jego beat wykorzystaliśmy w intro, w zamian nagramy na jego album producencki. Często rządzil tym przypadek. Ale są też znane twarze takie jak Magiera, Ostry, czy Volt".

Epilog

„Jakościowo plyta jest lepiej nagrana, poglądy nie zmienily się nam diametralne, więc klimat jest podobny" tak podsumowuje Ekonom „Sam na sam". Może was za to zdziwić na niej jedna rzecz - praktyczny brak gości. Owszem jeden wokalista, jeden instrumentalista i to wszystko. „Chcieliśmy zaprosić wiele osób. Zbyt wiele. Okazalo się, że nie bylibyśmy w stanie z nimi wszystkimi nagrać, to byłoby 2cd. Doszliśmy do wniosku, że nie będziemy nikogo faworyzować. Po tej plycie gdzie nie ma gościnnie żadnego mc, zrobimy płytę opartą w całości na takich udziałach - z raperami, muzykami, wokalistami. Jesteśmy dogadani z bardzo wieloma, z czołówką, to nasze najbliższe plany." Warto zatem czekać, drodzy czytelnicy. A póki co Feno zaprasza na koncerty, których ma zaplanowanych coraz to więcej i w które - jeśli wierzyć grupie - wszyscy angażują się po równo, czyli maksymalnie. Nowy material wdrażany jest stopniowo - choć numery takie jak np. „Losu żart" pod beat Kociolka z miejsca okazują się imprezowymi wymiataczami. Oj, warto sprawdzić.

.:Opracowal: Flint (Czyste Slowa)
foto: wzrr/Wojtek Antonów:.

O ile nazwa Gangstarr może być myląca, gdyż nie mamy do czynienia z czymkolwiek, co można by połączyć z bezmyślną brutalnością gangów, to Guru naprawdę jest prawdziwym guru - dociera do sedna problemu, jego dojrzałość robi wrażenie. Z tekstu poniżej dowiecie się między innymi jak układa się z Premierem, dlaczego nowe koty w branży miauczą tak głośno, czy będzie można usłyszeć legendę na „połamanych beatach", a może raczej kolejne Jazzmatazz? Otrzymacie też parę gorzkich uwag o współczesnej Ameryce. Tak, tak... Przed koncertem Gangstarr w grudniu będą wam potrzebne trzy rzeczy - egzemplarz „Ownerz", ten wywiad i hantle, żebyście wytrzymali wielogodzinne machanie łapami.

Kiedy byłeś ostatnim razem w Polsce byłeś chory, kiedy kilka dni temu mieliśmy robić z tobą wywiad- znów to samo, powiedz co się dzieje z twoim zdrowiem?
Wtedy w Polsce po prostu straciłem głos, to była długa trasa, dzień w dzień koncerty i taki był efekt. Na szczęście ludzie w Polsce dali mi wielkie wsparcie i koncert był wspaniały. Teraz złapałem tylko zwykłe przeziębienie i z dnia na dzień czuję się coraz lepiej. Tym razem więc - taką mam nadzieję- wszystko będzie w porządku.

Pojawiają się różne opinie o waszej ostatniej płycie- niektórzy mówią „Świetnie, to dobry, stary Gangstarr", ale są też tacy, którzy narzekają , że powinniście coś zmienić, bo jest to nudne powielanie schematu...
Wiesz co? Nie dbam o to. Robimy muzykę dla ludzi, którzy są ją w stanie docenić i właśnie ci ludzie rozumieją o co nam chodzi.

Kiedy zobaczyłam kto występuje gościnnie na waszym nowym albumie, wprost nie mogłam uwierzyć... Kalifornijski gracz Snoop Dogg, krwawy, balansujący na granicy dobrego smaku Jadakiss...
Są po prostu moimi przyjaciółmi.

Ale to trochę inny styl, nieprawdaż? Gangstarr jest raczej klasyczny, ceni sobie wartości a Snoop, czy Jadakiss są często lirycznym ekstremum i nie rymują nawet do beatów, płyną sobie gdzieś poza...
Nie mogę się z tym zgodzić. To jest tak - kiedy idziesz do księgarni, nie możesz oceniać książki po okładce, bo kiedy tak robisz, często powstaje mylne wyobrażenie o treści. Musisz patrzeć głębiej, by dostrzec te prawdziwe wartości. Kiedy odbierzesz tym gościom sławę, pieniądze, całe to gówno, jakieś MTV i inne pierdoły - otrzymasz artystę. Oni wciąż pozostają wielkimi raperami, no i zawsze będą jednymi z moich ulubionych artystów. Snoop to ikona, Gangstarr to ikona, on, tak jak i my jest raperem oldschoolowym i był na scenie od zawsze. Wiesz, ja lubię ich muzykę, oni lubią moją, skoro tak, to dlaczego nie mielibyśmy zacząć współpracować.

Dlaczego kazaliście nam czekać na nową płytę tyle czasu?
Było trochę zamieszania z wydawnictwem. Stracili masę pieniędzy na jakąś Mariah Carey i inne gówna. Kiedy się nie zarabia 50.000 milionów, to z miejsca cię wywalają.

Mam nadzieję, że chemia między tobą i Preemo jest wciąż dobra...
WCALE NIE JEST DOBRA! Zamierzam skopać temu skurwielowi dupę! (śmiech) Miał tu dzisiaj być ze mną i rozmawiać z ludźmi. A tak na poważnie, między nami jest wszystko w porządku. Dzięki wieloletniej współpracy zyskaliśmy dla siebie szacunek, w zespole musi być lojalność i szacunek, inaczej to nie wypali. Mamy miłość dla sztuki, dla kultury. Mamy szeroki pogląd na to wszystko i wyrobioną opinię, uzupełniamy się w spostrzeżeniach.

Który etap kariery zespołu jest Twoim ulubionym?
Lubię całość. Cała nasza kariera, to dla mnie jeden wspaniały etap. Mogę ci powiedzieć natomiast, że moim ulubionym okresem w hip-hopie są wczesne lata dziewięćdziesiąte. Wtedy było więcej oryginalności. Teraz jest co prawda dużo rzeczy, które brzmią „staro", jest cała gałąź hip-hopu, która na tym bazuje. A dla mnie tamten okres to było coś. Teraz możesz zrobić cokolwiek i już wielkie koncerny podpisują z tobą umowę, w tamtych latach trzeba było się naprawdę wysilić, a ktoś, kto brzmiał jak ktoś inny, nie miał żadnych szans. Powodem, dla którego zareagowałem tak na twoje pytanie o współpracę, jest to, że wszyscy chcą pogrupować raperów w jakieś kategorie. Nie można szufladkować w ten sposób artystów, bo jeśli zna się tę kulturę naprawdę, w klasycznym, ulicznym rozumieniu, to nie ma takich opcji. Na ulicy ja i Jadakiss mamy ten sam szacunek od ludzi, a w mediach wszystko to jest przekręcone. Dla dziennikarzy, którzy nie rozumieją ulicznej kultury, to jest jak „uuuuu! Jadakiss! Przecież on się do tego nie nadaje!". Na poziomie ulicy tego nie ma. Staram się to wyjaśnić. Dlatego nie mogliśmy się dogadać w labelu Jazzrap, chcieli się nazwać Gangstarr Jazzrap, ja definitywnie odmówiłem, chcąc chronić dobrą opinię. Ja nawet nie miałbym wglądu w to, w którą stronę chcą pójść. Jeśli Jazzrap umarłby, wszystko mogłoby się nagle zawalić. Dlatego właśnie jesteśmy teraz tam, gdzie jesteśmy - przez lata chroniliśmy się. Nie uważam, żeby wkładanie różnych elementów do pudełek, jak to się robi w muzycznym dziennikarstwie, było dobre.

Szufladkowanie to jedno, a różnica stylów to drugie, my nie mieliśmy zamiaru powiedzieć przez to pytanie „co ten nieudacznik Jadakiss tam robi?", tylko zapytać jak doszło do tej konfrontacji stylów.
Ok, ja rozumiem. Chcę jedynie powiedzieć, że sztukę trudno zamknąć w sztywnych ramach i nie powinno się tego robić, a pewne działania, nawet nieświadome, często do tego prowadzą.

Jeśli mówimy o sztuce, powiedz jak sztuka ożywiania idei Gangstarr foundation? Czy ta grupa wciąż jest żywa?
Tak, ale to już są nowi ludzie. Jeru odłączył się od nas i teraz pracuje w pojedynkę. Group Home zaczęli robić teraz inne rzeczy i nie są już z nami. Wciąż mamy szefa Gangstarr Foundation- Big Shug'a, Krumb Snatcha, jest z nami Fabidden, oczywiście Freddie Foxx, znany także jako Bumpy Knuckless, mamy tu MOP. Premier ma swój label, gdzie teraz nagrywa NYGz, u mnie na przykład jest dzieciak, który się nazywa Lord Harrison. Więc to jest całkiem rozwijająca się grupa.

Powinniśmy czekać na kolejną część Jazzmatazz, czy „Streetsoul" to był ostatni rozdział?
Teraz jestem w trakcie podpisywania nowego kontraktu z zupełnie inną wytwórnią. To będzie albo Virgin, albo może jakaś niezależna opcja, jeszcze nie wiem. Na wysokości kwiet-



nia powinna ukazać się składanka prezentująca ludzi, z którymi pracuję w ramach własnego labela, nad tym teraz głównie pracuję. Jazzmatazz ujrzy światło dzienne w sierpniu, taką mam nadzieję.

Rozmawiałam z PMD i jego marzeniem okazuje się wspólny projekt z Dr. Dre. Na najnowszym teledysku Timbalanda pojawia się Rakim. Słyszeliśmy też najnowszy album Sermona. Legendy East Coast'u wydają się lubić te współczesne plastikowe, syntetyczne brzmienia. A ty chciałbyś rymować na takich podkładach?

Na podkładach Sermona?



Ale tego obecnego... albo na płycie Timba, czy składance Neptunes...

Po pierwsze lubię tych wszystkich beatmakerów. Jak dla mnie wszyscy oni mogliby produkować mój album. Cenię tych wariatów z Neptunes, teraz każdy, kto jest popularny nagle chce mieć ich bity i jest też odwrotna tendencja - każdy, kto ma ich bity, staje się popularny. Lubię bity Timbalanda, ale nie wziąłbym ich na Gangstarr, tylko nagrał z nim coś pod zupełnie innym szyldem - to byłby nowy projekt. Gdyby zaistniała taka możliwość - czułbym się zaszczycony, ale nie mógłby to być Gangstarr...

Jesteś typem nauczającego MC, dzielisz się swoją wiedzą od lat. Jak myślisz, czy przez ten czas ludzie nauczyli się czegoś?

Tak naprawdę to ludzie uczyli się po trochu od każdego z nas. Bo hip-h—op, jak to ktoś zauważył, jest globalnym CNN. Ludzie słuchali tego, co mówi Gangstarr, KRS, Public Enemy i uczyli się. Trudno mi powiedzieć, kto z nas miałby mieć największy wpływ na ludzi. Cieszę się, że nadal są tacy odbiorcy, którzy od nas, jako od świadomych raperów są w stanie czegokolwiek się dowiedzieć, że nas słuchają. Że potrafią teraz zauważać negatywne aspekty życia na ulicy, w miejskiej dżungli, że pokazujemy im jak mogą sobie z tym poradzić, że stają się dzięki nam odrobinę bardziej dojrzali, świadomi, może zmieniają się duchowo. A pozostali? Cóż są jak pusty dzban dla Salomona...

OK. Następne pytanie będzie dotyczyło albumu Jeru...

Nie wiem nic o tym. Nie chcę słyszeć na ten temat żadnych pytań. Nie mamy z tym żadnego związku.

Ale chciałam tylko...

Nie, nie, nie, absolutnie nie! Odmawiam. Tak samo zrobiłby Dj Premier. Nie mieliśmy z tym nic wspólnego , tak samo, jak ten typ z nami. To była jego decyzja, on postanowił nas opuścić, nie obchodzi nas to. Nawet jak on opowiada o nas jakieś rzeczy - nie obchodzi nas to.

Nie, to nie o to chodzi, po prostu ciekawiło mnie, co sądzicie o jego nowym albumie.

Nie mam pojęcia, nie słyszałem go.

Dobra, zostawmy więc tego nieszczęsnego Damaja... Premier jest z Texasu, ty jesteś z Bostonu...

Pozwól mi coś wyjaśnić. Kiedy ludzie myślą Boston mają na myśli koledże, uniwersytety. Ja jestem z osiedla, z miejsca, gdzie żyje tylko czarna społeczność. Bloki, narkotyki, broń, bieda. Takie miejsce, gdzie nie powinnaś chodzić, kiedy chcesz coś zwiedzić. Stamtąd właśnie jestem. Z tego samego miejsca, co Bobby Brown, Benzino, właśnie stamtąd...

Tęsknisz za tym miastem?

Tak, ale na szczęście ja mogę wrócić do domu. Na przykład na moje urodziny w Bostonie urządzają mi wielkie przyjęcie, ludzie z sąsiedztwa się schodzą, śpiewają mi „Sto lat", wszyscy, nawet dzieciaki. Więc kiedy wracam do domu dostaję przede wszystkim dużo miłości. Wielu raperów zapomina o swoim środowisku, porzucają gdzieś stare znajomości, zapominają odwzajemniać przyjaźń, przestają o to wszystko dbać i nagle się okazuje, że nie mogą już wrócić do domu.

Zastanawia mnie taki fenomen, ty i Preemo jesteście z różnych części Stanów Zjednoczonych, ale razem tworzycie to, co nazywane jest esencją Nowego Jorku. Jak wam się to udało?

Byliśmy tak bardzo wdzięczni, że mogliśmy stać się częścią grupy ludzi tworzących scenę nowojorską, że braliśmy wszystko znacznie bardziej serio, niż artyści z Nowego Jorku. Chcieliśmy ochronić hip-hop, na którym się wychowaliśmy, chcieliśmy ciągle utrzymywać to przy życiu.

Doszło do takiego paradoksu, że wy, jako ci, którzy nie urodziliście się w tym mieście, staliście się jego symbolem.

Byłem w tym mieście od 1983 roku, to straszny kawał czasu. Więc teraz jestem także Nowojorczykiem.

Wydajesz się być raczej spokojnym człowiekiem, ale powiedz, co cię irytuje...

To co mnie irytuje, to nienawiść, tragedie, ignorancja, kiedy ludzie mówią, ale nie słuchają, kiedy nie wiedzą o czym mówią. Sposób w jaki bogaci stają się jeszcze bogatsi, a biedni mają coraz mniej pieniędzy. Fakt, że teraz wszyscy zapominają o dzieciach. O młodzieży, która powinna być naszą przyszłością. Nie wydają ani grosza na odpowiednią ich edukację, wszystkie fundusze są ładowane w wojsko.

Rządowi jest wszystko jedno...

Dokładnie o to chodzi. Rządzących ludzi, którzy reprezentują nas, wszystko to nie obchodzi.

Ale tak chyba jest na całym świecie, nawet tu, w Polsce... Powiedz, a co cię najbardziej denerwuje w hip-hopie? Zauważyłeś, że ci wszyscy nowi raperzy na scenie nie mają za grosz szacunku dla legend?

Tak naprawdę to jest problem ludzi, to szerszy problem, który dotyczy generalnie rodzin. Dzieci nie mają szacunku dla dorosłych. To jest problem, który dotyczy naszej społeczności, autorytetów. Dzieciaki dorastają bez ojców. W Stanach czarne rodziny były systematycznie rozdzielane, rozbijano je, istniały bez dorosłego mężczyzny pod dachem. W ogóle źle się dzieje z tymi mężczyznami, którzy rzadko są w domu- pracują na dwie, albo trzy zmiany i nie mają szans, by spotkać się z dziećmi, by uczyć je życia, by wpajać im wartości. Nie jest więc dziwne, że główną wartością dla takiego dziecka staje się przetrwanie na ulicy. Dla mnie jest wiele społecznych i ekonomicznych przyczyn takiego stanu, i to później przekłada się na scenę hip-hopową. Nic nie dzieje się bez przyczyny.

.:Rozmawiali: Wiedźma Cessya, Flintstone (Czyste Słowa):.



Pierwszy kontakt z DMF'em, może być szokiem. Jest to człowiek, który na wstępie wyjmuje Ci ulotki wydrukowane na dobrym papierze, parę płyt z produkcjami zmasterowanymi lepiej niż większość legali i informuje, że interesują go głównie majorsi i sprzedaż kilkukrotnie wyższa od Peji. Kiedy słyszy hasło „Ślizg" pyta czy będzie pokazany na okładce i czy dołączymy płytę z jego nagraniami. Kiedy umawiam się na wywiad, mówi, że właśnie wybiera się na rozmowę z kimś kto pisze dla Polityki. Gdy ja zaczynam swój - pyta jak ma mówić, gdyż przyzwyczajony jest raczej do kamery. Pojawia się nowe pokolenie gotowych przeprowadzić się, by skończyć renomowane liceum, zdolnych, zdeterminowanych i impertynenckich - chętnych by sponiewierać większość rap-sceny, zagospodarować nieużytek jakim jest polski mainstream i zaprezentować nową jakość w crossowaniu gatunków. Nie wolno go zlekceważyć.

Właściwie nigdy nie rozmawiałem z człowiekiem z podziemia, który byłby tak pewny siebie. Jak to robisz?

Bierze się to z przekonania, że to co robimy jest dobre. Każdy powinien mieć trochę pewności siebie, żeby dojść do czegoś.

Użyłeś liczby mnogiej - kiedy mówi się o DMF'ie, padają takie nazwy jak Pandemonium, Grupa Operacyjna. Czy mógłbyś czytelnikom nieco je przybliżyć?

Pandemonium powstało mniej więcej w 1996. Wtedy, kiedy pierwsze swoje projekty wypuszczał Liroy i Kaliber. Założycielem i ogniwem łączącym jest nasz producent Andruss. W tym samym roku powołał on do życia Grupę Operacyjną, był też jej wokalistą. Obecnie jest nim Fox, czyli Mieszko Sibilski, który doszedł w 2000. Szybko doszli do porozumienia, stworzyli wspólny projekt. Następnie w 2001 przyłączył się Rezo, członek lokalnej formacji hip-hopowej spod zielonogórskiej miejscowości. Powstał album zatytułowany tak samo, jak i singiel go promujący - „Mikrofon pod napięciem". Pod koniec tego samego roku doszedłem i ja. Poznaliśmy się z Andrussem przez to, że organizowałem w Zielonej koncerty. Od dwóch lat robiłem też z kolegami amatorskie numery. Na szczęście spodobały mu się i rozpoczął współpracę również ze mną.

Zatem Grupa Operacyjna jest grupą stricte hip-hopową, a Pandemonium to coś na kształt agencji artystycznej?

Tak, Pandemonium to agencja artystyczna, która łączy nas, tak jak Wu-Tang łączy swoich członków. Grupa Operacyjna nie jest jednak zespołem do końca hip-hopowym. Gra hip-hop w sensie takim, że Mieszko rapuje, a nie śpiewa. Na pierwszej jej płycie pt. „Terapia szokowa", która przygotowana jest już od dłuższego czasu znajdziemy breakbeat, kawałki z ostrym, rockowym fuzzem, czy klasyczny hip-hop. Jest tak zrobiona, żeby nie można się było nudzić. Znajduję się na niej nawet kawałek drum'n'bass.

I duża elektroniki. Jak to się ma do twojego rapu, w wielu momentach bliskiego esencji, pełnego bragga i punchline'ów?

Za dużo jest zespołów od 1997, czy 1998 walkujących ten sam temat i grających na jedno kopyto. Na moim albumie są całkowicie syntetyczne rzeczy, jak „Mikrofon pod napięciem", aczkolwiek są też kawałki oldschoolowe jak „Świat zwariował", od początku do końca robione na samplach z Bluesa, z Johny Langa, na pewno kojarzysz. Słuchacza ma być cały czas zainteresowany, są kawałki o życiu, jest coś w stylu Tedego, taki bounce... Chcę by moje płyty wysłuchiwane były do końca, a nie szufladkowane po dwóch kawałkach.

Słyszałem numer Grupy Operacyjnej nagrany z filharmonią. Jak udało się wam to zrobić?

To jest coś, z czego całe Pandemonium jest niesłychanie dumne. Oprócz paru dużych plenerowych koncertów, jest to nasze największe przedsięwzięcie. Utwór „Trzecia wojna światowa" powstał w 2000 roku. Andruss skomponował go na orkiestrę symfoniczną, ale nie było opcji, żeby podziemny, hip-hopowy zespół mógł go ot tak z nią nagrać. To kosztuje. Pierwotna wersja utworu została zatem zrobiona za pomocą syntetycznych brzmień skrzypiec. Mieszko napisał fajny tekst, w którym porównał świat do trzeciej wojny, gdzie każdy występuje przeciw każdemu, a rzeczywistość to codzienna rywalizacja. Okazało się, że prezydent miasta Zielona Góra, pani Bożena Ronowicz, wspiera kulturę młodych i stwierdziła, że jest to bardzo interesujący projekt. Mimo tego, że to starsza kobieta, polityk, spodobała się jej muzyka i zobowiązała się sfinansować nam projekt. Nie chcę tutaj rzucać kwotami, jedno jest pewne - suma nie była mała. Zasponsorowała nagranie filharmoniczne. Andruss jest studentem reżyserii dźwięku, ustawił więc panów, rozpisał muzykę. Jest uzdolnionym muzycznie człowiekiem. Filharmonia zaś to zagrała. Zapewniło nam to rozgłos, pisała o nas Gazeta Lubuska, pojawiła się poznańska telewizja nagrała wywiady, różne rzeczy.

Słyszałem też o planach nagrania utworu w trzech językach.

Tak, Rezo ma rosyjskie korzenie, Fox oczywiście dawałby po polsku, lub po hiszpańsku, a ja trochę swojego życia spędziłem w Anglii i rymowałbym po angielsku. Może to kiedyś zrealizujemy. Póki co, jesteśmy bardziej zainteresowani wydaniem tego, co już posiadamy. Jest tego dużo, a my nie mamy jeszcze wydawcy.

Twój flow przypomina skandowanie, jest bardzo ekspresywny, niesamowicie ściśnieniowany. Co cię tak denerwuje?

Słucham dużo amerykańskiego rapu, a przy polskim mam wrażenie, że wszyscy śpiewają jednym stylem. Są tacy, którzy się wyróżniają. Dab fajnie daje, Liroy dawał ekspresywnie. Rap to muzyka, która powinna o czymś mówić, a jeśli będziemy robić to bez przejęcia, nie ma to już takiego żaru. Powinna docierać, a jeśli jest ekspresja, dociera bardziej.

Mówiłeś o Liroyu. Kiedy rozmawialiśmy wcześniej o ulubionych polskich producentach, najwyżej sławiłeś Liroya i Yaro. Nie są to na scenie hip-hopowej szczególnie popularni ludzie...

To, że wszyscy atakują teraz Liroya, jest trochę na wyrost, bo większość z nich nie zna nawet jego pierwszej płyty. Na osiedlu chłopaki mówią „Liroy chuj", a oni to bezkrytycznie przyjmują. Dla mnie jego debiut był czymś, czego słuchałem. Wszyscy tego słuchali, nawet ci, co teraz są jego przeciwnikami, wychowali się na Liroyu. W sumie do dzisiaj sprzedał bodajże 800 tysięcy płyt. „Alboom" był ewenementem na polskiej scenie, i jego produkcja nadal odbiega od tego, co wielu najpopularniejszych raperów teraz pokazuje. Była bardzo dobra. Beaty na tej płycie podobały mi się. Niektórzy mogą powiedzieć, że są ściągnięte z Ameryki. Przykro mi, sztuka jest taka, że nie da się stworzyć czegoś w stu procentach oryginalnego. Jedno mogę przyznać jego przeciwnikom, że to, co robił po „Alboomie" było już zdecydowanie gorsze, a piosenki w stylu „Impreza u szakala" są czymś, co naprawdę może się nie podobać, powiem więcej są tragiczne. Co do Yaro, można mu zarzucać komercyjność itp., ale pomijając to robi profesjonalną i dobrą muzykę. W moim przekonaniu w produkcji muzyki mocno jeszcze odstajemy od zachodu, aczkolwiek dzięki ludziom jak np. Andruss jesteśmy coraz bliżej (śmiech).

Andruss studiuje podobno z jednym z członków Radia G...

Tak, Andruss studiuje reżyserię dźwięku w Poznaniu na jednym roku z Markiem Gruszką. Ja jestem osobiście fanem Radia Grochów. To, co robią jest bardzo oryginalne.

To nie koniec niespodzianek.. Wasz producent współpracował przecież z technicznym Ventylatorem i głośnym Nagłym Atakiem Spawacza...

Ventylator jest autorem kilku remixów sztandarowego już kawałka Grupy „III Wojna Światowa" oraz kilku innych utworów. Współpraca Andrusa z Akai'em z tego co wiem układa się bardzo dobrze i może zaowocuje to kilkoma innymi wspólnymi utworami. Wydaje mi się, że może to wnieść sporo oryginalnego brzmienia do naszych kawałków. Co do NAS to Andruss jest autorem muzyki do ich najnowszej płyty „33% Gratis" i mniej więcej na tym do tej pory to się opierało, co będzie dalej... nie wiem.

Czego z Pandemonium należy się w najbliższym czasie spodziewać?

Przede wszystkim dobrej muzyki. Najpierw płyty Grupy Operacyjnej, która nawiązała kontakty z wytwórniami, od jednej uzyskując już nawet konkrety. Dalej czekamy na oferty. Jeżeli ktoś się zgłosi, chętnie damy mu demo, materiały. Potem solówka moja i Rezo.

Wiemy obaj, że trudno undergroundowcom o featuringi. Kogo chciałbyś mieć na płycie?

Zawsze podobał mi się Kaliber, szczególnie Dab. Z nowych artystów zaś Łona. Nagrałbym z każdym, gdyby nasze poglądy się zgadzały.

Na koniec powiedz jak czuje się Zielonogórzanin w Warszawie.

Większe miasto, bodajże 18 razy. Więcej możliwości na wszystko, więcej możliwości spędzania wolnego czasu. Czuję się bardzo dobrze. Tutaj się uczę i żyję, a tam odpoczywam na łonie natury. To znaczy nie jest to wioska (śmiech). Po prostu mam tam krainę szczęścia ze swoją ukochaną dziewczyną Martą.

.:Rozmawiał Flintstone (Czyste Słowa):.







Rahzel
tylko ja i mikrofon

Rahzel to człowiek orkiestra nazywany, cokolwiek pretensjonalnie, „ojcem chrzestnym hałasu". Zasłynął jako najlepszy beatboxer na świecie wygrywając wiele battle'i, choć, jak wieść niesie, przegrał z Brytyjczykiem Killa Kelą. Rahzel od 1995 roku jest tajną bronią The Roots, którzy wykorzystują jego nieziemskie zdolności na każdej płycie. Sam wydał album „Make the music 2000" i skończył nagrywać drugi, który ukaże się w Stanach jeszcze w tym roku. Jego umiejętności śpiewania i robienia bitu w tym samym czasie oraz naśladowania głosów wielu artystów zaskakują od dawna, gdy tymczasem Rahzel skończył dopiero 31 lat. Rozmawiamy w holu hotelu Sobieski, na kilka godzin przed jedynym w Polsce występem w warszawskim Paragrafie 51.

Dlaczego wybrałeś beatbox jako formę swojej twórczości hiphopowej?

Ja wybrałem beatbox, ale to też on wybrał mnie. Kiedy byliśmy dziećmi każdy chciał być MC i gdy spotykaliśmy się na ulicy, by stać w kółku i ćwiczyć umiejętności, zawsze musiał był ktoś, kto by robił beat, choćby pukając w stół. Do rymowania była strasznie długa kolejka, a jedyną metodą, żeby dostać mikrofon przed pozostałymi, było wymyślić coś nowego. Zacząłem więc robić beatbox, imitować nagrania z płyt. Byłem odrobinkę lepszy od innych i wtedy moi znajomi zaczęli zauważać mój talent i powtarzali „ej, ty to naprawdę jesteś niezły, powinieneś to robić".

Twoje umiejętności to kwestia talentu czy ciężkiej pracy i ćwiczeń?

Obu rzeczy. Na pewno mam talent i naturalną zdolność do wydawania z siebie różnych dźwięków - jako dzieci mamy ją prawie wszyscy - tylko, że ja jej nie zapomniałem, a rozwinąłem ją.

Myślisz, że ja też bym tak mogła?

Czemu nie, gdybyś się na tym skupiła... Podstawą jest tu mieć otwarte uszy i otwarty umysł. Ja skupiam się na dźwiękach i wiem, że słyszę wielu odgłosów, nad którymi wszyscy przechodzą do porządku dziennego. Wiele osób puszcza ciekawe rzeczy mimo uszu nawet ich nie zauważając. A ja słucham wszyyystkiiieeegooo! Najróżniejszych drobnych dźwięków, zawirowań w falach, różnych częstotliwości. Trzeba być w to na co dzień bardzo wczutym. To jest jak bycie inżynierem, tylko on potrafi wyjaśnić jak wszystko działa bo się na tym skupia i w tą część rzeczywistości jest wczuty. W beatboxie najbardziej musisz być bardzo zakorzeniony w muzyce, w dźwięku i wszystkim dookoła tego. Trzeba dużo słuchać, dużo ćwiczyć i powinno się udać!

Ćwiczysz sam czy ścierasz się na różnego rodzaju battle'ach?

Ćwiczę każdego dnia, ale już się nie pojedynkuję. Nie muszę (śmiech).

Nie boisz się Killa Keli?

Ach, Killa Kela... Tja, on wciąż jest nowy w tej grze. Może dla ciebie nie jest nowy ale ogólnie jest nowy, bo nie jest wciąż znany wszędzie na świecie. W Europie o nim słyszeliście bo pochodzi z Wielkiej Brytanii, gdzie nie ma zbyt wielu beatboxerów. Tam wyróżnia się z tła.

Co sądzisz o jego umiejętnościach?

To, co on robi, to bardziej demonstrowanie. On nie jest „performerem". W hip-hopie chodzi o zaskakiwanie. Jak posłuchasz klasyków beatboxu jak np. Doug. E. Fresh'a, Fat Boys'ów, czy Ready Rock C, Scratcha i ich nagrań, to to był prawdziwy szol, wiesz „tantararara!" „Najlepsi na świecie, chodźcie ich zobaczyć"! To taka gałąź rozrywki jak kiedyś cyrk. Tymczasem Killa Kela robi coś w stylu „Ej, patrzcie umiem tak! O i umiem jeszcze tak! I jeszcze tak!". On demonstruje, pokazuje poszczególne triki. Ja natomiast staram się robić teatr. Na moim występie wszystkim powinny opaść kopary. Ja nic nie wyjaśniam, chcę żeby każdy widz sam rozgryzł jak to można zrobić. Tu chodzi o trzymaniu w napięciu. Staram się być jak magik, który dostarcza niezapomnianych przeżyć publiczności. Nie wiesz jak on wyciąga królika z kapelusza i na tym właśnie polega piękno i magia. Dla mnie o to dokładnie chodzi w beatboxie. Po moich występach ludzie są w szoku. Pytają „Jak to zrobiłeś?", a ja nie mówię nic, pozostaję tajemniczy. Killa Kela ci wyjaśni wszystko krok po kroku. Hip-hop, na którym ja się wychowałem miał służyć dobrej rozrywce i zabawie a nie popisom technicznym. Ale oczywiście doceniam go, jest niezły.

Powtarzasz często, że beatbox jest piątym elementem hip-hopu. Zazwyczaj mówi się o czterech...

Uważam, że z całą pewnością beatbox jest osobnym elementem. Wystarczy cofnąć się trochę w czasie i przejrzeć pierwsze filmy o tej kulturze. Imitowanie dźwięków było podstawą rozwoju komunikacji między ludźmi - to zjawisko kluczowe dla jakiejkolwiek kultury. Kiedy mówisz po polsku dla mnie brzmi to zupełnie inaczej niż gdy słyszę niemiecki - w inny sposób wymawiacie, macie inną melodię składania słów - a słowo to dźwięk. Beatbox jest częścią komunikacji, jest jak nauka nowego języka.

Skoro beatbox jest tak ważną częścią hip-hopu czemu jest tak zaniedbywany?

O nie, nie sądzę, że jest zaniedbywany. To jest tak: więc „korporacyjna Ameryka" robi co może, żeby ludzie nie używali za bardzo mózgu i nie widzieli, co wyrabia ich własny rząd. Takie myślenie o obywatelach przekłada się na gałęzie rozrywki, w które inwestują duże korporacje, a inwestują - jak wszyscy wiemy - w muzykę łatwą i przyjemną. Pieniądze, „blink, blink", imprezy, dziwki - wszyscy wiemy, co jest na topie. Ale to, co jest reklamowane nie odwzorowuje tego, co tak naprawdę dzieje się na ulicy.

No właśnie. Wiele lat temu, na początkach kultury hiphopowej, Chuck-D powiedział, że rap powinien być jak CNN dla czarnych. Teraz mamy prawie same baunsujące kawałki o forsie, dziwkach, broni - cały ten styl „blink, blink"...

„Korporacyjna Ameryka" sama wybiera co będzie popularne, bo spójrzmy prawdzie w oczy - nie my to wybieramy. Nie mamy na to wpływu, bo to nie my pociągamy za sznurki. Dlaczego kultura beatboxu nie jest tak znana jak nurt „blink, blink". Bo oni nie chcą żeby była równie znana. Beatboxerzy uczą ludzi jak myśleć. Żeby imitować jakikolwiek dźwięk najpierw musisz usiąść, skupić się i posłuchać. Otworzyć się. W „blink, blink" używasz tylko i wyłącznie oczu, no może tyłka, jeśli nim ruszasz - więc oczu, tyłka i to koniec. Nigdy nie używasz głowy! Najwyraźniej ktoś nie chce żeby młodzież myślała, żeby była silna.

Dlaczego jest tak mało beatboxerów?

Bycie beatboxerem to coś jak bycie turntablistą. Dj'ów jest dużo - to prawda, ale dobrych turntablistów już tylko wąska grupa. Zagrać z płyt umie, przynajmniej w podstawowym stopniu, prawie każdy. Turntablista musi mieć więcej umiejętności, koncentracji, zaangażowania żeby zostać mistrzem. W obecnych czasach mam wrażenie, że hip-hop nie przemawia tak głęboko do młodzieży jak wcześniej. Teraz hip-hop jest po prostu błyszczący i kolorowy, odwijasz a w środku nie ma nic. Gdy pomyślę, jak było kiedyś, gdy widziałem Fat Boysów czy Grand Master Flesha, myślałem „kurczę, muszę iść do domu i poćwiczyć". Dziś te wszystkie teksty: dziwki, forsa, tralala - to jest jak powrót do przedszkola, bo to naprawdę nie jest trudne nagrać taką popową w zasadzie płytę. Bierzesz blondyna, bruneta, rudego i obowiązkowo czarnego - i już masz grupę, ale to jest kłamstwo, tak rzeczywistość nie wygląda. Trudno być prawdziwym artystą i z tym walczyć, ale są tacy ludzie. Są wciąż tacy, który wierzą w hip-hop jako prawdziwą gałąź sztuki i dlatego wciąż hip-hop jest kulturą.

A to nie jest tak, ze hip-hop zaczął się psuć odkąd pojawiły się pieniądze?

Zawsze o nie gdzieś tam chodzi. Pytanie tylko, czy gdy coś nagrasz pytasz się, czy „to jest dobre?", czy „ile może mi to przynieść pieniędzy?". Ludzie z wytwórni i artyści rozmawiają już tylko o liczbie sprzedanych egzemplarzy, o kontraktach. Nikt nie rozmawia o tym, czy coś jest nowatorskie i fantastyczne czy też jaki wpływ może wywrzeć na młodzież. Wracając do poprzedniego pytania, beatbox nie jest zaniedbywany - po prostu nie przynosi wytwórniom dochodów. (śmiech) Ja sobie jakoś radzę i zarabiam na nim, myślę, że i inni beatboxerzy jakoś zarabiają. Wkładam w swój beatbox dużo pracy i wysiłku i mam szczęście, że nie muszę sprzedawać swojej duszy żadnemu koncernowi, który daje propozycje typu „zrobię z ciebie marionetkę ale będziesz bogaty" - dużo osób się na to łapie ale kiedy taki koncern się znudzi i „wyciągnie wtyczkę" zostajesz z niczym. Ja muszę się starać i każdego dnia pukać do różnych drzwi, ale dzięki temu żyję z mojego beatboxu - oprócz koncertów nagrywam gry komputerowe, reklamówki, filmy, wszystko co się da. Wielu beatboxerów jeszcze nie skumało, że tak można.

Która część ciała jest najważniejsza przy beatboxie?

Sam już nie wiem, jak ja to robię. To kwestia skupienia się na tym, jak mówisz na co dzień, na wymowie na pracy poszczególnych części gardła. Ważne są też usta i język, policzki - wszystko.

Jak dbasz o swoje gardło, pijesz miód albo połykasz surowe jajka?

Żadnych surowych jajek (śmiech). Dbam o siebie ogólnie, prowadzę higieniczny tryb życia - coś jakbym był gimnastykiem. Muszę dużo ćwiczyć całe ciało, żeby być ogólnie sprawnym, zdrowym i silnym jak byk. (śmiech) Często występuję późno wieczorem i w niesprzyjających warunkach, gdzie jest gorąco, ludzie palą. Potem śpię półtorej godziny, jak wczoraj. (śmiech)

.:Rozmawiały: Fala i Monika Dąbrowska:.



Piotrek Waglewski, lepiej znany jako dziś Emade, a kiedyś DJ M.A.D., jest producentem na naszej scenie dość niezwykłym. Wciąż szuka, drąży, eksperymentuje, eksplorując coraz to nowe muzyczne tereny. Poszukiwacz? Sam mówi, że nie ogranicza go nic i po prostu robi muzykę.

Jako producent stoi za sukcesem swojego brata, Fisza, obecnie działają pod wspólną nazwą Tworzywo Sztuczne. Kiedyś był RHX Skład w którym działali razem z Inespe Na rynku właśnie ukazał się jego album producencki, płyta niezwykła, odważna, zdecydowanie inna od tego, co w polskim hip-hopie słyszymy najczęściej.

Emade o sobie i o swojej muzyce...

Ostatnio, po przesłuchaniu Twojej płyty producenckiej, zrobiłem sobie podróż do przeszłości i posłuchałem materiału RHX Składu. Kopę lat minęło...

I dużo rzeczy się działo. Na początku to była taka szczeniacka zabawa i - nie lubię tego określenia, jest bardzo popularne - mocna zajawka. Od tego się zaczęło i bardzo miło wspominam tamte czasy - czasy jeżdżenia na desce, spotykania się na osiedlu, dużo koncertów, dużo siedzenia w studiu, wielu nowych i zaprzyjaźnionych ludzi. Trochę się działo.

Możesz trochę przybliżyć ten okres pomiędzy tym, co robiłeś w RHX a tym, co robiłeś wspólnie z Fiszem i co robisz teraz, w taki muzyczny sposób? Wiadomo, że artyści się zmieniają, ale to jest właściwie diametralnie różne podejście do tematu.

Właściwie jedyne, co mogę powiedzieć to to, że miło mi to słyszeć, gdyż świadczy to o moim rozwoju. I chyba tyle...

A jak wspominasz tamte czasy, to, jak wtedy komponowałeś muzykę, jakie miałeś do niej podejście?

Nie jest to łatwo tak opisać. To przyszło bardzo naturalnie. Poprzez to, czego słuchałem, coraz więcej rzeczy do mnie docierało, coraz szerzej patrzyłem na muzykę i z biegiem lat coraz bardziej się otwierałem. Pracowałem z różnymi muzykami, teraz na przykład zaczęliśmy grać na żywo i ten proces również jest inny. Próby, koncerty - ja gram na perkusji - to, co dzieje się podczas nich. To po prostu ewoluowało.

Pochodzisz z muzykalnej rodziny [ojciec Piotra jest liderem zespołu Voo Voo - przyp. red.], w związku z czym na pewno szły do Ciebie "z góry" jakieś inspiracje. Czemu zająłeś się akurat hip-hopem?

Jak wspominam dawne czasy, to najpierw przypominam sobie okres heavymetalowy. Na tamte czasy ta muzyka była jakaś taka prawdziwa, hardkorowa, ostra. To mnie pociągało, znajdowałem się w tych rejonach muzycznych. No i założyliśmy kapelę heavymetalową... nie... grindcore'ową, tak, najpierw mieliśmy kapelę grindcore'ową. Potem zaczęły do nas docierać płyty punkrockowe. I jakoś tak przez ten metal, punk rock, hardcore doszło do zajawki jeżdżenia na desce, a potem... doszło do hip-hopu. Wydaje mi się, że hip-hop jest bardzo szeroką muzyką. Jest w nim wiele gatunków muzycznych, nie jest tak ograniczony, jak te wcześniejsze gatunki, o których mówiłem. Myślę, że pomogło mi to szerzej spojrzeć na muzykę i teraz robię to, co robię.

Tworzenie muzyki było dla Ciebie tak po prostu oczywiste, czy może chwilę do tego dochodziłeś, miałeś jakieś inne pomysły na życie?

Ja to po prostu robiłem... Nie myślałem jak będzie, tylko robiłem. Byłem na tyle młody, że nie zaprzątałem sobie głowy przyszłością, tylko tworzyłem muzykę i tak to już zostało.

Mówiłeś już o muzyce, której słuchałeś kiedyś, to teraz może opowiedz mi o swoich aktualnych inspiracjach. Słuchając Twojej muzyki odnaleźć można wiele tropów, tak wiele, że opisywanie ich zajęłoby sporo miejsca...

Mówienie o nich również zajmie mi sporo czasu... Są jednak artyści, których warto przytoczyć. Jeżeli chodzi o scenę hip-hopową, to głównie inspiruję się Mad Libem, Jay-Dee, HiTekiem, producentami - nazwijmy ich - mniej komercyjnymi. Oprócz tego, dzięki płytom, które dostaję często od brata, zacząłem zapoznawać się z różnymi nowymi brzmieniami. Bardzo podoba mi się berlińska wytwórnia Scape, wszystko, co stamtąd wychodzi: Jan Jelinek, Deadbeat, Pole. Takie rytmy w tej chwili najmocniej na mnie oddziałują. To są brzmienia, które możesz potem przekładać na swój język, co moim zdaniem jest bardzo wartościowe. Mógłbym jeszcze długo wymieniać, ale podkreślę właśnie te nowoczesne uderzenia i podziały.

W swoich nagraniach wykorzystujesz sporo żywych instrumentów. Natomiast hip-hop najczęściej tworzony jest na beatmaszynach, zapożyczonych skądś samplach, a granie na żywo jest - choć coraz popularniejsze - wciąż na marginesie, jest raczej czymś awangardowym.

Wiesz, to też nie jest do końca granie na żywo, bo przecież to nie są całe utwory grane na żywo. Ja też korzystam z beatmaszyny, po prostu żywe instrumenty traktuję w formie samplingu. To są nagrywane na żywo dłuższe partie, które ja potem przetwarzam, bawię się nimi. Czasami korzystam też z sampli z płyt, ale najczęściej sample biorę z żywych instrumentów. Myślę, że moja twórczość mimo wszystko mieści się w kanonach klasycznej produkcji hip-hopowej.

Jak pracujesz nad tworzeniem muzyki - masz pomysł, coś "zagra Ci w głowie" i biegniesz do studia to zrealizować, czy może spędzasz czas przy instrumentach i wtedy szukasz, eksperymentujesz?

To jest tak, że zawsze wszystko zaczyna się rodzić w głowie. Gdzieś jestem - obojętnie gdzie, miejsce nie gra roli - coś wpada mi do głowy, najczęściej melodia albo ciekawy podział perkusyjny, zaczynam nad tym wszystkim się zastanawiać i kombinuję. W pewnym momencie zamykam się w sobie. Gdy moja głowa jest na tyle pełna pomysłów, że mogę zasiąść przy beatmaszynie, wtedy po prostu siadam przy niej i zaczynam przekładać swoje pomysły na rzeczywistość. Dodaję do tego różne brzmienia, eksperymentuję i... coś z tego wychodzi.

Twoje brzmienie jest dość - nazwijmy to - eksperymentalne na tle większości polskich produkcji hip-hopowych. Czy łatwo pracuje się nad przygotowaniem takiej muzyki? Praca z innymi muzykami, dogadywanie się z nimi...

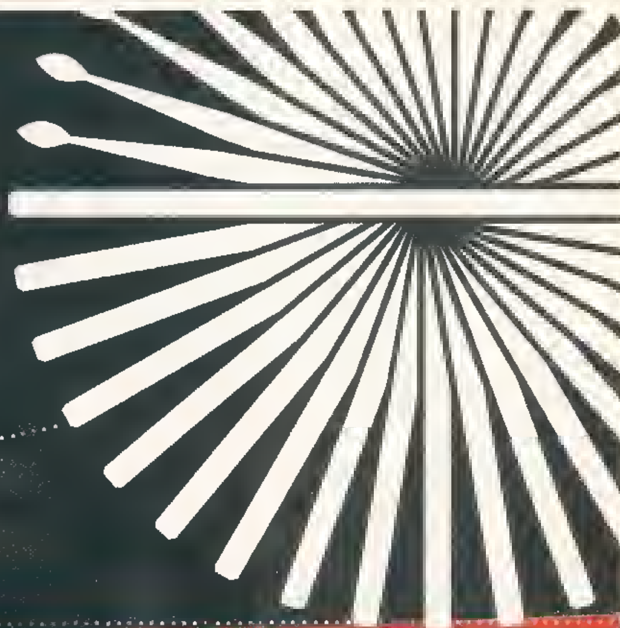
Mnie to przychodzi łatwo. Sądzę, że z tego względu, że muzycy, z którymi współpracuję, są to najczęściej ludzie w moim wieku, moi koledzy, znajomi, i nadajemy na tej samej fali. Wspólnie chcemy coś ciekawego stworzyć.

Obserwujesz, co dzieje się na naszej scenie?

Obserwuję, aczkolwiek jest tego ostatnio tak dużo, że już się trochę pogubiłem... Staram się przesłuchiwać nowowychodzące rzeczy na bieżąco, przynajmniej te z mojego miasta.

A tak w ogóle, to pamiętam, jak kiedyś rozmawiałem z Twoim bratem i był taki motyw, w którym on zastanawiał się, czy to, co wspólnie robicie, to jeszcze w ogóle jest hip-hop. Więc...

Wiesz, moim zdaniem nazwa hip-hop trochę ogranicza w działaniu. Na takiej zasadzie, że ktoś chciałby coś zro-





EMADE
BEZ OGRANICZEŃ

bić, ale nie zrobi, bo to już może nie być hip-hopowe i... jego koledzy obrażą się na niego. Ja nie wiem - jak ktoś chce sobie moją muzykę zaszufladkować, to niech ją zaszufladkuje. Ja się nad tym nie zastanawiam.

Kolejne płyty Fisza i Twoja płyta producencka to chyba właśnie dowody na to, że faktycznie nie przejmowaliście się opiniami innych. Zwłaszcza Ty wciąż muzycznie poszukujesz - powiedz, czy w tych poszukiwaniach coś Cię czasami ogranicza, czy był może taki moment, że miałeś jakiś pomysł, ale nie zrealizowałeś go, bo pomyślałeś, że może być to zbyt śmiałe?

Nie przypominam sobie takiej sytuacji. Każda rzecz, którą zrobiłem bądź którą zrobiliśmy wspólnie, była od początku do końca przemyślana i nigdy nie odnosiłem wrażenia, że to może być zbyt śmiałe, zbyt odchodzące od wszystkiego, co nas otacza.

A jak się pracuje braciom? Długi czas było tak, że mówiło się głównie o Bartku, Ty trochę pozostawałeś w cieniu, właściwie dopiero Tworzywo Sztuczne było podpisane przez Was obu. To pozostawanie z tyłu było zamierzeniem specjalnym, czy może po prostu tak to wyszło?

To pozostawanie z tyłu było chyba czymś oczywistym - przecież zawsze producent jest z tyłu, a na pierwszy plan wychodzi mc. Zauważyłem natomiast, że od czasu gdy w nazwie pojawiło się Fisz Emade, coraz więcej osób zaczyna się mnie pytać właśnie o tę współpracę. W ogóle o coś zaczyna się mnie pytać... A współpraca? Myślę, że jest to rzecz, która przychodzi nam bardzo łatwo. Znamy się tak dobrze, rozmawiamy ze sobą bez żadnych przerw w komunikacji i podobnym językiem, słuchamy bardzo podobnej muzyki. To z pewnością duży plus naszej współpracy.

Jak wygląda sam proces Waszej współpracy? To Fisz przychodzi z gotowym tekstem, czy też może Ty dajesz mu najpierw muzykę?

Zwykle ustalamy sobie z góry, w jaką stronę który beat ma pójść. Ja robię wtedy jakieś szkice, wypalam to na płycie, daję Bartkowi, on słucha, mówi mi, że to jest to, zaczyna coś do tego pisać, a ja dalej pracuję nad muzyką, ulepszam to. Potem, gdy tekst jest gotowy, razem dochodzimy do ostatecznej wersji.

Przez ostatnich kilka dni sporo słuchałem Twojego solowego albumu. To z pewnością nie jest łatwa płyta, nie przejdzie się przez nią tak spokojnie, po prostu jej słuchając, trochę trzeba się w ten klimat wczuć. I od razu mam pytanie : Twój remiks kawałku Włodiego i rymy Inespe - te utwory też można przyjąć jako dość wyrafinowany eksperyment; przedstawiciel sceny hardkorowej Włodi i bardzo ostre rymy Inespe, w zderzeniu z Twoją muzyką prezentują się dość niecodziennie.

Włodiego po prostu bardzo chciałem zaprosić na swoją płytę. Na początku mieliśmy zrobić wspólny kawałek, kilka razy się spotkaliśmy, rozmawialiśmy, ale jakoś tak wyszło, że Włodi był pochłonięty ważniejszymi, życiowymi sprawami, więc wpadłem na pomysł, że może zrobię po prostu remiks jego kawałka. Ja w zasadzie wolę robić remiksy różnych wykonawców, niż pracować nad kawałkiem od początku, mogę wtedy robić co chcę, kończyć kawałek samemu. Wziąłem więc taśmę z jego wokalem i popracowałem nad nim. Było to dla mnie coś przyjemnego i cieszę się, że tak się skończyło. W przypadku Inespe można było się spodziewać poważnej tematyki. Nie jest to płyta jednostajna, są na niej różni goście. Chciałem pokazać wiele różnych pomysłów.

A kawałek Sokoła, również z dość zdecydowanym przekazem, który wybrałeś na singiel promujący album?

Akurat tak się składa, że w polskim rapie bardzo cenię umiejętności ulicznych raperów, między innymi Sokoła czy Włodiego. Jestem w pełni zadowolony ze współpracy z Sokołem. Myślę, że "Dam ci przeżyć" dobrze pasował na pierwszy singiel i dobrze się uzupełnia z instrumentalnym "Stopniem wtajemniczenia". Nic dodać, nic ująć... Pozdrawiam Sokoła.

Z kim współpracowało Ci się najlepiej?

Trudno powiedzieć. Z każdym bardzo dobrze. Praca odbywała się na zasadzie pozostawienia każdemu wolnej ręki. To taka wolna współpraca, nie chciałem ingerować w lirykę.

Robisz muzykę od dawna, ta muzyka krąży wśród ludzi, zdobywa wśród nich popularność, ten album jest jednak pierwszym sygnowanym przez Ciebie. Jak szła praca nad nim, nie czułeś jakiegoś obciążenia, autopresji?

Wiesz, może z zewnątrz to wygląda tak - mój autorski album, więc przez to nieco inny. Tak naprawdę jednak nic się nie zmieniło. Zajmowałem się i nadal zajmuję się muzyką. Nie było to jakieś szczególne wyzwanie. Faktycznie, ja sam firmuję płytę, więc tylko w tym tkwi różnica. Proces tworzenia, wszystkie moje działania są takie same, jak zawsze.

Gdybyś miał o tej płycie sam opowiedzieć?

Zauważyłem, że mało jest na niej hitów. Nie jest to płyta przebojowa, taneczna. Jest dość ciężka, jest - jak ja to nazywam - niska, nisko-strojona. Dużo dołu, dużo basu - to, co lubię. Ciężko mi mówić o swoich poczynaniach, ale z albumu jestem zadowolony. To, co chciałem na nim zamieścić, zamieściłem.

Jest na tym albumie sporo jazzu, sporo - nie cierpię tego określenia, ale ono wciąż się pojawia... - nowoczesnych brzmień, sporo eksperymentów. Obserwuję scenę muzyczną w Polsce, nie tylko zresztą scenę hip-hop, i cały czas dochodzę do wniosku, że wrażliwość odbiorców jest bardzo niska, że tak naprawdę poza chwytliwą melodyjką i refrenem rzadko co większość z nich interesuje. Twoja muzyka w zetknięciu z takim podejściem to...

Myślałem sporo o tym, jak daleko zajdę w mojej twórczości... Gramy koncerty, na które przychodzi dużo ludzi, spotykamy się z pozytywnym odbiorem, czujemy energię, którą sami wytwarzamy. Takie chwile dają mi największą mobilizację do działania. Nieporozumieniem by było stwierdzenie padające z moich ust, że wrażliwość słuchaczy jest zbyt niska.

Jakie masz plany na przyszłość - tę najbliższą i tę trochę dalszą?

Dużo planów muzycznych. Na pewno następna płyta z moim bratem, firmowana jako Tworzywo Sztuczne. Płyta Inespe, którą już zacząłem robić. Mam zamiar wydać też ep-kę z różnymi dubowymi eksperymentami. Jest jeszcze eksperymentalny projekt Wojciecha Modzelewskiego;, biorą w tym udział Mikołaj Trzaska, Bunio, Macio Moretti, Fisz i ja. Być może ukaże się to w formie płyty. Na pewno parę rzeczy będę robił po kolei, parę jednocześnie, może będzie to długo trwało, zobaczymy...

Ostatnie słowo?

Słuchajcie dobrej muzyki... Człowiek osłuchany może posiąść równie ważną wiedzę, kształtującą inteligencję, co człowiek oczytany. Warto jest słuchać nie tylko dla tych powodów oczywiście. Ja uważam, że najpierw trzeba zdać sobie sprawę z wartości muzyki. Pozdrawiam.

.:Rozmawiał Kowal:.
.:Foto WZR:.



dj honda

W poprzednim numerze mogliście przeczytać rozmowę z PMD, dziś wywiadów porcja druga. Najpierw krótka rozmowa z Parrishem i dj'em Hondą, a potem Honda solo.

„PMD chce podziękować Jezusowi i bogu / za lot, wyjścia do fanów i bezpieczną podróż/ Chcieliśmy wiedzieć gdzie jest w Polsce hip-hop/ Teraz wiemy to wszystko, wiemy to dokładnie/ jak pracować i jak budować go razem/ by z czasem, był coraz większy i większy/w liceach jest kursem, który można wziąć na kredyt/ każdy uczeń może stać się przywódcą rebelii/ jestem liderem pionierów, nie przegranym/ jestem po prostu płomieniem prawdy/ dziękuję Polakom za to jak byłem przyjmowany/ jestem przekonany, wrócę na świetne koncerty/ więcej bboyów, bgirls, hip-hop będzie tu wielki" - to specjalny freestyle PMD dla czytelników Ślizgu. Nie był to pierwszy wywiad, artysta był zmęczony po meczu koszykówki, który cała ekipa rozegrała na boiskach pod Pałacem Kultury, niemniej jednak chętnie i bez żadnej prośby pojechał kilka linijek. Taki jest właśnie Parrish Smith - serdeczny, otwarty. W dodatku pełen mądrości życiowej. Honda to jego przeciwieństwo - słowa trzeba z niego wyciągać, dobitne i głośne wypowiedzi podkreśla dynamiczną gestykulacją. Trzeźwo, nawet więcej - w pełen wyrachowania sposób patrzy na hip-hop. Dlatego postanowiliśmy zebrać dwa żywioły razem, ale i poddać się każdemu z nich z osobna. Miłej lektury.

DJ HONDA i PMD:

Czy widzieliście film „Przyczajony tygrys , ukryty smok"?

Dj Honda: Niestety nie widziałem.

PMD: Oczywiście, to świetny film, bardzo mi się podobał, uwielbiam go. Dość długo wyświetlany był na ekranach kin, niestety wówczas nie miałem okazji, jednak później, już w domu obejrzałem go którejś nocy. Muzyka, cała puenta filmu utkwiła mi głęboko w sercu. Wszystkie wierzenia, cała sztuka, wszystko to, co ci ludzie musieli zrobić, by połączyć się ze swoimi kobietami i by ostatecznie być szczęśliwymi w głębi duszy, na prawdę. Wszystko to czułem. Chcę wysamplować pętlę, żeby zrobić bit

Psssssssssst, nie powiemy nikomu... (śmiech) Pytałam o ten film, ponieważ jest wielką mieszanką zachodniej i wschodniej kultury, zupełnie , jak wasza płyta. PMD byłeś kiedyś w Japonii?

PMD: Nie, niestety, ale pracujemy nad tym z dj'em Hondą. Teraz przygotowaliśmy nowy album „Underground Connection", jest też płyta Hit Squadu, która ukaże się niebawem w Japonii i wtedy może się tam pojawię.

Zdarzały się między wami pewne nieporozumienia na podłożu kulturowym?

Dj Honda: Muzyka nie ma języka ani państwa, ja jestem dj'em, on rymuje - to jest to, zero komplikacji. To zawsze się ze sobą łączy. Oczywiście zawsze pojawia się różnica w kulturze, różnica stylu, ale muzyka sprawia, że wszyscy pracują razem.

PMD: Nie, nie zdarzały się takie nieporozumienia. Ja jestem w grze od 20 lat, od 16 jako artysta, więc kontroluję się. Wiem, że kiedy jestem w innym kraju, a ktoś mówi w moim języku, ja muszę mówić wolniej, wyraźniej, bez slangu. Honda jest z Japonii, uczył się ciężko, jak mówić po angielsku, więc kiedy mówiłem wolniej do Hondy, sam się niejako automatycznie uspokajałem, wiesz, kiedy jestem w Ameryce, wariuję, staję się impulsywny.

Są jednak takie różnice kulturowe, wynikające w codziennym życiu, przykładowo: PMD pije 40's i pali blunty, a Honda pije sake i je sushi. To musiała być dla was bardzo egzotyczna sytuacja.

PMD: Tak, ale to zadziałało. Im człowiek jest starszy, tym horyzonty stają się szersze. Teraz jestem hip-hopowcem, Amerykaninem, jestem żywą legendą w grze, rozumiesz, nie mogę być osobą o zawężonym światopoglądzie. Zjadam japońskie jedzenie, nauczyłem się jeść pałeczkami, co by mi w ogóle kiedyś nie przyszło do głowy. Nauczyłem się pić sake i tego typu rzeczy. Teraz przykładowo jestem w Polsce, próbuję tutaj lokalnej kuchni, dowiaduję się o pewnych zwyczajach. Kiedy człowiek jest młodszy, błogosławi okoliczności sprawiające, że to docenia. Jak masz wąskie horyzonty, nie dostrzegasz tego. Kiedy spotykamy się z Hondą pijemy dużo sake, jemy japońskie potrawy. Jednak sushi nie lubię.

Wielu Afroamerykanów czerpie inspiracje z filmów kung-fu. Cały Wu-tang, Jeru, czy Afu-ra oparł wręcz na tym swoją ideologię. Potraficie to jakoś wyjaśnić?

Dj Honda: Oni mają to wypracowane. Lubią kung-fu, kiedy byli dziećmi, oglądali wszystkie te filmy, a my? Nie za bardzo, tylko te z Brucem Lee, pozostałego gówna nie, ale oni wszystko to lubią, oni wszyscy o tym gadają. Mają dzięki temu więcej tematów do rozmów...

PMD: To jest jak ten wielki budynek (PMD wskazuje na PKiN) to coś znacznie starszego od nas, było tu, zanim się urodziliśmy, i przede wszystkim jest to większe od nas, ode mnie, od Hondy, dlatego znajduję dużo czasu na czytanie książek, uczenie się o wszechświecie, w którym żyję. Kung-fu tu było, oglądałem filmy z Brucem Lee, Jackie Chanem, wszystko to, gdy byłem młodszy.Teraz to jest mainstream, ale ja oglądałem Jackie Chana, kiedy miałem może 7 lat. To jest bardzo uduchowione. Na koniec dnia, po całej batalii, pracy, siadam i odpoczywam przy tym.

Mieliśmy już EPMD, teraz mamy HPMD - Honda and Parrish Making Dollars...

PMD: Dokładnie tak!

Teraz nawet najwięksi weterani podziemia, jak Diamond z D.I.T.C., mówią o pieniądzach, myślicie, że wasza przyszłość jest stabilna?

Dj Honda: Tak, a zresztą ja myślę, że to jest tak- jeden rok więcej, jedno zadanie więcej, to więcej pieniędzy. Ich nigdy nie jest wystarczająco dużo, lepiej, kiedy ilość rośnie, to zrozumiałe. Wolę, kiedy wszystkiego jest więcej- nowych technik, fanów, pieniędzy. Dlatego jestem tutaj, tak mi się wydaje...

PMD: Ja uważam, że tak, nie muszę nigdzie iść. Robię koszulki jak ta (pokazuje na swoją pomarańczową koszulkę z nadrukiem „PMD" i „Hit Squad") wybieram logo, jakie mają się tam znaleźć, kolory, nagrywam swoje albumy, robię wszystko, na co mam ochotę. Nie muszę iść gdzieś na Manattan i błagać „proszę , wydajcie moją płytę, błagam zorganizujcie mi trasę koncertową" a oni na to „OK, ale musisz zmienić styl, ubranie, i kolor włosów , damy ci jakieś wokalistki". Nieee, to nie PMD, teraz mam własny label, który się nazywa Boondox records, wydaję w nim własną muzykę. Nie sprzedaję tylu egzemplarzy, jak na przykład EPMD, które zdobyło platynę, ale mam kontrolę nad karierą. Widzisz 50- Centa, wydał 4 albumy i ciężko pracował, przed tym, jak go postrzelili w twarz, teraz Eminem doszedł do wniosku, że jest gotowy , bo zapracował na to, ok, czas na wypłatę. Po prostu trzeba podróżować z wiarą i podążać za tym, w co się wierzy.

Więc teraz, kiedy masz już pieniądze hip hop stał się dla Ciebie bardziej hobby, niż pracą, prawda PMD?

PMD: Tak, rozumiesz, kiedy tracisz szacunek na ulicy, robisz jeden błąd- gra jest skończona. Tak jak to jest z Kobe Bryant' em, jedno potknięcie i nagle musisz uważać, bo nigdy nie wiesz, kiedy ktoś cię dobije. Możesz zginąć w tej grze od postrzału. To cię uczy, by być na właściwej pozycji pracować na szacunek od ludzi. To twoje życie.

W Japonii obok Hondy jest jeszcze jedna ikona rapu - DJ Krush, znacie go?

PMD: Nie, ja niestety nie znam.

Dj Honda: Ja znam, nasze relacje są dość dobre.

Więc może w przyszłości możemy się spodziewać jakiejś wspólnej płyty?

Dj Honda: Nie ma mowy!!! Ja jestem Dj Honda! (tu Honda wstaje z uśmiechem i wznosi pięść w powietrze) Jako ludzie trzymamy razem sztamę, ale on był kiedyś gangsterem. Ma masę tatuaży. On jest w porządku, ale nie przepadam za jego kolesiami, którzy wszędzie się z nim pojawiają. Ja i on- dobrze, a pozostałych jego przyjaciół pieprzę. Ja przyniosłem hip-hop do Japonii, ja sprawiłem, że ludzie to pokochali, a potem wszyscy zaczęli to robić... Lubię to, to moje gówno, ale Dj Krush ma brudny hajs, niedobry. Kiedy mówimy o biznesie, robimy to w jaki sposób. Kiedy oni gadają o biznesie, robią to zupełnie inaczej, więc to są inne pieniądze- te które ja zarabiam i te, które zarabiają oni. Nasze pieniądze są bardziej żywe, ich to tylko papier.

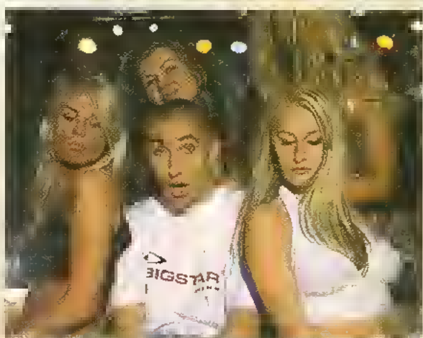
DJ HONDA:

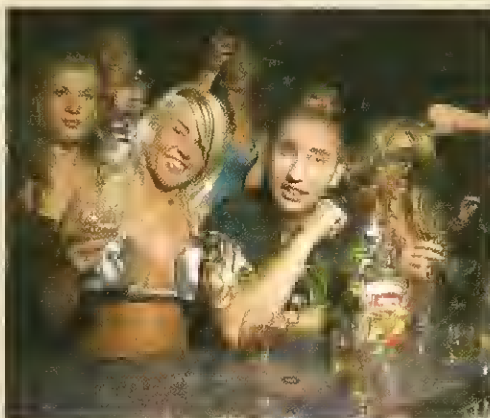
To niesamowite- nawet najbardziej podziemni artyści z U.S.A. czują się cudownie w Japonii,

mają tam dużo fanów i zawsze ciepło wypowiadają się o tym kraju...
Japonia to pieniądze! To jest tak, że oni przyjeżdżają do nas i potem mówią „Oooooo! Japonia, kocham ten kraj!", a Japończycy - „Amerykanin? Miło".
Myślisz, że tu chodzi tylko o pieniądze?
Pieniądze, w pewnym stopniu kultura, ludzie. Być może jedzenie.
Azjatycka kultora jest bardziej uduchowiona, prawda?
Tak, uduchowiona, ale nie tak wielu ludzi rozumie o co w tym chodzi- tylko nieliczni to potrafią.
Na japońskich edycjach płyt jest przeważnie kilka utworów więcej...
To dlatego, że japończycy chcą czegoś więcej, czegoś specjalnego, lubią czuć się wyróżnieni przez coś, co mogą dostać tylko dla siebie. Trzeba wam wiedzieć, że połowa pieniędzy wydawnictwa pochodzi ze sprzedaży płyt. Kiedy album ma premierę w Stanach , Japończycy kupują go od razu, kiedy wychodzi jego japońska edycja- też muszą ją mieć. To dlatego- dwa utwory więcej, i dzieciaki od razu kupują dwie wersje. Dlatego ja też zawsze przygotowuje dwie edycje. Jeden album- niewiele więcej pracy, a dwa razy więcej zarobku. Wszystko to biznes.
Na twoim pierwszym albumie nazwanym „DJ Honda" było wiele amerykańskich gwiazd ze światka hip-hopowego- pojawił się Guru i Premier, Beatnuts, tha Liks... Jak to było możliwe, że pozyskałeś tych artystów już na swój debiutancki krążek?
W 91-92 roku byłem dj'em w Nowym Jorku, uczestniczyłem w muzycznym seminarium. Nie znałem tam wielu ludzi, ale oni widzieli mnie. Wszystkie te sławy- Premier, Scratch, pracownicy przemysłu muzycznego, menedżerowie. W tamtym czasie narobiłem troszkę hałasu i już mnie rozpoznawali. Później podpisałem kontrakt z Sony i skontaktowałem się z tymi ludźmi- wszyscy mnie kojarzyli i dlatego było tak łatwo... Dodatkowo pieniądze oczywiście. Nigdy nikt nie robi nic za darmo. Zapłaciliśmy za wszystko, nagrałem płytę i zarobiłem pieniądze. Niestety za mało ludzi chociażby próbuje, większość to minimaliści.
Czy zanim wydałeś płytę nagrywałeś w domu jakieś mixtape'y?
Nie...
Pomiędzy mainstream`owymi gwiazdami na twoich płytach można znaleźć kilku bardziej podziemnych twórców, jak Mos Def, czy Jeru. Skąd taka koncepcja? Chciałeś nagrać uniwersalny album, czy po prostu przygotowując bit do takiego na przykład „Travelling Man" pomyślałeś - „Hmmm... Tylko Mos Def mógłby rapować na tym bicie"
Zawsze musi być balans. Jeśli przygotowuje bity dla gwiazdora, wszyscy go znają, ale kiedy robię produkcję dla raperów podziemnych, to myślę o pokazaniu ich Japonii,albo reszcie świata. Jestem dj`em, gram różne rodzaje muzyki i dokładnie tak samo jest z moimi albumami- różne style, wielu różnych ludzi. Kiedy robię bity ,czasem myślę o tym, kto na nim zarapuje. Gdy Mos Def przyszedł do mnie do domu, przesłuchaliśmy kilkadziesiąt podkładów i on wybrał jeden z nich- na nim jest wykonana oryginalna piosenka. Później ja zrobiłem remix, który mnie najbardziej pasował do tekstu Mos Defa.
Słyszałam, że jesteś sędzią w różnych konkursach turntablistycznych. Jest to dla ciebie tylko praca, czy coś ci to daje?
Jestem tam po to, żeby pomagać. Dlatego pojawiam się na japońskich mistrzostwach dj`ów co rok. Chcę pomagać ludziom. Raczej to ja przychodzę tam z pieniędzmi, inwestuję je, często wychodzę na minus. Ale to jest w porządku, później zabieram zwycięzcę do Stanów i daję mu się spróbować w tamtych warunkach. Od 5 czy 6 lat nie mieliśmy zwycięzcy, ale ja wciąż mam ochotę to robić. Dlaczego nie miałbym promować mistrzów Japonii?
Masz swój własny label, dlaczego się na to zdecydowałeś, czy nie oznacza to znacznie więcej roboty nie związanej z robieniem muzyki?
U majorsów wciąż jest masa pierdolenia. Oni nie zauważają nas. Dla mnie moje płyty są jak dzieci. Kiedy chcesz dbać o dziecko, musisz zawsze upewnić się, czy chodzi do dobrej szkoły, czy ma dobrych znajomych, a kiedy oddajesz je pod opiekę takiego majorsa, masz tylko połowiczną pewność. Oni się nie troszczą o nic. Jeśli się dobrze sprzedaje- OK, dają więcej pieniędzy i promocję, kiedy się nie sprzedaje- wynocha stąd! Ja tego nie lubię, ponieważ szanuję muzykę. Właśnie dlatego rozkręcam własny biznes. Oczywiście mam znacznie więcej pracy, ale kiedy wydaję coś, co robi dużo dobrego zamieszania- to ja zbieram laury, nikt inny, każda pochwała i każdy pieniądz trafia do mnie. Natomiast kiedy coś spieprzę, to także trafia prosto do mnie, no ale taka jest rzeczywistość. Ja nie chcę mieć ochraniaczy, jeśli nie jestem wystarczająco dobry, spoko, pójdę inną drogą, jeśli jestem dobry, nadal robię to, co robiłem, bez majorsów pomiędzy mną i fanami, bez ludzi mówiących mi co muszę zrobić. Zanim zacząłem własny biznes, nie miałem pieniędzy, teraz je mam, i mogę się wybrać w kolejną trasę, kiedy tylko mam ochotę. Ciągle raczkujemy, ale obserwujcie nas!
Wydałeś album „Turntablist Revolution" i ponownie udało ci się zebrać śmietankę hip-hopowych artystów spomiędzy dj'ów: X-ecutioners, Scratch Perverts. Jaką konkretnie rolę odgrywałeś w przygotowaniu tej płyty?
Wypromowałem artystów. Wybrałem twórców, selekcja trwała kilka lat a teraz po prostu przygotowałem składankę. Dla mnie to był znów minus, ale promocja była dobra i teraz japońskie dzieciaki mają to, niektórzy dj`e słuchają i ćwiczą, niektórzy ludzie po prostu to sprawdzają. A więc zrobiłem to dla innych, a nie dla siebie
Album „Underground Connection" nagrany z PMD jest pierwszym krążkiem, który przygotowałeś wyłącznie z jednym artystą. To dlatego, że była między wami taka dobra chemia, czy po prostu chciałeś spróbować czegoś innego niż składanki?
Chciałem zrobić coś kompletnie innego, wszystkie poprzednie płyty, to, jak powiedziałaś, składanki - inne kawałki, inni ludzie, inne style, inne historie. Takie było moje marzenie kiedyś... Teraz chciałem zrobić prawdziwy album- a nie składankę. Spotkałem PMD, wcześniej tylko raz ze sobą współpracowaliśmy , ale potem chcieliśmy zrobić razem całą płytę. Współpraca szła świetnie, dlatego teraz możecie mieć ten album.
Czy myślisz o jakichś innych raperach, czy dj`ach, z którymi chcesz zrobić całą płytę?
Taaaaak! Oczywiście chcę zrobić kolejny album z PMD, innymi mc, kimkolwiek... Chcę zrobić płytę H4, H5, H6... „Underground Connection"- część 2, część 3... R`n`B, wszystko, ciągle pracuję, jestem gotowy!

.:Rozmawiali: Flintstone i Cessya (CS):.
.:Foto: Kula (LoopMagazyn):.

słodki gorzki







Nie przejmuje się tym, że jest nie lubiany. Robi rap i chce go pokazywać. Jako jeden z niewielu polskich raperów nawiązał silną współpracą z artystami zza granicy. Mówi, że nie potrzebuje menadżera bo ma głowę do wszystkiego: nagrywa, wydaje w założonej przez siebie wytwórni MGK, organizuje koncerty, kręci film a ostatnio stał się też bohaterem książki. Gorzki z Elity Kaliskiej, główny bohater towarzyskich plotek i dyskusji internetowych twierdzi, że nie boi się wyzwań...

Na jakim etapie są prace nad Twoją solową płytą „Wejście Anakondy"?
Nagrywam cały czas kawałki, tak zupełnie bez żadnego planu i kiedy zbierze się około 15 jakich, które będę chciał zmieścić na płytę, to ją wydam.

Będzie tam podobno dużo znanych zagranicznych gości...
Będzie Diaspora z Francji, będzie ktoś z Niemiec i ze Stanów i beaty będą zagraniczne, nie chciałbym za dużo zdradzać, wszyscy wiemy, że Polska jest krajem życzliwym... W każdym razie jest kawałek polsko-czeski oraz polsko-rosyjsko-litewski. W sumie chciałbym zdradzić jednego producenta na mojej płycie bo i tak niedługo będzie klip - to jest Tramp Baby, który robił beaty dla Salt'n'Pepa i remix dla MOP. Załatwiłem namiary do różnych producentów amerykańskich i tak zaprosiłem ich do współpracy.

Drogo biorą?
Jedni robią to właściwie za free, a inni za w sumie małe pieniądze. Jesteśmy tak poumawiani, że jeśli ich beat pojawi się na płycie to coś tam dostają, jak nie - to nie.

Jak ty to robisz, że tak ekspansywnie atakujesz kraje sąsiedzkie i nawiązałeś tyle znajomości!
No tak, dużo na pewno pomogła mi menadżerka Diaspory z Def Jamu niemieckiego. Ona jest Polką. Drugim ogniwem jest menadżer Little Egipt - też Polak. A z drugiej strony, to wiesz jak jest: jedni gadają, drudzy robią!

A czy to właśnie ta dziewczyna z Def Jamu dostała sławnego mejla?
Tak (śmiech)! W sumie nawet nie chcę tego tematu rozwijać, bo to już zaprzeszła historia. Sokół, bodajże z Tymkiem, napisali do niej żeby mnie na ten festiwal nie zapraszała, bo są w Polsce lepsze zespoły, czy coś takiego. Od razu jak przyjechałem do niej do Niemiec, ludzie na powitanie powiedzieli: „Chodź, pokażemy Ci jacy Polacy są życzliwi" i pokazali mi tego mejla. Śmiałem się z tego, no co! Nie mam nic do Sokoła czy Tymka, wręcz czasem mejlujemy do siebie z Tymkiem - to sympatyczny koleżka, a ten epizod odbieram jako żart w złym guście, z którego wszyscy mieliśmy ubaw.

Ale jak się to skończyło?
Jakoś ucichło. Jak zwykle rozstrzygnęli to ludzie z forum (śmiech). Pobiłem chyba rekord, w tej sprawie wypowiedziało się około 400 osób. Była jeszcze druga sytuacja z Sokołem, kiedy ktoś zaproponował mi nagrywanie podając się za niego. Ja będąc w Warszawie na koncercie całkiem przypadkowo tego dnia spotkałem na ulicy Sokoła z Tymkiem. Wyjaśniliśmy sobie, że zaszło nieporozumienie, a on zachował się bardzo w porządku - myślał, że przyjechaliśmy tam specjalnie na to spotkanie i chciał nas zabrać na jakąś domówkę. Nie skorzystaliśmy bo mieliśmy inne plany, ale uznaliśmy, że to naprawdę miły gość.

Skąd wzięła się recenzja EK na afrykańskiej stronie www?
Znałem tego koleżkę - też przez Def Jam (śmiech). Poznałem go przypadkowo na festiwalu w Bonn. Tam grała cała czołówka zespołów niemieckich plus gwiazdy zagraniczne. Jakoś się zgadaliśmy i zaczęliśmy sobie pomagać. Napisał recenzję EK i obu części „Hip-Hop Rasizm Stop".

I jakie były?
Hmm, dobre były... Chyba za EK dostaliśmy 4 gwiazdki, za „Rasizm Stop 2" chyba 5 i za jedynkę ze 3 na skali do 5. Ogólnie mamy raczej dobre recenzje za granicą. Na angielskiej stronie „Dainty Crew" też jest recenzja. Tych gości poznaliśmy w Niemczech w tym roku. Spodobał im się koncert i podeszli do nas bo chcieli płytę. Dostali i napisali recenzję. Nie wiem jak to jest, może oni mają inny gust, a może po prostu wpływ ma na to wszystko fakt, że za granicą promuję wyłącznie solowy materiał.

Jak to jest, że tak się rozprzestrzeniasz po Europie nie będąc megagwiazdą w Polsce?
Aśkę z Def Jamu podczas pobytu w Polsce przesłuchała większość rodzimych płyt hiphopowych, szczególnie tych popularnych, część sobie nawet kupiła, część dałem jej w prezencie. Ale jakoś chce współpracować ze mną, nie wiem dlaczego... Poznaliśmy się i tak już się stało, że ja chcę ich tu w Polsce pokazać a ona mnie za granicą. Cieszę się z tego.

Można powiedzieć, ze Twoja kariera jedzie na znajomościach?
W pewnym sensie tak, ale nie można powiedzieć, że tylko. Ja w to wkładam dużo pracy. Nikt nie pomoże mi wpłynąć na gusta ludzi i też nie weźmie dystrybucji czegoś, co mu się nie sprzeda. Aśka mi pomogła w tym, że dostałem od niej prywatne adresy do znanych osób. Wysłałem do nich wszystkich mejle, załączyłem linki do swoich kawałków - „EK" tam nie załączyłem (śmiech) - teledysk „Duże Miasto" i pytałem, czy są zainteresowani. Odpowiedziało mi parę osób, ale dużo też nie odpisało, np. Snoop i P. Diddy, ale to już są gwiazdy dużego kalibru... Po prostu - jak cenię sobie jakiegoś artystę, albo uważam że czyjeś beaty są dobre to piszę do niego pytając, czy nie zechciałby współpracować i czekam na odpowiedź. Nie boję się napisać do kogoś bo nazywa się Snoop - ja próbuję ze wszystkimi, a nóż się uda...

Czy myślisz, że EK jest najbardziej znanym zespołem hiphopowym za granicą?
Na pewno jesteśmy znani w Niemczech, tak na poziomie bardziej znanego zespołu undergroundowego. EK nie była tam dystrybuowana, tylko nasza składanka, ale będzie też moja solowa płyta bo już mam podpisaną stałą umowę z niemiecką firmą i będziemy dystrybuowani we wszystkich krajach Unii Europejskiej. Jest po prostu firma, która nam ułatwi całą promocję. W Niemczech będziemy mieć dobrą promocję... Nie bardzo chce się zdradzać ale zostałem zaproszony na featuring do znanego niemieckiego rapera.

Zagraniczni artyści muszą Cię szanować...
No chyba tak - laski nie robią i nie płacę im za to żeby mnie zaprosili...(śmiech)

Uważasz się za dobrego rapera?
Jeśli chodzi o EK uważam, że nagraliśmy ją za szybko i jest zdecydowanie słaba, uważam że wytwórnia, która nas wtedy wydała popełniła błąd wybierając nas, choć jeśli chodzi o sprzedaż to nie żałują. Ja się nie lubię oceniać. Nagrywam nowe kawałki, ludzie ocenią. Po co robić kolejny temat na forum, że Gorzki powiedział, że jest dobry! (śmiech)

Na solową płytę zapraszasz gości. Boisz się że rap tylko po polsku się tam nie sprzeda?
Ktoś by sobie może kupił do kolekcji, tak jak ja bym sobie pewnie kupił płytę rosyjską z ciekawości do posłuchania. Na pewno parę osób będzie się chciało dowiedzieć, co tam w Polsce. Poza tym pewnie muzyka im się spodoba, bo w końcu w Polsce dużo osób słucha niemieckiego czy francuskiego hip-hopu nie rozumiejąc słów ale zwracając uwagę na melodię języka i na produkcję muzyczną.

Masz plan żeby zrobić zajawkę na polski hip-hop za granicą?
Mam nadzieję, że do kupienia ludzi zachęci spora liczba znanych gości z tamtych krajów, a przy okazji posłuchają mnie, to na tej zasadzie... Nie robię zajawki na polski hip-hop. Choć myślę, że to z czasem pozwoli pokazać także resztę polskiego rapu poza Polską... Wydam płytę jak uznam, że jest dobra, a jeśli ja będę zadowolony - będę chciał ją pokazywać wszystkim... Jak będą ją chcieli w Afryce, to tam też postaram się mieć dystrybucję. Nie ma pod tym żadnej ideologii. Chcę po prostu pokazywać swój rap i zbierać opinie. EK na przykład rozsyłałem za granicę do znajomych żeby mi powiedzieli, co sądzą. W Stanach na przykład zupełnie inaczej odbierali tą płytę niż w Polsce. Tu każdy się przyczepił, że mam beat z Group Home, a tam nikt do tego nic nie miał. Słuchał tego nawet Grand Agent i uznał, że w Stanach takie rzeczy są normalne, uznał to za remix. Historia ta nie powinna była przytrafić mi się na starcie, ale gdybym to zrobił po którejś płycie, na pewno nikt by tego nie zauważył...

Czy może się zdarzyć, że zaczniesz rymować w innym języku niż polski?
Nie na razie nie. Jestem Polakiem i mam swój język. Może przyjdzie kiedyś taki dzień, że będzie mi bardzo zależało na zrobieniu szybkich pieniędzy i będę miał szerokie możliwości dystrybucji na świecie, będę miał żonę i dziecko i będę musiał ich utrzymać ale na razie nawet nie czuję się na siłach. Jak bym teraz chciał zacząć rymować w innym języku niż polski to musiałbym przejść całą tą drogę od zera. To jest od początku nauka rymowania. Nie sądzę by mi się to podobało.

Ale przecież radzisz sobie z językami skoro prowadzisz taką międzynarodową korespondencję...
W sumie tak. Najczęściej jednak nim się dogadam z kimś to wysyłamy sobie wiele mejli z tekstami typu: „Tego i tego nie zrozumiałem" (śmiech). Ja jestem dwujęzyczny - znam niemiecki i angielski - dlatego jak coś piszę to od razu w dwóch językach. Śmieszne bo niemieckiego i angielskiego uczyłem się w szkole, ale dopiero z musu się ich wreszcie nauczyłem na koncertach choćby z Diasporą. Najpierw była prosta wymiana zdań typu: „Look, pussy" (śmiech), poczym uznaliśmy, że nasza rozmowa się nie rozwija...

Dużo zarabiasz?
Powiem ci tak: póki co wszystko, co zarabiam, to wkładam, bo chcę się rozwijać. Dużo ludzi nam pomaga. A docelowo chcę pieniądze włożyć w coś, o czym nie mogę powiedzieć... (śmiech)

Będzie to związane z hip-hopem?
Tak!

Ale z muzyką czy innymi sferami?
Z muzyką, ale nie wyciągaj bardziej (śmiech).
Dobra, oprócz tego, że jesteś raperem - jesteś też założycielem MGK, jak do tego doszło?
MGK to wytwórnia, która istnieje już bardzo długo. Na pewno w Ślizgu znają składanki „Podziemie"... Zalegalizowałem wytwórnię po wydaniu płyty EK, wcześniej działała na nielegalu. Teraz to normalna firma: legal, ZUS...
Skąd wziąłeś kapitał?
Są sposoby... (śmiech)
Jak organizujesz czas żeby to wszystko ogarnąć? Masz sztab pomocników?
W radiu internetowym MGK było nas na początku ośmiu. Potem mi się odwidziało, innym się znudziło a teraz to już zupełnie nie mamy czasu. Padło na razie. Jeśli chodzi o label to sam to robię. Gazeta póki co będzie internetowa w trzech językach bo stwierdziłem, że teraz jest mnóstwo gazet i żeby wejść na rynek to trzeba sobie najpierw zdobyć czytelników. Takim dodatkowym pomysłem jest tłumaczenie na angielski i niemiecki, żeby równie dobrze Niemcy, z którymi mam kontakt mogli sobie poczytać o polskiej scenie, mam nawet załatwione, że w Niemieckiej Vivie będzie podany adres jak już wszystko ruszy.
Jak w tym wszystkim znajdujesz jeszcze siły na organizowanie imprez?
Na co dzień nie organizuję koncertów, ostatnio tylko chciałem zrobić Public Enemy w Kaliszu w ramach festiwalu „Rap Odwyk". Na początku to był taki spontaniczny pomysł, siedziałem z kumplem i pomyślałem, czy może by nie zrobić Eminema w Kaliszu bo akurat był w Europie, ale jak usłyszeliśmy wstępny koszt miliona dolarów to uznaliśmy, że to nie był dobry pomysł (śmiech). Public Enemy dzięki pewnym dojściom zgodzili się zagrać za całkiem nieduże pieniądze - 25 tysięcy dolarów - a też byli na trasie w Europie. Umowy szybko zostały podpisane, zorganizowaliśmy patronaty i mieliśmy też sponsorów ale w ostatniej chwili, kiedy było już za późno na inne ruchy, jedna firma napojowa - nasz główny sponsor - wycofała się. Niestety nie mieliśmy umowy, bo byliśmy na bank pewni, że oni w to wchodzą a tu w ostatniej chwili oni mówią: „nie". Uznali, że Public Enemy jest nieznanym zespołem... Więc w końcu nie było tego festiwalu, zrezygnowaliśmy z tej nazwy i zrobiliśmy inny koncert polskich wykonawców, był m. in. Peja, WNB i przyszło ponad tysiąc osób.
Aż tak dużą jest publiczność w Kaliszu?
Cała Polska widzi tylko kilka miast, gdzie robi się hip-hop gdy tymczasem w Kaliszu dużo się dzieje. Jest wiele zespołów hiphopowych, które reprezentują bardzo wysoki poziom, na pewno wyższy niż płyta EK, która była pomyłką. Nawet mam w planach wydać taką składankę podziemnych składów z okolicznymi raperami i zrobić jakiś teledysk promomix. Zbieram sobie materiał.
Jesteś lokalnym kaliskim patriotą?
Ja się czuję obywatelem świata. Nigdy nie mówię, że reprezentuje Kalisz czy nawet Polskę. Nazwa Elita Kaliska to nazwa ironiczna (śmiech).
Słyszałam, że pomagaliście Owsiakowi zorganizować Wielką Orkiestrę w Kaliszu?
Tak, sprowadziliśmy Diasporę...
Tak dla odmiany (śmiech)...
Są dobrze przyjmowani! Jako jedyni zagrali na prawdę dla Owsiaka, nie wzięli nic, w przeciwieństwie do Stachursky'ego na przykład, który wziął 150 baniek. Diaspora była świetnie odebrana i ludzie szukali w sklepach ich płyt po koncercie... chyba weźmiemy ich dystrybucję na Polskę.
Grywasz obecnie koncerty?
Teraz nie, bo nie chcę już promować płyty EK, a swojej wciąż nie skończyłem, więc jeśli już coś się zdarza, to spontanicznie.
Freestylujesz?
Raczej nie, to zależy... układam teksty w ten sposób. Włączam muzykę, biorę sobie dyktafon i freestyluję a potem sobie z tego układam jakiś tekst. Ale nie robię tego publicznie, choć jak jestem zmelanżowany to się zdarza, szczególnie jak zapomnę słów kawałka(śmiech).
Tak ostro melanżujesz?
Tak, jestem alkoholikiem i narkomanem (śmiech).
A jak ma się do tego projekt festiwalu „Rap Odwyk"?
Przyznaję - ta nazwa to walek dla miasta, a właściwie tzw. marketing, żeby miasto mi pozwoliło zrobić festiwal. Kiedy zapytali mnie w wydziale kultury czy Krawczyk to też hip-hop, stwierdziłem, że ich wiedza o rapie jest ogromna... i powiedziałem im, że hip-hop jest kulturą przeciwną narkotykom i alkoholowi (śmiech).
Jak to się stało, że nagrywasz płytę do książki „Poszukiwacze Opowieści"?
Znamy się już długo z Dawidem Konraga, bo to jest w ogóle ex raper. Napisał niedawno książkę, która jest opowieścią o ludziach słuchających hip-hopu - jest tam chyba cała polska scena wymieniona z nazw.
Tylko dlaczego główny bohater nazywa się Gorzki?
No nie wiem, może dlatego, że długo się znamy i dużo o mnie wie. Tam jest dużo moich wątków biograficznych... Do limitowanej serii tej książki będzie dodana płyta, na której będzie jeden 15-minutowy kawałek: rap z recytacją i podśpiewywaniem - będę czytał fragment książki. Ja różne dziwne rzeczy robię - na pewno niewiele osób wie, że jeździłem po całej Polsce i freestylowałem do drum'n'bassów Kraffa. Dzięki temu poznałem w Kołobrzegu chłopaków z Room Pipe Studio, którzy robili wizualizację na tej imprezie, a dziś robią mi zajebiste klipy, zresztą nie tylko mi. Można je obejrzeć na www.roompipe.com - jest tam także nasz nigdzie nie publikowany klip do „Kazania" z warszawskim raperem BRZ.
Jak posuwają się prace nad musicalem hiphopowym?
Zaczęło się od animowanego teledysku, który chłopaki zrobili do strasznie komercyjnego (śmiech) kawałka „Tolerancja" z gościnnym udziałem Lewej. To była taka wycinanka, dwuwymiarowa animacja w stylu Monty Pythona. Wpadliśmy na pomysł, żeby zrobić w ten sposób animowany międzynarodowy film o hip-hopie, cały wycinany. To jest prosta technika - z pomocą kilku zdjęć twarzy można ożywić bohatera. Ale scenariusza jeszcze nie ma choć pracujemy nad nim...
Ty widzę utalentowany jesteś...
Bardzo! (śmiech) Ja po prostu nie boję się wyzwań.

.:Rozmawiała: Fala:.

Krótka historia (6) winyli hip-hopowych

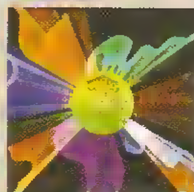
Druga połowa lat 80-tych to okres wielkich zmian. Odchodzą ostatni pionierzy rapu, ostatecznie wyparci przez nowągenerację. Miejsce automatów perkusyjnych na dobre już zajmują samplery. Ale filozofia jeszcze się tak bardzo nie zmieniła - muza jest ciągle pełna radości, taneczna, pełna znanych i rozpoznawalnych sampli i skreczy, choć i to ma się wkrótce zmienić (m.in. za sprawą procesów wytoczonych Biz Markiemu, Rob Base'owi, De La Soul czy Beastie Boys, że wymienię tylko te najgłośniejsze). Nie każdemu jednak dane było znaleźć się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie...



Spoonie Gee to jeden z autentycznych pionierów rapu. Podobnie jak m.in. Grandmaster Flash zadebiutował w Enjoy Records (gdzie nagrał m.in. kultowy „Love Rap" i „New Rap Language" z Treacherous 3) po czym przeniósł się do najpierw do Sugarhill Records (m.in. „Monster Jam"), a po kilku latach do Tuff City. Tam wypuścił serię singli, ale w światła jupiterów powrócił dopiero w 1987r. singlem „The Godfather", wyprodukowanym przez Marley Marla. Kilka miesięcy później ukazał się album „The Godfather Of Rap", na którym produkcją podzielili się Marley Marl i Teddy Riley, ale sukcesu singla już nie powtórzył. Podjął pracę w ośrodku rehabilitacyjnym dla niepełnosprawnych, i od tej pory już o nim nie słyszałem...



Busy Bee to kolejna legenda hip hopu, która na krótko zaznała sławy właśnie w 1987/88r. Wcześniej nagrał kilka singli, m.in. dla Sugarhill Records („Making Cash Money"), wystąpił w filmie „Wild Style", a w 1986r. wygrał nawet New Music Seminar w kategorii MC. Następnie związał się ze Strong City, wytwórnią Jazzy Jay'a, gdzie w 1987r. wydał „Suicide", a rok później „Running Thangs" i album pod tym samym tytułem. Dobre produkcje Jazzy Jay'a, dużo skreczy i sampli, ale niestety właśnie następowała zmiana pokoleniowa, i Busy Bee zniknął ze sceny. Chociaż... kilka miesięcy temu nagle pojawił się z singlem w (należącej chyba do 45 Kinga?) wytwórni Blazin' Records, więc może jeszcze się do końca nie poddał?



Three Times Dope (wcześniej **3-D**) to podobnie jak np. Tuff Crew jedna z tych kultowych grup, które nigdy szerzej nie „zaistniały". Pochodzą z Filadelfii (wraz ze Steady'm B i Cool C tworzyli tzw. Hilltop Posse). Zadebiutowali w 1987r. singlem „Crushin' & Bussin'", choć chwilową sławę (a i to bardziej w UK niż USA) przyniósł im dopiero wydany rok później trzeci singiel, „Greatest Man Alive", a potwierdził debiutancki album „Original Styling" (w sumie wydali 3 albumy). Świetna muza (Chuck Nice), doskonały flow (E.S.T.), mistrzowskie sample i skrecze (DJ Woody Wood), i... pech, bo mimo iż w niczym im nie ustępowali, pozostali na zawsze w cieniu swoich ziomów Jazzy Jeffa i Fresh Prince'a czy Cash Money & Marvelous.



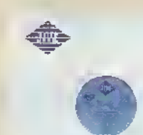
Masters Of Ceremony zadebiutowali jeszcze w 1985r., singlem „Crime". Później wydali jeszcze 5 singli (nagrywali najpierw dla Strong City, później dla 4th & Broadway), w tym w 1987r. przebojowy „Sexy", a w 1988r. album „Dynamite" (na którym poza „Crime" są wszystkie single, choć tylko w ‚zwykłych' wersjach). Byli jedną z pierwszych grup, łączących jamajski styl toastowania z rapem, singlowe wersje - zwłaszcza duby - to prawdziwe perełki, ale dziś, jeśli ktoś w ogóle o nich wie lub pamięta, to wyłącznie dlatego, że gdy grupa rozpadła się w 1988r., jeden z jej członków - Grand Puba Maxwell - wraz z dwoma kumplami założył grupę Brand Nubian (dwaj pozostali członkowie MoC to Dr. Who (zresztą kuzyn Puby) i DJ Shabazz).



Zanim wspólnie założyli **Kid-N-Play**, należeli do dwóch rywalizujących grup. Zadebiutowali w 1987r. singlem „Last Night" z chwytliwym samplem z przeboju Esther Williams „Last Night Changed It All", a w 1988r. albumem „2 Hype". Poza chwytliwą, taneczną muzą (produkował ich Hurby Love Bug Azor, który wylansował także Salt-N-Pepa i produkował m.in. dla Antoinette, Sweet Tee, Kwame, Dana Dane, Joeski Love) mocno inspirowaną rytmem go-go i z dużą ilością skreczy i sampli, Kid-N-Play będą pamiętani także za: 7 (niektóre źródła podają, że nawet 8) - calową fryzurę (high-top) Kida; mistrzowskie kroki i rutyny taneczne w wideoklipach i na żywo; filmy „House Party" (3!) oraz „Class Act"; reklamy Sprite; występy w Sesame Street; byli też pierwszą grupą rapową, która stała się bohaterem serialu rysunkowego.



Generalnie nie wracam do wykonawców, o których już wcześniej wspominałem, ale „**Paid In Full** (7 Minutes Of Madness - The Coldcut Remix)" to płyta, która na zawsze zmieniła definicję remiksu i zapoczątkowała modę na brytyjskie remiksy, która zresztą trwa po dziś dzień. Eric B & Rakim ogromnie ponoć tego remiksu nie lubili (co na upartego można zrozumieć - w pewnym sensie ich kawałek stanowi tylko kanwę, na której tle Coldcut - zainspirowany m.in. „Lekcjami" Steinskiego - osnuł misterny 7-minutowy kolaż przeróżnorodnych sampli), nie zmienia to jednak faktu, że to dzięki niemu ich wideoklip zagościł na ekranach telewizorów na całym świecie. Zresztą i Coldcut źle na tym nie wyszedł - ich Ninja Tune Records to dziś jedna z najbardziej progresywnych „stajni artystycznych" na świecie.



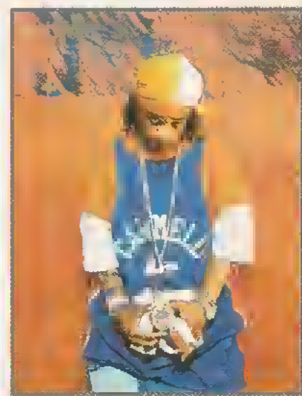
„Sorry, old timer, it's time to make way, for Lord K-Bone and his man L.A. ...". O **The Classical II** (Lord K-Bone & L.A. Brew) nie wiem praktycznie nic. Wydali dwa single, oba w Rooftop Records/Jive, a do tego pierwszy, ten „ważniejszy", wyprodukował Teddy Riley, wszystko przemawiało więc za tym, że grupa dopiero nabiera rozpędu. Tymczasem po drugim singlu (prod. B. Fats) ślad po nich zaginął. Wspominam zaś o nich dlatego, że ich debiut - „New Generation" - niejako symbolicznie przypieczętował wyparcie pionierów rapu przez nową talę - „The new style of rap's from the new generation", choć ewidentnie i po tej stronie nie obyło się bez ofiar...

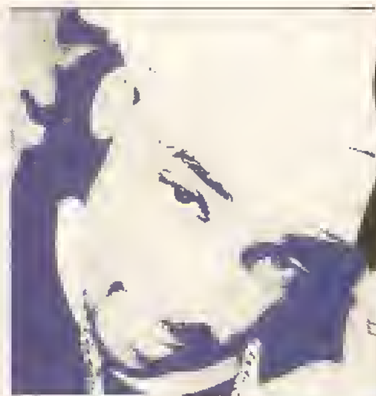


W 1989r. nie było chyba klubu, gdzie z głośników nie wymiatałby jeden z największych tanecznych (!) przebojów roku, i nie tylko, oparty na samplu z „Think" Lyn Collins „It Takes Two" duetu **Rob Base & DJ E-Z Rock**. Chwilę później ukazał się singiel z remiksami (ich autorem był brytyjczyk Derek B, którego album akurat właśnie ukazywał się w USA nakładem Profile), a kilka miesięcy później gotowy już był album, choć promujący go singiel „Joy And Pain" był już bardziej pechowy - grupa Maze uderzyła po kieszeni! Niedługo po tym E-Z Rock powędrował na zieloną trawkę, ale wydany rok później „Incredible Base" i tak osiągnął złoto.

.:Druh Sławek:.

prawa murphy'ego
MURPHY LEE









Przedstawiamy wam Murphy'ego, członka coraz to bardziej znanych podopiecznych Nelly'ego - St. Lunatics. To beztroski optymista, który bez kobiet nie wyobrażałby sobie życia i właśnie wydał album, żeby wam to obwieścić. Lekkostrawna, słoneczna porcja muzyki z pewnością umili wam jesienny bezruch, singiel skłoni by „trząść piórem ogonowym" (wiwat dosłowne tłumaczenia), a zmęczeni będzie mogli zasiąść w jacuzzi i poczytać, co też z junior z nie tak znowuż brudnego południa ma wam do powiedzenia.

Murphy's Law to solówka, co z Saint Lunatics?
Wszystko w porządku, nagrywamy płytę w styczniu. Właściwie Murphy's Law to po prostu jeden z projektów grupy, więc cały czas trzymamy rękę na pulsie

Wszyscy są z Saint Louis, ty też, zgadza się?
Jasne! Dokładnie tak.

Nigdy tam nie byłem, powiedz mi coś o tym miejscu.
Wiesz, to w sumie naprawdę małe miasteczko, ale dobre miejsce, zajebiście dobre miejsce, mili ludzie i świetne imprezy. Bardzo dużo imprez, zwłaszcza na olbrzymich przedmieściach. Dawno tam nie byłem, wiesz, ostatnio nie mam okazji.

Słońce świeci przez cały czas i dziewczyny są gorące?
A jakże!

„Shake ya tailfeather" to twój największy hit, a jednocześnie numer ze ścieżki dźwiękowej „Bad Boys 2". Uważasz się za złego chłopca?
Tak... Nie... Tak!... Nie!!!... Tak... Nie... (śmiech) Cóż, zawsze mogę być złym chłopcem. W końcu „Shake ya tailfeather" to nie tylko numer z filmu, ale również mój pierwszy singiel. Koniecznie sprawdźcie go na albumie.

Nauczyłeś się czegoś od Nelly'ego?
Nauczyłem się bardzo dużo, jesteśmy w jednym zespole. Przyglądam mu się w zasadzie od zawsze. Spędzaliśmy razem każdą chwilą odkąd skończyłem sześć, siedem lat. Jest dla mnie jak wujek, jak ojciec, jak brat! Dał mi niesamowicie wiele, jest nieprawdopodobny. Nie wiem w jakim punkcie byłoby moje życie, gdyby nie on.

A co sądzisz o konflikcie między nim a Krs-One'm?
Na szczęście jest dawno za nami

Przez pewien czas jednak elektryzował. Dla mnie to raczej smutny spektakl, choć KRS ma przecież olbrzymi respekt.
Zgadza się, ma olbrzymi respekt również u Nelly'ego. Moment w którym mu pojechał, był jednym z gorszych momentów jakie mu się kiedykolwiek trafiły. Wiesz czuł się jak syn, któremu ojciec powiedział coś naprawdę przykrego, niby został tylko skarcony, ale w ranięcy sposób. Dobrze, że to się skończyło.

Twój album jest dla dziewcząt i o dziewczętach. Co z kobiecym rapem.
Bardzo go lubię, jest wiele zawodniczek naprawdę dobrych w tym co robią, żeby wymienić tylko Da Brat, Eve, Lady of Rage, Foxxy Brown. Ale zdecydowanie najlepsza z nich jest Lauryn Hill.

Jesteś typem nieustannie flirtującego „gracza" czy rodzinnego człowieka?
Jestem typem lunatyka (śmiech)

Nie wymiguj się.
No dobra, raczej rodzinnego człowieka

Cholera, słuchałem twojego albumu i po prostu nie wierzę!
(śmiech) Tak, tak! To znaczy nie mam dzieci, jedynie siostrzeńców. Ale moja siostrzyczka, mój mały braciszek, moja mama i ojciec . Kyjuan, mój brat, jest razem ze mną w grupie, to fantastyczne uczucie pracować razem ze swoją rodziną.

Wielu ludzi myśli, że raperzy wiodą najwygodniejsze i najbardziej leniwe życie. Trawa, dziwki, szampan... Rzeczywiście tak jest?
Nie, jesteśmy strasznie zajęci. Ze mną jest jak z lekarzem - dwadzieścia cztery godziny na dobę pod telefonem, spędzamy niezliczoną ilość czasu na scenie. I to podróżowanie. Wiem, wszyscy lubią podróżować, ale nie kiedy jesteś w trasie koncertowej, wtedy to jedna z trudniejszych do zniesienia rzeczy. Ludziom trudno to zrozumieć. To nie jest tak, że złazisz ze sceny i szalejesz. Nie ma czegoś takiego jak wolny dzień. Twoje ciało mówi „Nie", złazisz ze sceny i idziesz spać, żeby być w stanie wejść na nią następnego dnia. Tak wygląda jedyne wolne. To naprawdę nie jest jak w telewizji.

Masz szczególnie mało czasu bo nie tylko rymujesz, ale i produkujesz.
Taaaak. Choć zostawiłem produkcję, w tej chwili możesz mnie uważać jedynie za rapera.

Ale przyznaj, na jakich trasach mimo wszystko dobrze się bawisz. Założę się...
Jasne, ludzie dbają o to bym ciągle się śmiał, miał maksimum energii. Obserwowanie ich reakcji na muzykę kiedy jest się daleko od domu, w jakiejś niekończącej się trasie będącej czystym szaleństwem jest wszystkim. Dużo obserwujesz, patrzysz jak żyje się gdzie indziej, non stop się uczysz.

Widzę, że relacje między Saint Lunatics są naprawdę dobre. Nagrałeś numer z Lil Waynem, Mannie Fresh dał ci beat na płytę.
W okolicach 1999 czy może bardziej 2000, spotykaliśmy się z ludźmi z Cash Money na koncertach. Mieliśmy okazję, żeby lepiej się poznać i parę lat, żeby wreszcie zrobić coś razem. Zresztą Lil Wayne był już na „Country grammar", tak więc... Można tu mówić o koleżeństwie.

Sleepy Brown występuje gościnnie w „Luv me baby". Jest z Dungeon Family, prawda? Miał też niemałą rolę w tworzeniu nowego lp Outkastu. Jestem ciekaw, co sądzisz o tym albumie?
Czy mogę użyć słowa „zadziwiający"?

Jasne, ten album taki właśnie jest.
Outkast towarzyszy mi od zawsze, wychowałem się na nim, w ten sam sposób zaczynałem, wielokrotnie opierałem swoje życie na tym, co panowie mają do przekazania. Mam wszystkie ich albumy, kolekcjonowałem je, człowieku, studiowałem je. To jedna z lepszych grup wszechczasów. Nie mogłem się doczekać momentu, w którym ta płyta wyjdzie.

Wolisz „The Love below" Andre, czy „Speakerboxxx" Bib Boi'a?
Andre jest szalony, jego płyta wbija Ci w fotel. Czasem powoduje, że się śmiejesz. To strasznie kreatywny człowiek. Część Big Boia jest zaś po prostu zajebista.

Jedna najważniejsza rzecz jaką ludzie powinni wiedzieć o Murphym Lee to...
Saint Lunatics, jestem najmłodszym członkiem, uczniakiem. Nie wiem...

Ostatnie pytanie. Czy wierzysz w prawa Murphy'ego?
Na swój sposób tak. Jest jedno takie, które mówi, że kiedy rzeczy idą dobrze, to idą dobrze, a kiedy idą źle, to tylko źle. Ja zwracam uwagę tylko na pierwszą część. Staram się do wszystkiego podchodzić pozytywnie. Życie może obrócić się o trzysta sześćdziesiąt stopni.

.:Txt: Flintstone (CS):.

nielegalna akcja eselgie

Jesteście świadkami wielkiego comebacku Nielegalnej Akcji. Zdążyliśmy przekopać się przez materiał i oniemieć. Nie dość, że jest tu sporo porządnych płyt, to i z dwa, trzy prawdziwe objawienia. To sprawiło, że decyzja jest tak trudna - w przyszłym numerze powinniście znaleźć rozstrzygnięcia konkursu i dowiedzieć się, które z zespołów wyróżnionych teraz i wyszczególnionych w nr 93 mogą oddać się świętowaniu.

Jako, że tym razem dużo jest ekip, które nie miały okazji trafić na łamy SLG, a nie sposób ich nie pokazać, kończymy ów wstęp. Jeżeli ktoś ma ochotę nabyć materiał od artysty, w nawiasach umieściliśmy kontakty mailowe lub telefoniczne. Warto. Naprawdę warto.

Dalsza część spisu biorących udział: Ustinstrumentalix z Łodzi, Emeste z Ząbkowic Śląskich, Elektorat i Onz z Ostrołęki, Yezyezyo z Krakowa, Fresz z Grudziądza, Absolut z Pułtuska, Na 2 majki fundacja z Kielc, PHFNG z Katowic, Aro z Dziećmorowic (nie uwzględniamy, ten pan ma legal), Eskapada z Gliwic, NTG z Żywca, EgenA z Lublińca, Globus i EMS z Wrocławia, Mroku i Skwaro z Koszalina, Defensywa z Ostrołęki, Buszmen ze Świdnicy, Hałastra z Augustowa, GMP z Brzegu Dolnego, Drim z Krakowa, Tuk z Gdyni, Enbewu z Kalisza, K1x z Łodzi, DSM z Łodzi, Ijwa Skład

Emeste - „Wszystko zależy od nastroju" (xcx@o2.pl)

Czasem zdarzają się płyty, którym da się wiele wybaczyć, gdyż mają głównego bohatera, który naprawdę zadziwia. Tak jest w tym wypadku - mówimy o płycie pozbawionej niemal mixu i masteringu, gdzie nie wszystkie podkłady spełniają oczekiwania wymagającego odbiorcy, goście budzą trwogę, a i gospodarz na bardziej skomplikowanym rytmicznie beacie umie się pogubić. Nie przeszkadza to nazwać jej naprawdę dobrą. Teraz kilka słów o tym dlaczego:

Po pierwsze, ten flow po dotarciu się ma szansę być w absolutnej polskiej czołówce, dobra technika współgra z głosem i temperamentem znakomicie. Po drugie tu emocje zapisują się na trackach i trafiają - kiedy Emeste mówi do swojego brata „Zarzekałeś się, że nie będziesz jak ojciec - owszem / U niego nie szło o pieniądze gdy żegnał się z domem/ Przeklnąłem go a Ciebie dziś przeklinam / Moim kalectwem jest wspólna hemoglobina" coś ściska człowieka głęboko w żołądku. Kiedy rymuje telefoniczny monolog wygłaszany obrażonej dziewczynie, ryczy się ze śmiechu. Przy „Ty i ja" trudno być grzecznym przy swojej kobiecie, „Z malazańskiej księgi poległych" ma z kolei całą magię gier RPG i literatury z kręgu heroic fantasy (i najlepszy beat na płycie, producent idzie tu drogą wytyczoną przez White House). Zależy na co stawiacie w hip-hopie, ja uczciwie przesłuchałem i co więcej, wracam. Płyta, po której chce się poznać Emeste osobiście.

Fresz (fresz@tenbit.pl)

„Każdy tu z nas jak Chali 2na ma styl, brzmienie tu masz jakby Numark grał nam beat" - może nie do końca, ale jest w tym ziarenko prawdy. Dobra technika, choć umówmy się... zbyt dużo porównań i flow, jakby skądś już znane. Rozbujane, pełne funku i jazzu podkłady (Oes) ze szczyptą starej szkoły, których słucha się naprawdę fajnie i które zmuszają do bujania głową. To właśnie Fresz z Grudziądza. Doświadczeni mc z 3 płytami stażu wiedzą jak mówić, i wiedzą co, są rozsądni i może powinni odstąpić od przyjemnie ciepłego, ale nie gorącego bragga, w stronę treści - mają ku temu potencjał i możliwości, warsztat jest bowiem budujący. Wielkie brawa za udaną próbę zrobienia tzw lekcji w polskich warunkach i dj'a stosunkowo dobrego (tak chłopak się nazywa), który drapie stylowo i wzbogaca album. Słychać, że panowie słuchają dobrej muzyki... I dobrą nagrywają. Przydałyby się tylko odsłuchy, pozwalające należycie ustawić poziomy głośności, bo to drobny mankament przeszkadzający w zabawie z Freszem

Enbewu - „En+" (homic@op.pl)

Bardzo starannie pomyślany album, oryginalna tematyka i dramaturgia na poprawnych, może zbyt skąpych, i przez to nudnawych, beatach (Marco). Chyba jednak miały one dokładnie tak brzmieć, warsztatowo są ok, zaś w tej oszczędności jest wysmakowanie.

Historie opowiadane płynnie choć bez specjalnej charyzmy, nautralnym, dobrym głosem mają tyle detali, i taką ilość kolorytu, że słuchacz czuje się jakby czytał czternastorozdziałową książkę. To nie jest płyta, przy której możesz robić przy okazji. Wymusza skupienie. Homic jest mistrzem ceremonii jak się patrzy - dojrzałym, ironicznym, kurewsko inteligentnym narratorem. Lata ćwiczeń, właściwa samoocena to klucz do sukcesu, który Enbewu już osiągnęło. Zespół jest z Kalisza (A jednak można...) i jedyne co mam tu do powiedzenia to: Enbewu, bierzcie ten materiał w ręce i do wytwórni!

PHFNG (501480001 - Elien)

-Duet śląskich wyjadaczy znany uważnym obserwatorom sceny z „Atomistyki" Haema, a nawet regionalnych rozgłośni i prasowych publikacji. Póki co, bez szczęścia do legalu. Reaggujące flow jest nie do podrobienia, prezentowana swoboda nie do wystudiowania, metafory zaś w dużej mierze świeże („Mój flow płynie czysto i przejrzyście / a ty ciągle kurczysz się jak ptaszek kulturyście", „Eneka, wszystkich rozpierdolę / niczym wybuch metanu górników na dole"). Repertuar to wyjątkowo rozrywkowy, oprawiony samplami przez kogoś (ten ktoś to Elien) z dobrym słuchem i miłością do wszelkich gatunków czarnej muzyki. Kogoś, kto zaprasza do współpracy żywych muzyków (nieżywych trudno zaprosić. Mniejsza o to, wiecie o co chodzi; Gościnnie pojawia się też mc z Emcefalografu). Melodyjna, przebojowa, błyskotliwa, niesłychanie sympatyczna płyta. Jeżeli do kogoś ją porównywać, to do Łony, którego nagranie pojawia się zresztą w zabawnym intro. Jednak PHFNG mniej ma w sobie goryczy. Za oknem być może hałdy, na płycie - słońce. Obowiązkowa rzecz, zróbcie wszystko by to mieć, zanim wydawcy się zreflektują

Eskapada - „Gdzieś między piekłem a niebem" (eskajurand@o2.pl)

Doskonałe pomysły, którym nadano właściwą formę - tak pokrótce o kwartecie z Gliwic, zaskakującym potężnym debiutem. Niektórym mc brakuje jeszcze wyrazistości i siły przebicia - tutaj zdecydowanie króluje obdarzony ciekawym głosem Skorup, który nawija w odmiennym stylu, z własnym poczuciem humoru, własnymi patentami intonacyjnymi i oryginalną techniką zbijania złożonych rymów. Wszyscy raperzy nie schodzą jednak poniżej wysoko postawionej poprzeczki, i wypełniają mistrzowsko zadania postawione przez koncept - a uwierzcie mało kto przyjmuję rolę akwizytorów nieba i piekła (utwór nazywa się: „Anioł do skrzypiec się giba, diabłu gitara przygrywa", to już wiele mówi o inwencji), porównuje rap scenę do karuzeli z madonnami, czy rozważa antagonizm między ciałem i duszą. Muzyka waha się między perfekcjonistycznym, harmonijnym, bogatym dziełem Króla Maciusia (Jego rap wywołuje różne opinie, jednak nie ma go tutaj, podkłady są zaś obiektywnie dobre; zaskakują słuchacza aranżacją, dodawaniem kolejnych sampli, metamorfozami.) a surowością bardzo minimalistycznego Skorupa. Najlepsze dostępne wydawnictwo z prężnej sceny gliwickiej.

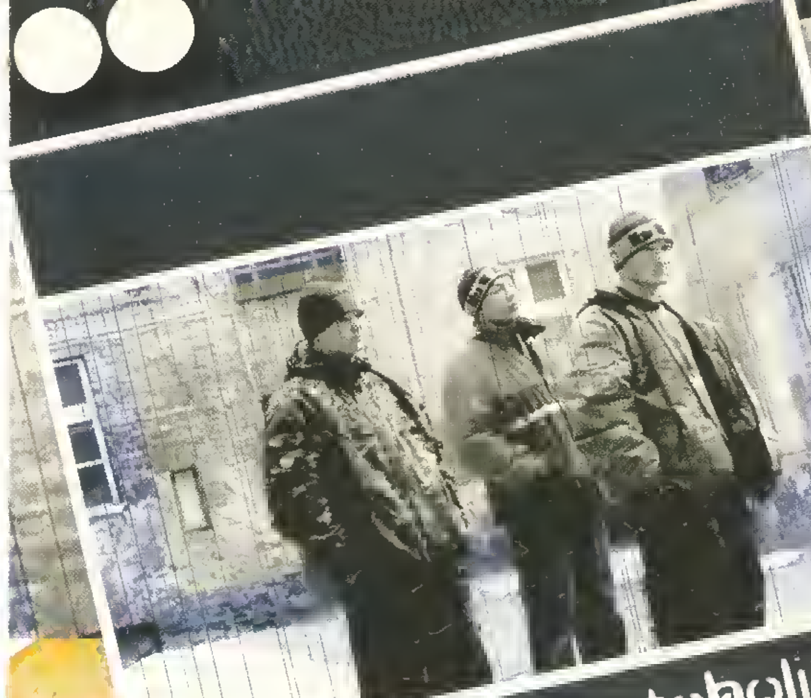
Tuk a.k.a Mr Rappido - Sztukmistrz (692132174 - Rafał)

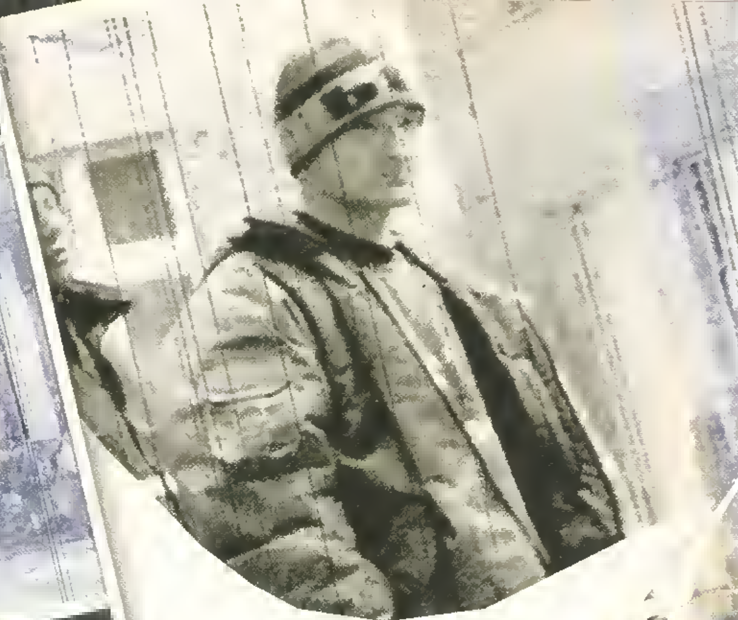
Jedno jest pewne - to jedna z płyt gdzie trudno wyrokuje się w kategoriach „dobre" i „złe". To jeden z niesamowitych albumów, których nie zapomina się do końca życia. Tuk to człowiek, którego styl przypomina wypadkową GRZ'a i Fisza - chrapliwy, niski głos jest zarazem bardzo melodyjny i beat nie trzyma w ryzach emocji w nim zawartym. Tekstowo kolejna zagadka - tu czysta poezja potrafi się mieszać z totalnym barbarzyństwem - a wersy mówiące o czarnych łzach i płaczących wierzbach czy o tym, że mc „powstał z męki ucząc się cierpienia", z wrzeszczeniem w rodzaju „Oddaj mi mój hajs skurwysynu" i „Jaka matka taka natka". Czy muzycznie można się spodziewać czegoś innego, niż taka schizofrenia? W najlepszych momentach jest porażająco i skojarzenia idą w stronę Company Flow, można też spotkać bardziej klasyczne i harmonijne rzeczy, uzupełnione skreczami. Nie każdy ma ochotę na podróż w inny wymiar, to wstrząsający przekrój przez człowieka - w końcu w każdym z nas jest szczypta poety, przestępcy, ćpuna i kochanka. Przy czym rzadko kiedy tak awangardowe płyty są tak umiejętnie zrobione.

***

Są też projekty, którym jeszcze trochę brakuje do tych wyżej wymienionych, ale mają coś w sobie. Elektorat i Onz (Ostrołęka) to oklepane w hardcorze teksty, ale słychać pracę nad flow i głosami, pomysły na beaty (choćby dobra, szarżująca wiolonczela wysamplowana w „...") i godziny spędzone nad realizacją. Globus i Ems (Wrocław) ostatnio przysłali nam nie ten materiał, który trzeba. Teraz jest lepiej - EMS'owi brakuje wyczucia, jest nierówny, czasem łapie jednak w swojej muzie należytą nowojorską wibrację. Głos Globusa jest jak sam przyznaje, „nośny". Ma dużą moc i z miejsca kieruje uwagę na teksty, gdzie sporo jest jeszcze ogólników i chaosu. Mroku i Skwaro przysłali nam materiał sygnowany „2 osoby". Bardzo surowy rap, ale podpatrujący czasem rzeczy, które innym umknęły w plastyczny, przekonujący sposób. Inspiracja Sokołem, bardzo łatwa do wyłapania (a „Wierzmy w to" to naprawdę „Damy radę" część druga), stała się podstawą do czegoś własnego i wcale nie tak naiwnego jak początkowo mogłoby się wydawać. Podśpiewane refreny, rzetelne, melodyjne, płynące beaty i dobra realizacja. Łódzki Ustinstrumentalix mówi o muzycznych inspiracjach J5 i całym Quannum, jeżeli przejdą one na warstwę tekstową - będzie dobrze.

.:txt: Flintstone:.


Ascetoholix
Apogeum





Wiiitamyyy!

Jesień w natarciu... słońca mało, ciągle zimno i szaro, nic się nie chce, a jednak filmowcy działają! Bardzo dobrze, bo ruchome obrazki i muzyka to to, co ludzie i czerwone mrówki lubią najbardziej...

Słów parę na początek...

A jednak ktoś nas czyta! Nasz ostatni artykuł wzbudził trochę emocji i to jest powód do radości. Cieszymy się również z odzewu na stronach internetowych. Zarzucono nam, że nasza „...nędzna krytyka zajmuje 30-40% artykułu, a reszta to nikomu nie potrzebny poradnik młodego reżysera...". Owszem jest to częściowo „poradnik młodego reżysera", bo pojawiło się wiele głosów: jak to się robi, jak zacząć... W dzisiejszych czasach kamerę dv i program do montażu może mieć każdy. Coraz więcej osób próbuje robić klipy samemu w domu, z jakim skutkiem sami widzicie.

My drodzy czytelnicy nie uważamy się za nikogo więcej niż jesteśmy. Robimy teledyski pod logo RED ANT od dwóch lat i nie jest to nasze jedyne zajęcie. Podchodzimy jednak do sprawy bardzo poważnie. Z każdej produkcji czerpiemy nauki, poparte wnioskami z ławy szkoły filmowej. To, co piszemy, nie służy popisywaniu się. Nie opisujemy swoich klipów jak zauważyliście, wybieramy do opisu produkcje wyrastające ponad przeciętną. W każdej z nich jest to „coś". To, co piszemy wynika z emocji, które temu towarzyszą - chyba po to między innymi robicie te klipy, żeby wywoływać emocje?

Najtrudniej znaleźć dystans do swoich wysiłków i ocenić ich jakość. Zdajemy sobie z tego sprawę i dlatego piszemy artykuły, w których nie ma zawiści. Nie znamy Was i nie będziemy się nikomu podlizywać. Sami mamy za sobą klipy nakręcone na dwóch rolkach 16-tki w ciągu jednego dnia i ani jednego dubla do dyspozycji, co z pewnością zaważyło na jakości. I to jest nauka!

No to lecimy!

600V feat. Pokahontaz „Ideału potęga"

No i proszę, po raz kolejny 600V znalazł się w naszej rubryce za sprawą nowego animowanego teledysku. Ten rodzaj animacji 3D nie jest najświeższy (pamiętacie Dire Straits „Money for nothing"?), ale w Polsce jest nowością. Klip ukazuje skorumpowane państwo policyjne wspomagane przez konfidentów. Pomysł dobry. I jakże na czasie… cały syf życia. Koniecznie oglądajcie uważnie, by nie umknęły Wam detale, ponieważ jest kilka nieczytelnych momentów - to drobiazgi, ale ważne. Wspaniale, że powstał taki klip, właściwie jest kwintesencją naszych wcześniejszych wywodów, wbrew pozorom nawet w kwestii aktorskiej. Autorzy porzucili tautologię, chwała im za to! Figury, którymi się posłużyli, są prawdziwsze niż niejeden polski aktor. Treść przekazana tym klipem jest wynikiem zależności między słowem i obrazem - zależności, o której powinni marzyć wszyscy twórcy klipów.

Co na minus naszym zdaniem? Przede wszystkim wstawki zdjęciowe realnych postaci, które niestety trzeba nazwać żałosnymi. Tak się niszczy klimat klipu. Jeżeli takie wstawki koniecznie chcecie dodać, to wykonajcie je w klimacie. Rodzajem oświetlenia można nawiązać do scen animowanych, co zjednoczy plastykę klipu. Wyobraźcie sobie, że twarze DJ 600V i Rahima są tak oświetlone, że w pierwszym momencie nie kojarzymy ich z realnymi postaciami. Innym sposobem może być stworzenie scenografii będącej kontynuacją animacji. Efekt w takim wypadku jest nieporównanie lepszy. Montaż mógłby również być lepszy, mamy tu na myśli jego rytm. Mimo tych uwag jesteśmy pod dużym wrażeniem ideału potęgi.

Teraz teledysk „Rejs 2003\.

Tak opisana taśma wpadła nam w ręce, nic więcej się nie dowiemy, a szkoda. Wrocławska grupa, to wiemy z obrazów, poszła tropem zachodnich, popowych klipów. Można by się czepiać, że to trochę za długie, za nudne, ale nie ma co ściemniać - efekty są zawodowe. Kolory, plastyka, kompozycja kadru przez większość czasu pozostają bez zarzutu i te zdjęcia pamiętamy. Pojawia się kilka ujęć wykonanych jakby inną ręką, zaniedbane światło przykuwa uwagę, pod koniec klipu wyczerpały się pomysły i całość staje się monotonna. Fajnie została zachwiana granica wirtualnej scenografii i rzeczywistości. Głębia ostrości została zaprzęgnięta do kamuflażu niedoskonałości efektów specjalnych. Gratulacje. O muzyce nie napiszemy nic.

Mieliśmy dylemat, które klipy opisać i to nie z powodu ich ogromnej ilości, ale z powodu klasyfikacji. Nadeszły bowiem do nas klipy nie do końca hip-hopowe. Coraz więcej raperów łączy swoje produkcje z popowymi gwiazdami i nie wiemy do końca jak się do tego odnieść. Czy można porównywać klipy, do których zaangażowano środki jeszcze niedostępne dla produkcji typowo hip-hopowych? Miejmy nadzieję, że niedługo nie będziemy mieli tego dylematu…

PS. Piszcie do nas na mail redakcji z dopiskiem RED ANT.

.:Postrufki. RED ANT:.



Pewien facet i jego zespół

Limp Bizkit to zespół, w którym gra pięć osób. Na początku były cztery, ale po dwóch latach doszła piąta. Kilka miesięcy temu znów był to skład czteroosobowy, ale od kwietnia znów jest ich pięciu. Nie zmienia to faktu, że i tak wszystkim ten zespół kojarzy się z jedną osobą - Fredem Durstem, który w akcie urodzenia wpisane ma William Frederick Durst. Ponieważ te kilka słów będzie głównie o nim, dopiszmy, że powód wystawienia aktu urodzenia miał miejsce 20 sierpnia 1971 roku. Może komuś ta informacja się przyda?

Idol nieźle popieprzony

Limp Bizkit powstał dziewięć lat temu, czego nie da się nie zauważyć, bo niemal od samego początku zespół odnosi sukcesy. Pięć albumów (w tym jeden z remiksami) sprzedanych na całym świecie w ponad 30 milionach egzemplarzy. Nominacje do różnych Grammy i innych takich. Miliony fanów i miliony ludzi, którzy otwarcie deklarują, że nienawidzą Dursta. Jak bardzo? Jak tylko się da. Dlaczego? Bo - jak sam przyznaje - jest nieźle popieprzony. Ale ludzie nie przepadają za popieprzonymi, którym udało się odnieść sukces. Albo też uwielbiają ich.

***

Koncert trwa już jakieś pół godziny. W tym czasie Durst ze dwa razy o mało nie dostał butelką w głowę, a gdy podszedł zbyt bliko do swoich fanów, kilku dowcipnych złapało go za nogi i usiłowało ściągnąć buty. „Pieprzę was, weźcie sobie moje pieprzone sznurówki" - i tyle go widzieli. Konsternacja, bo nie wiadomo, czy faktycznie się obraził, czy też może po prostu zniknął sobie na chwilę za sceną. Zniknięcie przedłuża się, w końcu Durts pojawia się na scenie, a towarzyszą temu zarówno okłaski, jak i gwizdy. Nie ma kolejnej piosenki, za to Fred postanawia nawiązać werbalny kontrakt z publicznością. On krzyczy hasło, oni powtarzają. Kilka niewinnych tematów, nagle Durst krzyczy: „Fuck Limp Bizkit!", publiczność zgodnie odpowiada: „Fuck Limp Bizkit!", na co Durst ryczy: „Fuck you!"... I znowu znika. I znowu nie ma go przez dłuższą chwilę. W końcu pojawia się, zeskakuje ze sceny, włazi na płot, rozkłada ręce - w jego stronę lecą butelki, kubki, koszulki. Polowanie na Freda Dursta. Żadna nie trafia, nasz bohater jest zadowolony. Sprowokował, udało się. Po chwili koncert trwa dalej...

***

Wojsko, pierdziel, tatuaże

Jakieś dziesięć lat temu, gdy miał 22 lata, Durst zrozumiał, że jak dotąd to w życiu specjalnie wiele nie osiągnął. W szkole nie miał żadnych wyników, ale ponieważ był wygadany i bezczelny, nauczyciele przepuszczali go z klasy do klasy, by jak najszybciej stracić z nim kontakt. Z ojcem, który był policjantem, kontaktów nie utrzymywał, ojczyma nie lubił, z matką non stop się kłócił. Właściwie jedynym sukcesem był sponsoring, który złapał jako deskorolkowiec, bo dzięki temu miał trochę ciuchów i znalazł pracę w skejtparku. Tańczył trochę breaka, bawił się w beatbox, pisał jakieś rymy, próbował rapować, chodził na koncerty hardkorowych bandów. Nic z tego jednak nie wynikało. Poszedł do wojska, ale marynarce wytrzymał tylko kilka miesięcy.

No to spróbować się zakochać. Już w wieku 20 lat był zaobrączkowany, urodziła mu się córka, Adriana. Okazało się jednak, że żonka ma romansik. Zanim Fred wniósł o rozwód, zdążył nieco potatygować fizycznie żonę i jej gacha, za co trafił na miesiąc do pierdla. Po wyjściu zrozumiał, że coś trzeba w końcu ze sobą zrobić...

Urodził się w Gastonii, w Północnej Karolinie, ale życie rodzinne (żona, córka) przytrafiło mu się w San Francisco. Po rozwodzie postanowił wrócić do Gastonii, ale posiedział tam tylko kilka tygodni i obrał kierunek na Florydę. Miał jakiś talent plastyczny, więc dorywczo projektował ludziom reklamy i inne pierdoły, aż pewnego dnia zdecydował, że będzie robić tatuaże. Jak się później okazało, był to jeden z pierwszych w miarę rozsądnych kroków w jego życiu.

Cały czas główną pasją Freda była muzyka. Jego eklektyczny gust odbierał właściwie każdy rodzaj muzyki, ale najwięcej czasu poświęcał hip-hopowi i mocnej muzyce gitarowej. Do dziś jako swoich największych mistrzów wymienia Erika B. i Rakima oraz Suicidal Tendencies, obydwa zespoły zwłaszcza z ich wczesnego okresu działalności. Czasami jest tak, że od słuchania przechodzi się do robienia muzyki. Tak było z Fredem. W 1994 postanowił, że muzyką zajmie się bardziej aktywnie. Pomóc miały mu w tym następujące osoby: gitarzysta Wes Borland, basista Sam Rivers i John Otto, który lubił sobie czasem pograć na bębnach. Ten skład zbierał się przez chwilę, ale w końcu wszyscy za namową Freda spotkali się w jednym miejscu i doszli do wniosku, że są gotowi do rzucenia wyzwania muzycznemu biznesowi.

Najpierw był chaos i próba ustalenia muzycznego kierunku. Ponieważ jednak lider, czyli Fred oczywiście, nie potrafił się zdeklarować, zespół zdecydował się na eklektyczną fuzję wszystkiego, co wokół najlepsze. Na razie jednak nie było mowy o tym, żeby żyć z grania, w związku z czym każdy z chłopaków robił swoje. Fred wciąż robił tatuaże, a ponieważ wrzucał je na skórę między innymi muzyków zespołu Korn, to postanowił im podrzucić nagraną demówkę Limp Bizkit, bo właśnie tak zespół postanowił się ochrzcić. Na Kornach materiał zrobił dobre wrażenie, puścili go w obieg. Do Dursta zaczęli dzwonić rozmaici menedżerowie, szefowie wytwórni nagraniowych, promotorzy koncertowi. Jeden z nich zaproponował supportowanie rapowego bandu House Of Pain podczas ich tournee w 1996. Trasa okazała się sukcesem, a przy okazji udało się pozyskać jeszcze jednego zawodnika do składu. Leor Dimant, znany lepiej jako DJ Leathal, producent i didżej House Of Pain, po rozpadzie słynnego tria postanowił związać się z Limpami. Przyszedł więc czas na płytę.

Milion na wejście, a potem przywileje

Od tego momentu zaczyna się historia sukcesu. Durts już nie musiał tatuować (choć dziś powtarza, że jego największym obecnie marzeniem jest otworzenie salonu tatuażu w jakimś spokojnym amerykańskim miasteczku), reszta muzyków nie musiała się chwytać zajęć zastępczych. Wydany w 1997 debiutancki Three Dollar Bill, Y'all$ szybko osiągnął status platyny (w Stanach to 1.000.000 egzemplarzy), a wybuchowa mieszanka rocka, samplerów i pogiętego raz rapu, a raz skowytu Dursta zjednała LB sporą grupkę fanów, nie tylko zresztą za Oceanem. Uznanie przyszło również ze ze strony branży - Limp Bizkit mogli pochwalić się znajomościami i wśród rockerów (gościnne występy Dursta na płytach Korna i projektu Maxa Cavalery, eks-Sepultura, Soulfly), i wśród raperów. Z tymi ostatnimi zresztą przygody były różne. Na wydanej w 1999 roku multiplatynowej płycie Significant Other znajdziemy produkcję DJ Premiera z Gangstarr, a w jednym kawałku (i teledysku zresztą też) Durts dokazuje wspólnie z Method Manem. To pozytywy. Burzliwie za to wyglądała przyjaźń wokalisty LB z Eminemem. Najpierw dobrze skolegowani, pokłócili się, gdy Fred odmówił występu w disowym kawałku na Everlasta. „Powiedziałem Emowi, że nie wypada, bym występował przeciw Everlastowi, gdy w moim zespole gra DJ Leathal. A Eminem to wariat, wystarczy jedno słowo, nawet rozsądne, i od razu jest wojna. To było tak: A, nie nagrasz ze mną!? To pieprzyć Freda Dursla. Ale ja i tak uwielbiam tego gościa, jest niezwykle emocjonalny, wszystko robi pod wpływem uczuć, dlatego jego muzyka jest tak dobra" - opowiada Fred.

Kłótnia z Emem to jednak epizod, który w żaden sposób nie wpłynął na coraz większe sukcesy LB. Significant Other zadebiutował od razu na pierwszej pozycji w amerykańskich listach sprzedaży płyt, a w samych Stanach sprzedał się do tej pory w ponad 7,5-milionowym nakładzie. „Nookie", „Break Stuff" czy „N 2 Gether Now" na listach przebojów plasowały się odpowiednio wysoko. Posypały się przeróżne nominacje, a także propozycje. Skwapliwie korzystał z nich Durst, który w strukturach wytwórni Interscope Records dochrapał się dyrektorskiej posady i odpowiedzialny był za wyszukiwanie oraz weryfikację talentów wśród młodych alternatywnych bandów. Gwiazdorstwo? Gdzie tam - prasa niby zawsze mogła liczyć na członków zespołu, ale różnie bywało z przewidywaniem ich zachowań. A to Durst, a to szalony gitarzysta Wes Borland kłócili się z dziennikarzami, wzajemnie z nimi obrażali, prowokowali. Szczególnie Fred lubił sobie poprowokować podczas koncertów - obrażał publiczność, ona obrażała jego, skakał po głośnikach. Nie, no wariat... W końcu doszło do jednego koncertu w Chicago, na wspólnej trasie z Metalliką, podczas którego kilkadziesiąt identycznie ubranych osób tak skutecznie wkurzało i zagłuszało występ LB, że ten zakończył się przed czasem. Tylko że tak naprawdę ten zespół właśnie to lubi najbardziej. Szum wokół siebie, prowokację, dziwne zachowania. Za tym wszystkim szedł jednak ciągły progres muzyczny. Zespół coraz lepiej zgłębiał tajniki muzycznego crossoveru, coraz bardziej uwydatniając swój styl, a za nowymi pomysłami szły coraz większe umiejętności. Trudno bowiem nie docenić oryginalnej pulsacji basu Riversa czy tego, co ze swoją siedmiostrunową gitarą wyprawiał Borland. Również Durst powoli uczył się śpiewać, bo co tu dużo ukrywać - początki miał takie sobie...

Jeżeli ktoś miał jeszcze wątpliwości, rozwiał je album o dość popieprzonej nazwie - Chocolate Starfish And The Hot Dog Flavored Water. Do jego nagrania LB podchodzili z pozycji zespołu z najwyższej półki, oczekiwania więc były spore. Do zadania podeszli na luzie, nagrywając płytę przemyślaną, jednocześnie jednak pełną luzu, ze sporą dawką humoru, choć i momentami niezłej technicznej gry, znamionującej naprawdę wysokie umiejętności muzyków. Limpy znali już smak dobrze sprzedanych płyt, ale rekordowy wynik sprzedaży z pierwszego tygodnia zaskoczył wszystkich - ponad milion egzemplarzy na wejściel Rozbijającymi listy przebojów hiciorami z tej płyty były „Rollin'" i „My Generation", choć największym przebojem LB z tamtego okresu był bez wątpienia genialny motyw do filmu „Mission Impossible II", „Take A Look Around", który podbił listy przebojów po obu stronach Oceanu.

***

„Zawsze chciałem, żeby to był show dużego kalibru" - mówi o koncertach Durst. I trzeba przyznać, że swoją zachciankę realizuje konsekwentnie. Scenografia lansowana przez LB może nie szokuje, ale charakterystyczne elementy, jak choćby podświetlone olbrzymie suwaki equalizera robią wrażenie. No i pirotechnika – sporo dymu, wybuchów, sztucznych ogni. Wszystko wyreżyserowane z najdrobniejszymi detalami, co najlepiej widać i słychać podczas końcówki koncertowej wersji „Take A Look Around": sztuczne ognie i głośne wybuchy idealnie pokrywają się z głównym motywem melodycznym kawałka. To robi wrażenie.

***

Zrób coś dla Britney...

Udało im się. Płyty się sprzedawały, podobnie jak wejściówki na koncerty, media zabiegały o ich względy, małolatki piszczały, a ziomale prężyli torsy. Durst był w centrum zamieszania, co najwyraźniej sprawia mu wielką frajdę. Nominacje, skandaliki, romanse, z których najgłośniejszy to chyba ten z Britney Spears, o którym wszyscy wiedzą wszystko, choć tak naprawdę nikt nie wie nic. Sam Durst chętnie jednak mówi o spotkaniu z pop-gwiazdką: „Zadzwonili do mnie z jej menedżmentu i zapytali, czy nie napisałbym dla niej jakichś kawałków. A czemu nie, pomyślałem, i coś tam skomponowałem. Spotkaliśmy się w studiu, ona próbowała coś zaśpiewać, a ja po prostu powiedziałem jej, że jest sympatyczną osobą, ma swój styl, więc niech lepiej nie próbuje dalej śpiewać moich kawałków. Była zdziwiona, bo dookoła niej wszyscy raczej skaczą, a nie mówią jej prawdę prosto z mostu, ale chyba jej się to podobało. No i wyszliśmy ze studia, pojechaliśmy do niej na kolację...". Więcej nie mówi, uśmiecha się tylko.

Patrząc na sytuację, to chyba lepiej być nie mogło i wszystko wskazywało na to, że spokojnie można oczekiwać na nowe płyty i wydarzenia związane z LB. W 2001 ukazał się świetny składak z remiksami, New Old Songs, na którym zespół oddał swe kawałki w ręce m.in. Neptunesów, Timbalanda, P.Diddy'ego, Dub Pistols, Butcha Viga i Premiera. Po tej płycie nie brakowało opinii, że to... najlepszy album LB. Na pewno trzeba przyznać, że szlif wymienionych producentów nadał znanym już utworom zupełnie nowy wymiar. Na nowy wymiar swojego grania zdecydował się również Wes Borland, który zdecydował się wydać płytę ze swoim projektem Big Dumb Face. Duke Lion Fights The Terror wielkiego sukcesu nie odniosła, a lubiący ekscentryczne przebiórki gitarzysta LB niczego specjalnego na niej nie zaprezentował. Nic jednak nie wskazywało na to, że...

...Borland opuści swój macierzysty zespół. A jednak. Gdy Limp Bizkit pracował nad czwartym albumem studyjnym, Borland powiedział kolegom, że nie ma ochoty już z nimi pracować. „Byłem zaszokowany, jakiś czas dochodziłem do siebie. Wes często mówił, że nie lubi tej naszej hip-hopowej otoczki, że interesuje go granie czystego rocka, że męczy go grany przez nas crossover, ale myśleliśmy, że to tylko słowa. On faktycznie nie przepadał za niektórymi klimatami, ale był cząstką Limp Bizkit, która nadawała jej klimat" - opowiada Durst. Przez jakiś czas LB pracowali nad materiałem bez gitarzysty, raz na jakiś czas zapraszając kolejnych muzyków na próby i uważnie im się przysłuchując. Zwykle było tak, że już po pierwszym razie dziękowano delikwentowi.

Agent Smith

W końcu na jam zaproszony został Mike Smith, młody gitarzysta występujący w zespole Snot. Minął tydzień, minął drugi... „Minęły jakieś dwa tygodnie i Mike po prostu z nami został..." - mówi Durst. „Cóż, minęło dziewięć tygodni..." - z uśmiechem mówi Smith. „To było dziewięć tygodni? No, tak dobrze nam się grało, że nawet nie zauważyłem..." - Fred również się uśmiecha. Uśmiechy uśmiechami, ale jeżeli ktoś myślał, że LB bez Borlanda nie da rady, to... Results May Vary to płyta, która bez wątpienia udowadnia trzy rzeczy: Mike Smith to świetny gitarzysta; styl Limp Bizkit wciąż się rozwija, a Durst i spółka nie boją się eksperymentów; paradoksalnie, bez miłośnika ciężkiego grania, Borlanda, LB nagrali jak dotychczas najcięższą, najbardziej rockową płytę. Ciekawe, co na to eks-gitarzysta?

W każdym razie media bardzo różnie odniosły się do albumu. Nie brakuje recenzji bardzo dobrych, ale pojawiły się też głosy, że bardzo duże zróżnicowanie materiału jest próbą kokietowania różnej publiczności. Pisząc wprost, Dursta i spółkę oskarża się o to, że chcieli zrobić dobrze wszystkim... „Nie interesują mnie takie opinie, bo wiem, że tak nie jest. Nagrywam zawsze taką muzykę, jaka jest we mnie w danym momencie. To nie jest granie pod ludzi, to jest granie tego, co muszę zagrać. Podczas sesji nagraniowej tej płyty powstało mnóstwo kawałków, długo siedziałem i zastanawiałem się, które z nich powinny trafić na album. Wszystkie kawałki były świetne, ale na płytę trafiły moim zdaniem najlepsze. I jedynym kryterium był mój gust i nastrój, a nie schlebianie publiczności" - mówiąc to Durst był wyraźnie wkurzony.

Opinie mediów są bardzo ważne, ale najważniejsza jest weryfikacja odbiorców. A Results May Vary to... kolejny sukces LB.

***

Znów sukces, znów... E, nudne już to pisanie o sukcesach Freda Dursta i jego zespołu. To może na koniec jeszcze kilka świeżych informacji o głównym bohaterze? Durst kręci właśnie swój pierwszy film (do tej pory spod jego ręki wyszła większość teledysków LB), podobno związał się z Halle Berry, która wystąpi w tym filmie i pracuje nad albumem z muzyką inspirowaną popem lat 80. (autentycznie!). I to by było na tyle.

.:Kowal:.

Wszystkie wypowiedzi Freda Dursta i Mike Smitha pochodzą z konferencji prasowej, która odbyła się 6 września w londyńskim „Metropolitan Hotel".

PŁYTY MIESIĄCA



WŁODI
JAK NOWONARODZONY
POMATON EMI

Trochę czekaliśmy na tę płytę. Jej premiera odkładała się w czasie i odkładała, ale w końcu Pawłowi udało się puścić ten materiał do ludzi. I dobrze, że tak się stało. Włodi jest raperem, którego jedna cecha zawsze robiła na mnie niezwykle dobre wrażenie - odzywa się tylko wtedy, kiedy ma coś do powiedzenia. I jest w tym konsekwentny. Wszyscy znamy płyty Molesty, o których różne krążą opinie, co nie zmienia faktu, że każda z tych pozycji zmieniała scenę, że każdy z nich jest już klasyką. Na tych płytach każdy z chłopaków zmieniał się, zmieniają się zresztą do dziś, choć perspektywa nowego albumu Ewenementu jest dość odległa. Zmienia się oczywiście również Włodi.

Wydoroślał, założył rodzinę, spoważniał. Ta płyta ma dla mnie przekaz, który zapisałbym takim zdaniem: „Żyj będąc tego w pełni świadomym, szanuj siebie, innych, nie bój się walnąć pięścią w stół, ale nie przeginaj z tym".

Włodi nie bawi się w wyszukane melodeklamacje, nie czaruje technicznymi sztuczkami w składaniu słów; mówi prosto, wyraźnie akcentuje, słychać, że wynosi puentę ponad rym za wszelką cenę, choć jego rymom nie można zarzucić, że się nie składają. To dobre rymy, po prostu.

Dobre rymy i ciekawe historie. Włodi rozbiera rzeczywistość na czynniki pierwsze, dokładnie ją analizuje, przepuszcza przez filtr swojej osobowości, odnosi się do nich. Nie boi się pouczyć, choć może raczej udziela wskazówek, opowiadając o swoich uczuciach i przejściach. Słychać to w singlowym „Jak nowonarodzony", opowieści o tym, co wokół niego i co z nim, słychać w „Reszta to proch i pył", zresztą w większości kawałków. Dla mnie numerem jeden na tej płycie jest jednak „Żebro Adama" - nie słyszałem jeszcze tak dobrego polskiego rapu o kobietach, po prostu mistrzostwo. „Stawka większa niż...", „U.L.I.C.A. i K.L.U.B.", „Protest" - nie będę analizował tych kawałków, one same w sobie są analizą kilku spraw, najlepiej będzie, jak posłuchacie ich sami. Można chyba jeszcze tylko dodać, że na płycie nie brakuje również odniesień do sytuacji politycznej i społecznej, i w kraju, i na świecie. Włodi znany jest ze swoich radykalnych w niektórych kwestiach poglądów i mówi o nich wprost.

No i muzyczna strona albumu. Większość utworów to wspólna robota Włodiego i Waca. Napiszę szczerze, że powoli wczuwałem się w ten album właśnie przez muzę. Rytmiczny i szybki singiel nie oddaje tego, co generalnie dzieje się na płycie. Większość beatów jest spokojna, statyczna wręcz, nawiązująca do hip-hopowej klasyki, czyli poszukiwania ciekawe, ale niestety, momentami nieco usypiające. To pierwsze wrażenie, potem można złapać rytm tego krążka (dobrze słucha się go w całości, na jeden raz, to atut), wejść w ten klimat. Fajny, „fortepianowy" beat do „Na żywo" skomponował L.A. I może tyle o muzyce, która nie powala, ale w sumie dobrze komponuje się z charakterystycznym rapowym stilo Włodiego. Trzeba też dodać, że na płycie sporo jest stojących na wysokim poziomie adapterowych zagrań DJ Dobrego Chłopaka, momentami świetnie akcentujących kawałki. Oprócz Dobrego, który na stałe współpracuje z Włodim, usłyszymy też gości: Wizę, Pono, Dalę, Korasa i Peję oraz DJ'a Decksa. Z featuringów zdecydowanie najciekawiej wypada zwrotka Pona w kawałku „Na żywo".

Wiem, że po tę płytę sięgnie sporo osób, ciekawych, jak po dłuższej przerwie z nagrywkami radzi sobie jeden z najlepiej rozpoznawalnych polskich emcee. Domyślam się, że będą tacy, którym ten materiał może wydać się zbyt ciężki, może zbyt osobisty. Nie wydaje mi się jednak, by było wielu rozczarowanych. To nie jest płyta dla szukających hitów i opowieści o jednej wielkiej balandze. To szczerze, rzetelnie przerymowana życiówka, z kilkoma mądrymi myślami, kilkoma celnymi spostrzeżeniami, a wszystko to opowiedziane w prosty sposób. To dobra płyta. **kowal**



OUTKAST
SPEAKERBOXXX / THE LOVE BELOW
ARISTA BMG

Gdybym był matematykiem, to łącząc charakterystyczne dla tej branży umiejętności z moją pasją muzyczną, chciałbym stworzyć wzór, który pozwoliłby na określenie - ile do przodu przed innymi niebanalnymi producentami są Big Boi i Andre 3000. Matematykiem jednak nie jestem. Ale Outkast wciąż jest z przodu.

Ten zespół jest dla mnie jednym z najważniejszych od momentu wydania dziewięć lat temu swojej debiutanckiej płyty, na którą czekałem z wypiekami na twarzy, codziennie molestując sprzedawców z nieistniejącego już dziś sklepu na Freta, w którym można było sobie ściągnąć płytkę zza Oceanu. W końcu przyszła, a ja wbiłem się w szok, w którym pozostaję do dziś. Outkast to bowiem z pewnością najgenialniejszy funkowy band naszych czasów. Nazywanie ich po prostu raperami i producentami byłoby spłyceniem tematu, zwłaszcza po tym, co zrobili na swojej ostatniej produkcji, przepraszam, produkcjach.

Outkast postanowili bowiem pod wspólnym szyldem wydać dwie produkcje autorskie - Speakerboxxx Big Boi'a i The Love Below Andre 3000. Kilkadziesiąt kawałków na dwóch płytach - dla fana uczta, dla kogoś, kto jeszcze nie miał do czynienia z tym zespołem, najlepszy powód, by nadrobić zaległości.

Ten zespół zawsze działał według zasady - szalony Andre i nieco bardziej wyważony, choć dysponujący obłędnie szybkim flow Big Boi. I mniej więcej w tę stronę poszły ich solówki. Andre zaserwował całą gamę szalonych pomysłów, nagrywając utwory często związane ze wszystkim, tylko nie z hip-hopem w szeroko nawet rozumianym pojęciu, z kolei Big Boi zaprezentował znane już wszystkim podejście Outkastu do robienia rapu, czyli perfekcyjnie przygotowany podkład muzyczny plus niesamowite flow i teksty.

Płyta Big Boi'a zaczyna się od obłędnie szybkiego „Ghetto Musick", przypominającego nieco stary hicior Outkastu, „Bombs Over Baghdad". Chwilę potem robi się już wczuwkowo i spokojnie, bo właśnie takim kawałkiem jest „Unhappy". Następny w kolejce jest „Bowtie", oparty o świetne dęciaki, z rozbudowanym, prześpiewanym refrenem, nawiązujący do klimatów wczesnej rapowej Atlanty, które to klimaty zresztą właśnie Big Boi z kolegą nakręcali. Dawka emocji na wejście jest więc zróżnicowana klimatycznie i daje próbkę tego, co dalej będzie się działo. Bo Big założył sobie chyba, że słuchacz absolutnie nie może się spodziewać tego, co może się zdarzyć, w jaki klimat pójdzie następnym utworem. Zaskoczenie jest więc niemal za każdym razem, i gdy słuchamy lekko poszarpanego „Church", w którym gdzieś w tle słychać nawiązanie i do muzyki gospel, i do synth-funk-popu lat 80., i gdy wczuwamy się w zwrotki Killer Mike'a i Jaya-Z towarzyszących Bigowi w „Flip Flop Rock", i gdy słuchamy prostej, trochę niepokojącej pulsacji w „Tomb Of The Boom" z fajną gościnną zwrotką Ludacrisa. Właściwie każdemu kawałkowi można by poświęcić kilka zdań - nie ma na to miejsca, ale uwierzcie mi, że warto znaleźć na to czas.

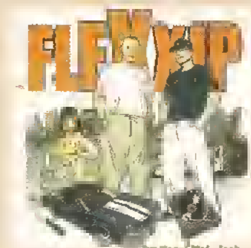
A co z Andre? Jak powiedział pewien mój znajomy, do jego strony projektu trzeba mieć nerwy ze stali. Jest to bowiem fuzja dźwięków czasami tak od siebie odległych stylistycznie, tak kompletnie wymieszana dawka muzyki, że w pierwszym momencie nie wiadomo - koncepcja to, czy kakofonia? Wystarczy jednak dać sobie chwilę czasu. Warto. Genialny, jazzowy klimacik „Love Hater", zaraz za nim jeden z najdziwniejszych skitów poświęconych... Bogu, jaki w życiu słyszałem, a już chwilę później zagrany trochę w stylu Prince'a „Happy Valentines Day", po którym specyficzny śpiew i melodeklamacja na połamanych beatach jak z wczesnych produkcji Goldiego już nikogo nie powinna zdziwić. Podobnie jak spokojny, soulowy „Prototype" czy zupełnie niespokojny singlowy „Hey Ya", będący połączeniem klasyki czarnego śpiewu z lat 60. z klasyką rocka z podobnego okresu. No i nie mogę napisać o moim faworycie z tej płyty, „Dracula's Wedding", w którym gościnnie udziela się Kelis - pop + elektropop + gitary, obłęd... A jazzowy temacik „My Favorite Things"? Jezu...

Wydanie dwóch zupełnie innych płyt pod wspólnym szyldem na pierwszy rzut ucha wydaje się szaleństwem. I jest nim. A wyjść mogło tylko takim ludziom, jak Big Boi i Andre. I wyszło. **kowal**



VIENIO I PELE
AUTENTYK 2
BAZA LEBEL

Nie ukrywam, że promujący ten album kawałek „To dla moich ludzi" uważam za jeden z najlepszych kawałków w historii polskiego rapu. Start do słuchania drugiego Autentyku miałem więc niezły i pełny dobrych przeczuć wziąłem się za swoją robotę. I od razu wyłapałem kolejny kawałek, który jest rozpierdalaczem - „Międzyosiedlowy R.A.P", solówkę Vienia ze znakomitą produkcją i brawurowymi skreczami Romka. Równie wysoko cenię sobie solówkę Pelsona, „Automotywację", git słowa, git refren, fajnie podbity przez Gutka. Produkcja? Cóż, nie ma co wiele pisać - Vienio z Pelsonem mają swoje niepowtarzalne brzmienie, muzyczny klimat coraz bardziej profesjonalnie brzmiący, zdecydowanie sławiający ich w czołówce polskich beatmakerów. Co do wokaliz, to Pele ma swój stały, charakterystyczny styl, natomiast Vienio coraz bardziej dzikuje, ze swoim głosem momentami robiąc coraz bardziej niesamowite rzeczy - brawo za odwagę, do odważnych świat należy. Słowa na tej płycie są różne, fajne jest to, że nie ma tu jakichś historii z kosmosu, a wszystko jest życiowe, takie, jakbyście słuchali rozmawiających o codziennych przypadkach dwóch koleżków z bloku obok. Czasami wspomagają ich goście: Włodi, Vigor (świetna zwrotka w zajebistym „Wyobraź sobie"), fajnie śpiewająca w „Ej!" Novika czy francuscy raperzy Wadim i Mehdi Mesrine. Co do tej francusko-polskiej współpracy, to mnie akurat podoba się ona najmniej z całej płyty, ale ja nigdy nie byłem miłośnikiem francuskiego rapu. Jest tu jednak sporo innych produkcji, których czepiać się nie będę, bo moje zdanie na temat umiejętności Autorów płyty już wyraziłem. Nie wiem, czy tak jak jest to powiedziane w znanym już z płyty Volta kawałku „Rewolucja jest blisko" rewolucja rzeczywiście się zbliża, w każdym razie jednak może nie rewolucyjny, ale stały progres Vienia i Pelego przypada mi do gustu. Oni autentycznie nie boją się eksperymentu, a jednocześnie nawiązują do swoich korzeni. **kowal**



FLEXXIP
TEN TYP MES, EMIL BLEF: FACH
T1

Zanim jeszcze wydali tę płytę, było o nich głośno, chyba nawet zbyt głośno w stosunku do dokonań. Dlatego z pewnością debiutancki album był dla nich nie lada wyzwaniem. I od razu napiszę - wyszli z całego zamieszania nie tylko obronną ręką, ale i zawalczyli o pozycję na najwyższej półce wśród polskich wykonawców rapu. Nie ma tu fajerwerków,

nie ma nowego trendu, przełomowego momentu, ale jest poziom na tyle wysoki, by zwrócić uwagę na Mesa i Emila. Potrafią rapować, robią to stylowo, z pomysłem i na szczęście styl nie walczy z treścią - co zdarza się niestety niektórym młodym wykonawcom - ale podkreśla ją. Przyznają się do tego, że najbardziej inspiruje ich amerykański rap z połowy lat 90., i to słychać. Klasyczne brzmienie beatów, wokalne stilo w pewien sposób nawiązujące do tamtego okresu, na ile oczywiście jest to możliwe. Muzyka jest świeża, energetyzująca i nawet w tych wolniejszych, bardziej nastrojowych kawałkach nie zamula. Zdecydowanie najmocniejszą stroną tej płyty są świetne pomysły na to, o czym rapować. Wystarczy posłuchać „Listu", „Teksty do bitów" (świetny refren), „Nie jestem" z Fu (też ciekawy refren) czy solówki Emila „Mam wiadomość" - pomysł, treść, przekaz. Jest na tej płycie i bragga, i sporo storytellingu, chłopaki nie dali się wbić w ograniczenia formy, elastycznie realizują swoje pomysły. Są jednak również momenty moim zdaniem słabsze - wspominkowy „8-8", wybrany na singiel „Oszuści" z Ciechem, czy solówka Mesa o zabarwieniu erotycznym, która choć zabawna, umieszczona na końcu płyty trochę rozpieprza dobre wrażenie. Na szczęście to jednak tylko marginalne przypadki, które nie wpływają na podsumowującą ocenę - dobra, ciekawa, świeża płyta. k.



FENOMEN
SAM NA SAM
BLEND RECORDS

Lubię Fenomen za proste, szczere teksty, ciekawe puenty, życiowe podejście do sprawy. Ich pierwszą płytę uważam za jeden z najlepszych debiutów w historii polskiego rapu i nie ukrywam, że byłem bardzo ciekawy, jak wyjdzie im kolejna produkcja. Nie będzie wstępów, zacznę od końca - ta płyta nie jest rozczarowaniem na pewno, ale gdzieś umknęła ta lekkość, z jaką Fenomeni przebijali się przez swoje tematy, z jaką puentowali narzucone sobie nielekkie tematy. Ta płyta jest poważniejsza, ma większy ciężar gatunkowy, ale jest też mniej bezpośrednia, trudniej wchłania się teksty. Ma to oczywiście swoje dobre strony, bo nad niektórymi kawałkami zatrzymujemy się na dłużej. Może właśnie o to chłopakom chodziło? Kolejną sprawą jest to, że Mazsa nie odpowiada już za stronę muzyczną albumu, jest autorem raptem jednego kawałka i jednego skitu. Na płycie pojawia się wielu świetnych krajowych producentów: Magiera, O.S.T.R., Camey, Decks, Szyha, Kociołek czy 600V, a ich produkcje na pewno nie zawodzą, ale mimo wszystko szkoda, że produkcji Mazsy nie ma na płycie więcej. Tak samo jak szkoda tego, że Ziaja rapuje tylko w pięciu kawałkach. Ale cóż, zmiany. Najważniejsze jednak jest to, że nowa twarz Fenomenu to nie jest twarz gorsza. Kawałki takie, jak singlowy „Ludzie przeciwko ludziom", „Słowa", „Dlaczego tak" czy „Powiedz" to kawał dobrego rapu, napisanego z pomysłem, rzetelnie przewiniętego, udowadniającego, że Feno to wciąż jeden z najlepszych polskich zespołów. k.



LIMP BIZKIT
RESULTS MAY VARY
FLIP / INTERSCOPE

Za ciekawy zbieg okoliczności należy uznać fakt, że pomimo odejścia z LB największego zwolennika ostrego grania, jakim bez wątpienia był Wes Borland, Limpom nagrało się najostrzejszą, najbardziej rockową płytę w dorobku. Choć wiele osób zarzuca Durstowi, że tą płytą poszedł na pewien kompromis, wprowadzając do albumu tyle różnych klimatów, jakby chciał zrobić dobrze wszystkim potencjalnym słuchaczom LB, taki zarzut jest chyba trochę nie na miejscu. Faktycznie, sporo tu i ostrego rocka, i psychodelicznych zagrywek a'la Jane's Addiction, i metalowego crossoveru a'la Korn, i w ogóle crossoveru charakterystycznego dla LB, jednak nie doszukiwałbym się w tym podlizywania słuchaczom z różnych muzycznych obozów, tylko raczej widziałbym to za prezentację sporych potencjalnych możliwości tej kapeli. Sztuką jest bowiem nagrać tak różne kawałki, jak „Eat You Alive", „Almost Over" (moim zdaniem najlepszy kawałek w dorobku tej fabryki hitów), genialny „Red Light-Green Light" ze Snoop Doggiem (Snoop podobno wszedł do studia potwornie napaprany, bez tekstu, nie był w stanie nic napisać, więc jego zwrotka powstała na wolno...) czy zamykająca płytę ballada „Drown" i poukładać je w spójną całość. Świetnie brzmi sekcja rytmiczna LB, sporo ciekawych smaczków dołożył do tej płyty DJ Leathal, a Mike Scott, którego gra przypomina trochę Dave'a Navarro z Jane's Addiction to muzyk pomimo młodego wieku niezwykle dojrzały, świetnie sprawdzający się w każdej przyjętej na płycie stylistycznej recepturze.

No i zaskakuje Durst, którego głos nigdy nie szokował, ale pomimo tego wokalista z płyty na płytę śpiewa coraz lepiej. A całość można uznać za najlepszą płytę w dorobku LB. Rozczarowani więc nie powinni być fani, a jak ktoś do tej pory za crossoverowym graniem tego typu nie przepadał, moim zdaniem powinien sobie zafundować przynajmniej jedno przesłuchanie - poszerza horyzonty tego, w jaki sposób w dzisiejszym zwariowanym świecie muzycznym można zrobić zamieszanie. kowal



MURPHY LEE
DA SKOOL BOY PRESENTS MURPHY'S LAW
UNIVERSAL

Naprawdę mało brakowało, bym wrzucił Murphy'ego do wora z napisem „przebojowcy typu jednym uchem wlata, drugim wylata". W podobnym worku trzymam płytki Nelly'ego, a hicior do filmu Bad Boys 2 wskazywał, że Murphy, koleżka Nelly'ego z ekipy St. Lunatics, to zawodnik podobnego formatu. Jeszcze przy pierwszym słuchaniu miałem podobne jazdy, ale z czasem zaczęło mi mijać. Murphy bowiem ma pojęcie o rapowaniu, choć w denerwującej momentami, gwiazdorskiej formule „yo, wsio mi wisi, nawijam, sprzeda się", ale i tak zostaje to w uszach dłużej, niż w przypadku sporej ilości podobnych produkcji. Najważniejsze jest jednak to, że płyta została świetnie skonstruowana jeżeli chodzi o stronę muzyczną. Nie brak zabijających tempem „imprezowców", energii ogólnie jest sporo - choćby warte polecenia „Hold Up" z Nellym czy „Wat Da Hook Gon Be" z Jermainem Dupri, ale są też świetne kawałki wczuwkowe, jak „Murphy Lee" z refrenem nawiązującym do standardu „Mercy Me" czy przypominający połowę lat 90. w wykonaniu ludzi z Hieroglyphics „I Better Go". Numerem jeden jest jednak dla mnie na tej płycie „Cool Wit It" nagrany z całym składem St. Lunatics, coś pomiędzy Pharcyde a Souls Of Mischief, z genialną muzyczką odpowiednio podrasowaną przez świetne dęciaki - jak to nie będzie hicior, to znaczy, że świat się kończy. Ogólnie - bardzo miła płytka, bezstresowa, ale też nie jakaś banalna sieczka z hiciorami, jak to się ostatnio coraz częściej braciom zza Oceanu zdarza. Na swoją płytę Murphy zaprosił całe stado gości, co momentami może irytować, zwłaszcza, jakby ktoś miał ochotę posłuchać głównego bohatera, ale w sumie da się wytrzymać. Cóż, mam podejrzenia, że rośnie nam kolejny klasyk telewizyjnego rapu, ale jakoś strasznie mnie to nie martwi, bo facet ma pojęcie i castingowcem, choć może budzić skojarzenia, nie jest. k.



3582
SITUATIONAL ETHICS
HUM DRUMS RECORDS

3582 to J.Rawls z Lone Catalysts i Fat Jon z 5 Deez, raperzy znani tym wszystkim, którzy lubią sobie czasami sięgnąć gdzieś głębiej, poza mainstream. Do płyty podchodziłem trochę jak pies do jeża, bo choć lubię rapowy drugi obieg, to nie ukrywam, że niektóre produkcje, w tym sporo rzecz by Lone Cats czasami mnie męczy. Ta płyta jednak męczyć nie może. Wspaniałe, świeże spojrzenie na kwestie produkcji, czytelna, nieukrywana próba nawiązania do lat 91-96 (dla wielu najlepszego okresu rap gry w Stanach), klasyczne rozpieprzenie tematu. Sporo tu brawurowo przewiniętych zwrotek, storytellingu, zabawy rymami. Teksty pełne humoru, luźnych obserwacji, ale też trochę refleksji, fajnie opowiedzianych. Jeszcze raz wrócę do kwestii produkcji - wszystko brzmi klasycznie, programowanie bębnów nie jest może rytmicznym odkryciem ostatnich lat, ale jest w nim zajebisty vibe, natomiast sample wykorzystane do części melodycznej są najczęściej proste, wpadające w ucho. Bez szaleństw aranżacyjnych, ale to właśnie ma być taki prosty, dobitny hip-hop. Tak jak było kiedyś. Jest też na tej płytce hit, który zdążył już zamieszać wśród podziemnej publiczności w Stanach - „Vanessa From Venezuela", zajebista pościelówka na prostym gitarowym, delikatnie nawiązująca do wczesnej twórczości Jungle Brothers i ATCQ. Bardzo fajna płytka, szkoda, że krótka (a może mi się wydaje, bo chciałbym więcej?). Jak wpadnie wam gdzieś w oko, nie oszczędzajcie paru złotych. k.



NATALIA KUKULSKA
UNIVERSAL

Tak się wzruszyłem zamieszaniem wokół Natalii Kukulskiej, które się ostatnio zrobiło, że aż postanowiłem uważnie posłuchać jej nowej płyty. Człowiek w końcu powinien w końcu poszerzać sobie horyzonty, nie? Tak więc poszerzyłem sobie wspomniane i oto, do jakich wniosków doszedłem. Natalia Kukulska ma świetny głos i umie śpiewać, które to umiejętności nie zawsze idą w parze. U niej akurat idą. Cóż z tego jednak, skoro Artystka ma repertuar taki a nie inny? Remiks kawałka „Kamienie" z Tedem był udany tak sobie, więc odmłodzenie Kukulskiej i wrzucenie jej w nurt muzyki ludzi młodych chyba nie wyszło. A może wyszło? Mnie w każdym razie nic o tym nie wiadomo. Wiem jednak, że płyta, którą właśnie recenzuję jest zbiorem pseudorockowych tematów, ckliwych balladek o wydźwięku serialowym (pasowałyby na temat przewodni przygód telewizyjnych rodzin) i kilku pop piosenek, które tak łatwo wpadają w ucho, jak i z niego wypadają. Świetnie idzie Kukulskiej śpiewanie po angielsku, bo słychać, że nie tylko język zna, ale i artystycznie czuje.

recenzje

Tylko że to, co śpiewa, to miałkie pioseneczki, może z wyjątkiem „I Wanna Know", w której coś jest, choć nie pytajcie mnie co. Poza tym jeszcze pozytywnie przeszły u mnie „Decymy", ale tylko ze względu na fajne, 80's brzmienie klawiszy. Szkoda, że dziewczyna o takim głosie musi śpiewać takie piosenki. Szkoda z mojego punktu widzenia, bo wydaje mi się, że w korzennej, o „afro" zabarwieniu muzyce Kukulska dałaby sobie radę. Cóż... **kowal**



MYA
MOODRING
INTERSCOPE

Mam słabość do Myi, bo ma coś takiego w głosie, że chce się człowiekowi jej słuchać. W zalewie produkcji rnb, konsekwentnym zalewie, niestety i kolejne płyty tej artystki niczym szczególnym się nie wyróżniają. Na początku swojej kariery potrafiła jakoś tak fajnie akcentować śpiewane słowa, mogła liczyć na ciekawe aranże, czasami trochę odchodzące od wiodących trendów w nowoczesnej żeńskiej afromuzyce. Cóż, teraz tak kolorowo już nie jest, a ta płyta jest po prostu kolejnym zbiorem potencjalnych hitów tanecznych i balladowych osadzonych w konwencji. Tytułowy utwór, produkowany przez Missy Elliott (jedna z jej „spokojniejszych" produkcji), niczym specjalnym nie zachwyca - ot, ładnie przeciągnięty tematck, z miłym refrenem. Fajna jest produkcja Rockwildera do kawałka „Why You Gotta Look So Good?" i ten utwór oraz umieszczony na płycie zaraz po nim „Step" (znowu Missy) to dwa najjaśniejsze punkty. No, może jeszcze fajnie pulsujący „Hurry Up" z gościnnym rapem Gunz. I luźny kawałek o karaibskim zabarwieniu, w którym gościnnie pojawia się Sean Paul - „Things Come & Go". Właśnie taka Mya jest najfajniejsza - mniej „sophisticated", bardziej imprezowa, choć oczywiście z dużą dozą elegancji. A swoja drogą, to przy tak szybko rosnącej popularności podobnych tematów muzycznych, niedługo będzie można urządzać teleturnieje, w których nie lada sztuką będzie popisanie się bezbłędnym rozpoznaniem poszczególnych wokalistek. Takie czasy. **k.**



PIĘĆ DWA DĘBIEC
P-Ń VI
UMC

Pod tymi zawiłymi skrótami kryje się poznańska ekipa z wytwórni UMC. Głównym motorem Pięć Dwa jest Hans, który przez 14 utworów na „P-Ń VI" nieprzerwanie atakuje nas swoimi celnymi i mistrzowsko oprawionymi w słowa przemyśleniami. Hans ma nie tylko magnetyzujący głos i celne rymy, ma przede wszystkim nieprzeciętnie oryginalny flow a do tego nie boi się eksperymentów. Wydawca mówi o 5-2, że to „hardkor" i jest w tym sporo racji. Muzyka autorstwa SPM, Decksa i Donia, choć bogata brzmieniowo i momentami bardzo wpadająca w ucho (jak w „Konfrontacjach"), jest brudna i gęsto okraszona skreczami. „Brudne" są także skity, których, mimo, że jest tu aż 9, warto posłuchać bo każdy zaskakuje. „Hardkor" pobrzmiewa też w tematyce. Zła sytuacja polityczna i ekonomiczna w kraju plus wnikliwe i zakrojone na szeroką skalę komentarze społeczne. Hans szerzy patriotyzm (także lokalny) choć okraszony dawką ironii i dystansu (potencjalny hymn „To my!"). Jak na „hardkor" przystało pojawia się też wątek policji i choć się tego po sobie nie spodziewałam - HWDP w tym wykonaniu mi się podoba, i to bardzo. Oklepana kwestia legalizacji marihuany jest podana w formie na tyle odważnej i przy okazji wesołej (a tak powinno być), że aż chce się składać podpisy pod petycją. Jedyne, co sprawia, że nie pojadę do chłopaków składać gratulacji za wydanie świetnej i odświeżającej uliczny nurt płyty, to refren z kawałka „Drut": „Dębiec zapraszamy, dymamy młode damy". **Fala**



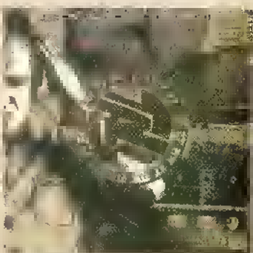
THALIA
THALIA
Pomaton EMI

Pewnie większość z was zachodzi w głowę; kim jest ta Thalia. Na okładce wygląda na nastoletnią białą artystkę pop. Ale jeśli przypomnę wam dość żenujący kawałek niby-że-to-hip-hopu featuring Fat Joe „I Want You" to obraz zaczyna się nam klarować. „Tell me what you feel, couse i'm feeling something real" - tak, tak, to właśnie fragment przemyślanego tekstu r'n'b autorstwa bliżej nie znanej nikomu Thalii. Tymczasem pochodząca z Meksyku dziewczyna naprawdę się stara. Karierę zaczęła w wieku 9 lat śpiewając z Din Din (latynoskim odpowiednikiem Gawędy), występując w mydlanych operach i nagrywając począwszy od końca lat 80-tych ładnych parę albumów, o których świat niewiele słyszał. Kiedy Jennifer Lopez zawojowała rynek muzyczny brudząc popowymi butami hiphopowy parkiet - Thalia zaczęła kombinować jak pójść w jej ślady. Długo myślała aż w końcu w sobie wiadomy sposób dotarła do jej producenta Cory'ego Rooney'a i zaczęła z nim współpracę. W 2000 roku wyszła za mąż za byłego męża i menadżera Mariah Carrey - Tommy'ego Mottolle. To pasmo sukcesów wieńczy powyższy album, o którym mało mówię, bo nie za bardzo jest o czym. Płaskie prymitywne teksty, poprawny ale nieco naiwny wokal i bolesna niespójność muzyczna od okrutnego techno („Dance, Dance"), przez niewyszukane r'n'b („Baby, I'm in Love" i wspomniany „I Want You") po rzewne ballady (Closer To You). Nie dajcie się zmylić - na płycie nie jest 14 utworów a 10, po prostu 4 z nich są w dwóch wersjach językowych - spenisz i inglisz. Typowe i niestety niezbyt ambitne. **Fala**



CHINGY
JACKPOT
Capitol Records/ EMI

Chingy to małolat z St. Louis, którego do szołbiznesu wciągnął za sobą Nelly. W 2002 wyruszył z nim w trasę jako hypeman i tak mu się spodobało, że zaczął sam nagrywać aż w końcu dostrzegł go Ludacris i wpisał do swojego labelu. Przy tej okazji skorzystali też producenci z St. Louis - The Trak Starz - wciągnięci do debiutanckiego projektu Chingiego. Całkiem nieźle się zresztą spisali zamieszczając na albumie kilkanaście gorących ulicznych bounce'ów, które ruszą każdą dupcią. Tak przynajmniej twierdzi Chingy, który w słowach nie przebiera i kobiety traktuje naprawdę źle! Jak można się domyślić Chingy porusza się w stylistyce i tematyce zapoczątkowanej przez Nelly'ego i innych wykonawców z południa - dziwki, hustlerka, szampan i szeroko pojęta imprezka. Niewiele od tego wyjątków (zwracający honor kobietom „One Call Away") - a szkoda, bo przebić 50 Centa już się raczej nie da. Z resztą zaczyna to już przynudzać i nie mogę się doczekać nadejścia Nowego w amerykańskim mainstreamowym hip-hopie. Treść kawałków w połączeniu z obiektywnie komiczną manierą i południowym akcentem autentycznie bawi. Rozśmieszają także fonetyczne zapisy tytułów w wersji rodem z St. Louis - chociażby singlowy „Right Thurr", a także mój faworyt - z maszynową precyzją zarapowany „Wurrs My Cash". Trzeba z pewnością oddać pokłon talentowi pisarskiemu Chingiego, który sprawia, że teksty są ciekawe mimo błahych tematów a rymy wprost matematycznie obliczone na najbardziej płynąco-szczekający flow jaki da się osiągnąć. W celach instruktażowych warto mieć tę płytę z pewnością. **Fala**



RADICAL NEWS
RADICAL SOUND SYSTEM
ROCKERS PUBLISHING

Mirek „Smalec" Malec to wytrwały osobnik. Przygodę z muzyką rozpoczynał pod koniec lat 80. jako wokalista pankowych Zielonych Żabek, później liderował formacji Ga Ga, by w drugiej połowie lat 90. założyć skład Radical News. RN przeszło zaś drogę od zespołu HC / post-pank do eklektycznego projektu, który - w dużym uproszczeniu - zaklasyfikować można jako wypadkową brzmień dubu i hip hopu oraz pankowej ekspresji. Już otwierający album, znany z anteny Radiostacji kawałek „Koleżka" daje pewne pojęcie o kierunku jaki obrał Smalec. Przy akompaniamencie pulsujących dubowych rytmów, Smalec charakterystycznym głosem skanduje, melodeklamuje i wyśpiewuje swoje publicystyczne teksty. A jako że w Radical News najważniejsze jest słowo, to przekaz formacji jest ściśle sprecyzowany. Krytyka plastikowego świata konsumpcji i jego złudnych pokus, trochę pozytywnych klimatów o straight edge'owym rodowodzie, nieco religijnej etyki (Smalec jest krysznaitą) a przede wszystkim celna obserwacja współczesnego, wielkomiejskiego życia, podana w formie zaangażowanego społecznie reportażu. Z przekazem ciekawie koreluje urozmaicona muzyka, to wpadająca w taneczny beat, to znowu trącąca mistycznym, medytacyjnym nastrojem. Płyty takie jak ta cieszą tym bardziej, że stanowią namacalny dowód kreatywności części starej gwardii. Przyszłości panka upatrywać należy właśnie w mariażu tej stosunkowo starej formy z nowszymi brzmieniami. Konserwatyzm nie jest cnotą i Smalec rozumie to doskonale. Tym bardziej zachęcam do zaznajomienia się z Radical News. **/SR/**



SECOND CHANCE
LONG DISTANCE LOVE
PASAŻER

Second Chance to zespół, który rezyduje w moim rodzinnym mieście, niemniej ten fakt nie ma żadnego wpływu na moją ocenę jego drugiego materiału. Tak czy owak, być może ktoś zarzuci mi kumoterstwo, bo zamierzam chłopaków pochwalić, ale cóż... Jego problem. „Long Distance Love" to produkcja w pełni profesjonalna. Bardzo dobry warsztat, niezła produkcja i świetny repertuar. Muzycznie całość rozpięta jest pomiędzy ciężkim nowojorskim hard core'em z okolic Cro Mags a melodyjnym pankiem przywołującym ewidentne skojarzenia z Misfits (te chórki „whoooa" jakby żywcem wyjęte z płyt Wyrzutków). To nie wszystko, bo chwilami Second Chance wrzuca drive jakby... hard rockowy. Ba, są tu nawet gitarowe solówki! Wokalista pozostaje pod wpływem Glena Danziga, choć więcej w jego śpiewie dobrych chęci i zaangażowania niż takiego kunsztu jaki cechuje Maestro Glena. Teksty zaś obracają się głównie wokół hard core'owej etyki, choć nie brak i publicystyki na aktualne tematy („War For Oil") oraz lekkiego dowcipu („Beerland"). Najlepsze numery to „Declaration", „Long Distance Love" i „Song 4 The Crew" a absolutnym przebojem jest, utrzymany w konwencji goth finałowy „Nosferatu". Polecam. **/SR/**



V/A
MANO NEGRA - ILLEGAL
BIG MAMA RECORDS

Za kilka miesięcy minie dziesiąta rocznica rozpadu kultowej (w tym wypadku nie ma powodu, by powściągać się przed tym, stanowczo nadużywanym ostatnimi czasy przymiotnikiem) grupy Mano Negra. Hiszpańsko-francuska formacja wypracowała sobie swój własny styl, mieszając w jednym tyglu ekspresję panka (m.in. poprzez zaangażowane społecznie teksty) z pulsacją różnych gatunków muzyki tanecznej - od reggae, poprzez muzykę latynoską na hip hopie skończywszy. Mano Negra zostawiła po sobie sześć płyt i barwną legendę pielęgnowaną przez fanów w każdym niemal zakątku Europy. W jej szeregach zaczynał też karierę Manu Chao, którego popularność przeszła już chyba wszelkie oczekiwania. Z inicjatywy umuzykalnionych fanów Mano Negry - członków dwudziestu zespołów z Hiszpanii i Francji powstał taki oto tribute-album. Większość nazw będzie zapewne dla przeciętnego Polaka zupełną enigmą, lecz co lepiej zorientowani skojarzą być może Fermina Muguruzę, hiszpańskich ska-panków ze Ska-P lub kilka bandów znad Sekwany. W solidność pozostałych można jednak zawierzyć bez podejrzliwości. A jeżeli płyta poświęcona jest Mano Negrze i zawiera jej kompozycje, to wiadomo, że miejsca na nudę nie będzie. Jakież to dźwięki dostajemy do skonsumowania? Miejski folk, reggae, ska, pank, dub, hip hop, muzyka etniczna (latynoska, arabska), a nawet melodie rodem z wodewilu. Całość wymieszana w zróżnicowanych proporcjach i podawana w rozmaitych konfiguracjach. Właściwie nikt nie silił się na niepotrzebny odlot, choć ewidentnym kukułczym jajem są na tej kompilacji nagrania pewnych francuskich ska-bandów, które potwierdzają opinię, jaką zasłyszałem u wokalisty Skarface (najpopularniejsza ekipa ska nad Sekwaną): wiele francuskich zespołów myli ska z popierdywaniem cyrkowej orkiestry. Ale olejmy te nieliczne wpadki i rozkoszujmy się resztą albumu. 72 minuty, które trwa dysk, mijają jak z bicza strzelił. Płytka bomba. Rozbijajcie skarbonki i liczcie monetę, bo ten krążek wart jest waszych zaskórniaków. /SR/



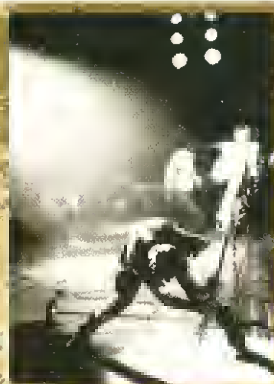
MACHINE HEAD
THROUGHT THE ASHES OF EMPIRES
ROADRUNNER

Pierwszy rzut oka na okładkę piątej płyty mnie nieco zdezorientował: czyżby MH zaczęli grać black metal? Na szczęście już pierwsze dźwięki dobiegające ze słuchawek potwierdziły, że wszystko jest w porządku. Throught the Ashes of Empires to kawał solidnego, ostrego łomotu. Nie jest to może taki rozpierdalacz jak debiutancki album Machine Head. Stylistycznie zbliżony jest raczej do drugiej płyty (...More Things Change), ale jest też od niej o wiele bardziej udany. Nie ma tu (na szczęście) przebojów w negatywnym, telewizyjno - radiowym znaczeniu, dlatego też pewnie zbyt wielu nowych fanów zespołowi ten album nie przyniesie. Ale w końcu też nie o to chodzi. Nową płytę MH polubią przede wszystkim ci, którzy już zespół znają i szanują. Ciężkie niczym czołg gitary, potężne uderzenia bębnów, charakterystyczny, mocny wokal Flynna to cechy pozwalające odróżnić muzykę Machine Head od setek innych metalowych bandów. Czasami przewijają się w niej dalekie echa Slayera, który dla metalowców wzorem jest niedoścignionym. Zresztą ktoś kiedyś zrobił wielką krzywdę Machine Head, przypisując ten zespół do równie pojemnej, co nieokreślonej kategorii „nu-metal". Owszem, to nowoczesne granie, ale bardzo, bardzo dalekie od dokonań takiego Linkin Park na przykład. To po prostu solidna, ciężka muzyka, rewelacyjnie sprawdzająca się na koncertach. Będziecie się o tym mogli wkrótce przekonać: w grudniu MH wystąpi po raz kolejny w Warszawie. **(jd)**



FREDDY VS JASON
SOUNDTRACK
ROADRUNNER

Amerykanie lubią robić kasę na horrorach, postanowili więc skonfrontować ze sobą dwóch bohaterów czołowych cykli: Freddy'ego Krugera z „Koszmaru z Elm Street" i Jasona Vorheesa z „Piątku 13". Jaki jest tego efekt nie wiem, bo film jeszcze do nas nie dotarł. Natomiast można już zapoznać się ze ścieżką dźwiękową. Jak to ostatnio modne (zwłaszcza w przypadku filmów brutalnych i hałaśliwych) całą płytę wypełniają kawałki metalowe. A chwilami wręcz stalowe niczym pazury Freddy'ego. Soundtrack zbiera czołowe zespoły nu-metalowe (i nie tylko). Pojawiają się tu tak znane kapele jak Slipknot, Chimaira, Sepultura czy Type O Negative. W większości są to kawałki nowe, wcześniej nie publikowane. I naprawdę jest czego posłuchać. Zajebiście wypada Mushroomhead, ze swoimi pokręconymi dźwiękami, agresywny „Army of Me" Chimairy to jeden z najlepszych kawałków nagranych przez ten zespół. Świetny jest też kawałek Sepultury z Mikiem Pattonem (ex-Faith No More) i pochodzący z debiutanckiego albumu Devildriver „Swinging the Dead". A to nie wszystko... Z tym, że nie ma sensu zmienianie recenzji w wyliczankę. Wystarczy powiedzieć: warto posłuchać. Ale nie jest to jednocześnie album bez wad. Im bliżej końca, tym gorzej niestety, pojawiają się jakieś szatany straszne, a zamykający płytę utwór Type O Negative pasuje do całości jak pięść do nosa. No ale taka też dola składanek, z góry wiadomo, że pojawią się jakieś słabsze momenty. Na szczęście w przypadku „Jason vs Freddy" tych ciekawych jest o wiele więcej. **(jd)**









The CLASH
czterech Jamesów Deanów punka

Słowo „clash" w języku angielskim oznacza starcie, w londyńskim slangu - konkretnie zadymę z policją. Zapewne taką, jaką widzimy w jednej ze scen filmu „Billy Elliott". Oto opancerzeni w kaski i tarcze funkcjonariusze prewencji z pełną brutalnością pacyfikują górniczą manifestację. Gumowe pałki opadają na plecy demonstrujących, nieliczni uciekają przed glinami, klucząc wśród brudnych uliczek. Rytm tym wydarzeniom nadaje rozbrzmiewająca w tle dynamiczna muzyka. Co to za piosenka? I co to za zespół? Otóż „London Calling". Grupy The Clash.

Londyńska dzielnica Brixton, druga połowa lat 70. Przytłaczające betonowe mrówkowce zasłaniają słońce. Jak poradzić sobie z wszechogarniającą nudą? Można spędzać czas siedząc na przysłowiowym murku, ale mądrzej będzie jednak założyć własny zespół, nazwać się The Clash i wykrzyczeć na całą Anglię, a może i cały świat swoje emocje. Drzwi stoją już otworem, gdyż dopiero co rozsadzili je z furią nieokrzesani podopieczni Malcolma McLarena, Sex Pistols. Na fali punkowej rewolty popłynęli także i clashowcy: Joe Strummer (gitara, głos), Mick Jones (gitara, głos), Paul Simonon (bas) i Terry Chimes (perkusja).

Pierwszy z wielu hymnów londyńskiej załogi, „White Riot" zwiastował koniec ery kołtuńskiego, stadionowego rocka i wskazał godzinę zero szykującym się do rewolucji pankrokersom. Jeżeli to Sex Pistols podłożyli dynamit pod muzyczny establishment, rączkę detonatora nacisnęli z kolei członkowie The Clash. Każde objawienie się na żywo ekipy z Brixton kończyło się rekrutacją nowych zwolenników ruchu.

Mury Brixton szybko pokryły namalowane sprayem napisy „Clash" (wśród Nieznanych Sprawców byli i sami muzycy, nie obeszło się zresztą bez grzywny). W ten sposób zaznaczono terytorium formacji, a zarazem poświadczono o jej rosnącej popularności. Po serii elektrownych, wysokoenergetycznych gigów przyszła pora na utrwalenie muzyki zespołu w studiu. Dniami i nocami członkowie Clash wylewali siódme poty dopracowując swój materiał w salce prób. Jako że nie stać ich było na opłaty za prąd, czerpali go „na lewo". Aby zapłacić za studio, brali udział w jego remontowaniu. Później, gdy paradowali w pomazanych farbą ubraniach, mogli z dumą mówić zainteresowanym pankową estetyką studentom szkół artystycznych, że fason ich strojów inspirowany jest malarstwem Jacksona Pollocka. Drugą istotną cechą image'u Clash było zamiłowanie do stylu militarnego: spodnie-szturmówki, mundurowe koszule, wojskowe nakrycia głowy i insygnia. Wszystko to zestawione z pankową niedbałością i pop artowym wyczuciem smaku przykuwało uwagę równie skutecznie co dźwięki. Poświęcenie i samozaparcie zaprocentowało nagraniem debiutanckiego albumu „The Clash" (1977). Płyta ukazała się nakładem wytwórni CBS, której włodarze oświadczyli clashowcom tuż przed podpisaniem kontraktu, że jeżeli chcą coś zdemolować, to muszą to zrobić na miejscu, gdyż potem żadne demolki i napastowanie sekretarek nie będą tolerowane. Do ekscesów jednak nie doszło, cyrograf został podpisany a obie strony uczciły to zdarzenie wspólnym wypadem do kina na projekcję „Bitwy o Anglię".

Hektolitry tuszu rozlano prześcigając się w zachwytach nad debiutancką projekcją umiejętności The Clash. Album to zaiste porywający i jego pozycja w kanonie tak pank roka, jak i muzyki popularnej w ogóle jest w pełni uzasadniona. Wizytówką Londyńczyków były motoryczne pankowe pieśni zaśpiewane na dwa głosy: delikatny i liryczny Jonesa oraz gromki i wojowniczy Strummera; pokaźny arsenał przebojowych szlagwortów i świetna gra na gitarze Jonesa, granicząca z autentyczną wirtuozerią.

Wspomnieć należy, że jeszcze w trakcie nagrań z zespołu wykopany został Chimes. Perkusista oświadczył bowiem, iż grą w Clash pragnie uciułać pieniądze na zakup wymarzonej Cortiny. Pozostali nie mieli wyrozumiałości dla planów kolegi i pozbyli się go bez żalu i ceregieli. Pomysł zarabiania kasy na muzyce wydawał im się wówczas czymś nieetycznym. Clashowcy z wielkim pietyzmem pielęgnowali bowiem etos klasy robotniczej, której zresztą byli przedstawicielami (wyjątkiem był jedynie Strummer, syn angielskiego dyplomaty). Lewicowy zapał muzyków kazał im w tekstach nawoływać masy do rebelii, opowiadać się przeciw wszelkim formom zinstytucjonalizowanej opresji, podnosić głos w obronie emigrantów czy przywoływać ducha Rewolucji Hiszpańskiej bądź socjalistycznych grup paramilitarnych. Przy tym wszystkim nie można było oskarżyć Londyńczyków o brak autentyzmu, gdyż swoją waleczną postawę często okazywali w sytuacjach skrajnych. Dowodem na to były przednie zęby Strummera, które ten stracił w bójce z policją podczas robotniczej manifestacji. Trudno śpiewać z niekompletnym uzębieniem (choć nie jest to niemożliwe - vide Shane McGowan z The Pogues), więc Joe wkrótce postarał się o stosowne protezy.

Już z Nickym „Topperem" Headonem, jednym z najlepszych perkusistów w historii muzyki, za bębnami, Clash nagrał poprawny, choć jakby pozbawiony iskry bożej drugi album, „Give'em Enough Rope" (1978). Rok później światło dzienne ujrzało absolutne dzieło życia muzyków, fenomenalna płyta „London Calling" wydana - jako prztyczek w nos wytwórni płytowej - na dwóch winylach sprzedawanych w cenie jednego. To właśnie na „London Calling" eksplodował talent kompozytorski Micka Jonesa, umiejętność pisania świetnych tekstów Strummera oraz zdolności muzyczne całej czwórki. Oprócz dynamicznego pank roka, Clashowcy zaprezentowali słuchaczom dźwięki ska, dubu, folku, muzyki latynoskiej, rockabilly i korzennego rock'n'rolla bliskiego starym nagraniom Elvisa, a nawet pastiszowo potraktowanego jazzu. Kiedy dobiega końca ostatni, dziewiętnasty utwór, aż szkoda, że to już finał albumu.

Eksperymenty z jamajskimi brzmieniami reggae / dub pchnęły The Clash do nagrania trójpłytowego (w wersji kompaktowej na dwóch dyskach) albumu „Sandinista!" (1981). Choć wielu zarzuca tej produkcji dłużyznę, nie sposób odmówić jej zniewalającego klimatu.

Ostatnim materiałem starego, dobrego The Clash była płyta „Combat Rock" (1982) - kamień milowy pank roka. Tu Clash znów bawili się żonglerką różnymi stylistykami, z utworu na utwór przeskakując od funky do ska, od rapu do oryginalnej wizji muzyki disco.

Pokrótce dyskografię angielskiego bandu można scharakteryzować w ten sposób: debiutancki „The Clash" to świadectwo dojrzałości, „Give'em Enough Rope" to magisterium, „London Calling" - doktorat, „Sandinistą" zapracowali clashowcy na habilitację a „Combat Rock" to już solidna profesura. Na opinię najlepszego pank bandu w historii (abstrahując od tego czy jest ona słuszna czy nie) londyńska ekipa pracowała długo i w pocie czoła.

W połowie lat 80. coś zaczęło się psuć. Z zespołu odeszli bowiem Headon i Jones. Strummer wraz z Simononem kontynuowali grę pod starym szyldem, skaptowawszy do składu kilka nowych twarzy, jednak nagrany przez nich album „Cut The Crap" (1985) nie był w stanie nawiązać do najlepszych tradycji formacji. Inna rzecz, że poprzeczki wywindowanej na wysokość nieba przez „Combat Rock" nie sposób było przeskoczyć. The Clash rozpadł się w 1985 roku. Ex-muzycy zajęli się swoimi sprawami i, mimo wielu lukratywnych ofert, nie zdecydowali się wskrzesić zespołu, który przyniósł im chwałę i szacunek.

Zabrzmi to jak wykalkulowany truizm, ale The Clash zmieniło życie wielu ludzi. Życzę każdemu, komu dopiero przyjdzie spotkać się z muzyką Anglików, by ich „clash" z Clash był równie ekscytujący co tysięcy fanów na całym świecie. Czwórka Londyńczyków wkroczyła na scenę w momencie, gdy mediami rządziły gwiazdy barokowego szarpidructwa. Clashowcom nie przeszkodziło to jednak wskrzesić ducha rebelii w muzyce, na nowo otwierając oczy rock'n'rolla na kwestie społeczne. Uwrażliwili też wielu swoich słuchaczy na problemy innych ludzi. Czy można dokonać czegoś więcej?

The Clash nie reaktywuje się już nigdy. Grono czterech Jamesów Deanów muzyki opuścił jeden z towarzyszy. Joe Strummer zmarł bowiem 23 grudnia 2002 roku na atak serca. Pewnie nawet teraz, po drugiej stronie komponuje muzykę i przygląda się zwykłym ludziom, których rzecznikiem był za życia. Zdążył tu napisać kawał historii, którą dziś możemy się cieszyć. I za to szacunek dla niego i pozostałych Clashowców. Teraz i na zawsze.

.:Sebastian Rerak:.



PAT MILLS
chcę być prawdziwy

Pat Mills od lat współpracuje z brytyjskim magazynem komiksowym 2000 AD, dla którego napisał niezliczoną ilość scenariuszy do serii, z których większość sam stworzył. Wśród nich znalazły się między innymi Slaine, ABC Warriors, Nemesis, Torquemada i wiele innych. Pracował też nad scenariuszami do takich komiksów jak Judge Dredd, Batman, Star Wars, Punisher 2099... Zresztą wymienienie wszystkich tytułów zajęłoby zbyt wiele miejsca. Niedawno odwiedził Polskę, goszcząc na Międzynarodowym Festiwalu Komiksu w Łodzi. Tam też udzielił nam wywiadu.

Możesz powiedzieć parę słów o początkach 2000 AD?
Magazyn powstał w latach 70. jako próba odpowiedzi na amerykańskie wydawnictwa takie jak Action Comics, które były, powiedzmy, kontrowersyjne. Chcieliśmy stworzyć własne postaci, własne światy i to nam się chyba udało. Może o tym świadczyć choćby fakt, że 2000 AD cały czas się ukazuje. I ma się całkiem dobrze, choć oczywiście byłoby lepiej, gdyby był sprzedawany w całej Europie (śmiech).

W Polsce najbardziej znanym twoim komiksem jest Slaine. Co w celtyckich legendach zainspirowało cię do stworzenia tej postaci?
Dwie rzeczy. Po pierwsze legendy Celtów są zupełnie inne od wszystkich legend europejskich. W Niemczech, Skandynawii, prawdopodobnie również w Polsce, Rosji i innych krajach słowiańskich - choć tu akurat nie jestem ekspertem - w każdym razie w większości krajów europejskich legendy są bardzo poważne, można powiedzieć: zorganizowane. Tymczasem legendy celtyckie są szalone, dziwaczne. Trudno podać prosty przykład, ale mają w sobie jakąś tajemniczość, taki specyficzny sposób patrzenia na życie. Na przykład gdy celtycki wojownik jest ranny, to jeszcze rozdziera tę ranę, aby była większa, a on mógł się nią chwalić swoim towarzyszom! To jest popieprzone! Natomiast drugi powód mojej fascynacji to fakt, że sam jestem z pochodzenia Irlandczykiem i gdy dorastałem, to nasłuchałem się wszelkiego rodzaju historii o ludziach takich jak Michael Collins (założyciel IRA - red.), Eamon De Valera (pierwszy prezydent Republiki Irlandii - red.) czy Oliver Cromwell (angielski namiestnik Irlandii w XVII wieku, znany ze swojego okrucieństwa - red.). Ale nic nie wiedziałem o prawdziwych, starożytnych bohaterach. Ten kawałek historii straciłem w dzieciństwie, a bardzo chciałem się o nim dowiedzieć jak najwięcej. Sam Slaine jest oparty na postaci pierwszego Wielkiego Króla Irlandii. I większość historii w tym komiksie jest w części autentyczna. Wierzę, że gdy opowieść jest prawdziwa, gdy pojawiają się w niej historyczne fakty lub postaci, to przemawia ona do czytelnika. Gdy czytasz, to wiesz, czy coś jest prawdziwe, czy nie. Czujesz tę różnicę. I to samo w jakiś sposób dotyczy legend.

Czy ciężko wobec tego stworzyć historię, opartą na legendach, których czytelnik może nie znać?
To prawdziwe wyzwanie. Musisz zainteresować czytelnika czymś, o czym - w założeniu - on nie chce w ogóle myśleć. Sporo czytelników nie lubi Slaine'a, bo oczekują czegoś bardziej wymyślonego, lepiej czują się czytając Conana czy Władcę Pierścieni - bo to czysta fantasy. A nie chcą niczego, co może mieć jakieś walory edukacyjne. A taki Conan jest bez wątpienia jeszcze bardziej dziki i szalony niż Slaine. A ja po prostu tak piszę, nie zmienię się i muszę robić to w ten właśnie sposób. Zresztą dzieła Tolkiena, historie o Conanie czy książki Michaela Moorcocka są również oparte na legendach. Zwłaszcza opowieści o księciu Corumie Moorcocka są w całości oparte na irlandzkich legendach, choć autor o tym wprost nie mówi. Ale ja, czytając je, cały czas miałem wrażenie, że skądś znam te opowieści. Sam piszę tak, żeby czytelnicy wiedzieli skąd pochodzi inspiracja i doszli do wniosku, że sami również mogliby takie historie tworzyć.

W końcu historia Irlandii często sprawia wrażenie fantastycznej... Jak myślisz co czyni Slaine'a tak popularnym? Nie jest przeciętnym barbarzyńcą, oczywiście jest potężny, jest szalony, ale przy tym przebiegły i inteligentny. Nie wiem, czy w ogóle można go nazwać barbarzyńcą...
Odpowiedź na to pytanie jest złożona. Po pierwsze kocham historię i jak mówiłem chciałem, żeby ta postać była jak najbardziej autentyczna. Po drugie Slaine ma w sobie jakiś pierwiastek kobiecy, ale żeby to wytłumaczyć trzeba się cofnąć do korzeni. Współautorem najwcześniejszych epizodów jest moja była żona Angie, ilustratorka książek dla dzieci. Ona wniosła do opowieści coś kobiecego. Dla przykładu: gdy tworzyliśmy bohatera, stwierdziłem, że musi on nosić hełm. Więc Angie przez dwa tygodnie rysowała najróżniejsze, zajebiste hełmy. A ja w końcu powiedziałem, że Slaine jednak lepiej wygląda bez hełmu. Wtedy ona rysuje postać wściekła, wkurzona na mnie i całą tę niepotrzebną robotę. I ta jej kobieca wściekłość i energia jednocześnie jest widoczna w postaci Slaine'a. Poza tym narysowała go jako przystojnego mężczyznę. Gdy facet rysuje bohatera, to nie chce, żeby był on przystojny, aby przypadkiem czytelnicy nie pomyśleli, że jest gejem. I dlatego większość postaci tworzonych przez mężczyzn ma wygląd, który można nazwać „nie wkurwiaj mnie".

Nie zawsze, Superman wygląda jak gej.
To zapewne zupełnie inna historia (śmiech). Ale gdy kobieta tworzy bohatera, to ma przed oczami np. Mela Gibsona albo młodego Jacka Nicholsona. I to jest zasadnicza różnica. Choć muszę przyznać, że część brytyjskich fanów komiksu nienawidzi Slaine'a za wszystko, za co wy go lubicie. A ja muszę trzymać ich na dystans, w innym razie musiałbym tworzyć opowieści conano-podobne.

Czy pomocnik Slaine'a, karzeł Ukko, powstał w tym samym czasie co główny bohater opowieści?
Tak. Wiedziałem, że aby odnieść sukces, muszę znaleźć jakąś formułę. Wszystkie opowieści ją mają. Na przykład w Gwiezdnych Wojnach George Lucas wykorzystał formułę z książki Josepha Campbella „A Hero With Thousand Faces", gdzie każdy bohater to element większej całości. A ja potrzebowałem formuły komediowej. I podkradłem ją ze słynnego w Wielkiej Brytanii serialu „Steptoe and Son" o ojcu i synu, którzy się wzajemnie nienawidzą. Inspirowałem się również innym serialem, „Minder". Wykorzystałem ten rodzaj relacji ojcowsko - synowskiej. Taki archetypiczny, dynamiczny związek między starym i młodym człowiekiem. Ukko oczywiście nie jest starcem, ale tak się zachowuje, jest okropny, zgryźliwy i zachłanny. W opowieściach fantasy z reguły błazen oszukuje herosa. Ale tu ważnym elementem jest fakt, że Slaine jest od Ukko mądrzejszy. Karzeł tylko myśli, że jest cwany, ale tak naprawdę jest kompletnym idiotą. I to sprawia, że ich relacje są bardzo dynamiczne i zabawne.

Którego z artystów, z którymi współpracowałeś, cenisz najbardziej?
Trudno powiedzieć. Wymienię czworo z nich. Po pierwsze moja była żona, która współtworzyła postać Slaine'a. Zrobić coś z niczego to wielki talent. Potem Glenn Fabry, jego Slaine to trochę pozer, taki wyluzowany i przystojny... Glenn włożył w pracę mnóstwo serca, ale też tworzy bardzo powoli, bo chce, żeby jego dzieło było doskonałe. Następnie Simon Bisley, bo on zdobył nową publiczność, ludzi, którzy podziwiali jego wcześniejsze prace. I wreszcie aktualny rysownik, Clint Langley, bo jego praca wykracza poza to, co zrobili Angie, Glenn i Simon. Wyjaśnię: Simon wykonał niesamowitą robotę, ale w jego rysunkach widać i Lobo, i Conana. Glenn sprawił, że Slaine wygląda heroicznie i przystojnie, ale widać w tym echa Kaznodziei i innych ilustracji rysownika, taki rodzaj niezwykle wyluzowanego kolesia. W pracach Clinta widać tylko Slaine'a. Jest najbliższy temu, jak ta postać miała wyglądać. Więc podsumowując chyba najbardziej cenię Clinta, choć dla innych artystów mam ogromny szacunek. W Polsce nie widzieliście tych odcinków Slaine'a, które odniosły umiarkowany sukces. Jeśli ktoś się nie sprawdza jako rysownik, to brytyjscy fani mają ochotę go zlinczować. I mnie przy okazji też (śmiech). Slaine jest idealny dla artystów z sukcesami, ale bardzo, bardzo zły dla rysowników mniej utalentowanych. Jeden z artystów - nie mogę powiedzieć który - powiedział, że chciał się zabić gdy zobaczył ilustracje Bisleya. I naprawdę tak myślał. Slaine rzeczywiście wywołuje ogromne emocje.

Czy trudno jest napisać komiks dla serii, której się nie stworzyło?
Nie sądzę, żeby to było moje ulubione zajęcie. Przy pracy nad Batmanem bardzo przeszkadzały mi obostrzenia dotyczące serii, np. to, że Batman nie może zabijać. Dlatego piszę z reguły nie zwracając uwagi na wymagania serii, interesuje mnie konkretna opowieść. Dopiero potem umieszczam w niej Batmana czy postaci z Gwiezdnych Wojen. I już nie mogę powiedzieć, że to nie moja historia, bo w jakimś stopniu jest tylko moja.

A czy jest jakiś komiks, do którego chciałbyś napisać scenariusz? Nad czym obecnie pracujesz?
Chciałbym napisać historię o Supermanie, bo wtedy wszyscy by zobaczyli, że tego akurat nie potrafię zrobić, ha,ha! Tworzę serię Marshal Law, której bohaterem jest łowca superbohaterów. I myślę, że potrafiłbym też napisać prostą opowieść o Supermanie, ale nikt nie da mi takiej możliwości. Podejrzewam, że Marshal Law zniszczył moje szanse na pracę przy amerykańskich komiksach, he, he. A obecnie pracuję nad niemieckim wydaniem komiksu Requiem. To bardzo gotycka opowieść, o żołnierzu, który ginie na wschodnim froncie i odradza się jako wampir. Mam nadzieję, że już wkrótce pojawi się także w Polsce.

.:Rozmawiał Kuba Demiańczuk:.

W tym miesiącu wyjątkowo nie wyróżniamy żadnego albumu. Żniwo Międzynarodowego Festiwalu Komiksu w Łodzi było dość obfite i w zasadzie prawie każdy z opisanych tytułów mógłby - w sprzyjających okolicznościach - zostać „komiksem miesiąca". Nie wszystkie godne uwagi nowości udało się zrecenzować, dlatego też jeszcze przez jakiś czas będziemy zaległości nadrabiać. Miłej lektury!



JEŻ JERZY. ŚCIGANY
Skarżycki - Leśniak
wyd. Egmont

Czy wśród czytelników Ślizgu jest jeszcze ktoś, kto nie zna Jeża Jerzego? Jeśli tak, to znaczy, że naszego magazynu nie czyta zbyt uważnie. JJ gości na naszych łamach od samego początku i w tej chwili nie ma w redakcji nikogo, kto pracowałby dla SLG dłużej (i to bez przerwy) niż Rafał i Tomek. „Ścigany" to najnowszy zbiór przygód Jerzego, publikowanych wcześniej na łamach naszego pisma, ale za to z dodatkami. Znajdziecie tu zupełnie nową historię, a także poszerzoną wersję opowieści, która przenosi nas w mroczne początki pracy inspektora Steina i działalności maniakalnego mordercy Przemysława R. Fanów Jeża do kupna komiksu zachęcać chyba nie trzeba. A nieprzekonanym mogę tylko powiedzieć, że zebrane w albumie przygody Jerzego sprawdzają się jeszcze lepiej niż w krótkich odcinkach. (jd)



100 NABOI. STRACONE JUTRO część 2
Azzarello - Risso
wyd. Mandragora

Serię „100 naboi" opisywaliśmy już kilkakrotnie, ale zawsze można raz jeszcze :) Tym bardziej, że ten odcinek jest dodatkowo wart zainteresowania i to z dwóch powodów. Po pierwsze: jak zwykle świetny scenariusz, ale tym razem sporo się w nim wyjaśnia, przede wszystkim rola, jaką w planie agenta Gravesa pełnią Minutemani, dowiecie się też jaki los czeka ich w najbliższej przyszłości (choć znając scenariusze Azzarello pewnie szykuje on jakąś kolejną niespodziewaną woltę). Po drugie: w ostatniej zamieszczonej w albumie nowelce stały rysownik cyklu - Eduardo Risso - po raz pierwszy oddaje kilka plansz innym twórcom. Dzięki temu swoje wizje bohaterów serii mogli przedstawić między innymi Frank Miller i Jim Lee, a to gratka nielada dla miłośników fajnych ilustracji. No i zapowiada się, że w kolejnych tomach będziemy świadkami naprawdę krwawych akcji. (jd)



BATMAN. EGO
Darwyn Cooke
wyd. Egmont

Jeśli ktoś nie ma jeszcze przekonania do tego, że Batman to naprawdę legenda komiksu, powinien częściej sięgać po takie historie jak „Ego". Po samobójstwie jednego ze współpracujących z Jokerem gangsterów, Batmana dopadają ostre wyrzuty sumienia i jednocześnie musi stoczyć jedną z najcięższych walk w swojej karierze. Walkę ze swoją drugą osobowością, jak dotąd skrytą w cieniu prawego i szlachetnego Bruce'a Wayne'a. Czy Batman pragnie krwawej zemsty za śmierć swoich rodziców? Czy jest zdolny zabijać? Wreszcie czy za jego nieustającą wendetą czai się szaleństwo? Na trudne pytania nie ma prostych odpowiedzi, ale też autor komiksu, Darwyn Cooke, nie ma zamiaru wcale ich dawać. Komiks psychologiczny? Na pewno, ale chciałbym jeszcze więcej takich... Przed wami Naprawdę Mroczny Rycerz. (jd)



BLACKSAD. W ŚNIEŻNEJ BIELI
Canales - Guarnido
wyd. Siedmioróg

Długo nam przyszło czekać na drugi tom serii „Blacksad", ale opłaciło się. I to jak! Ten album to jeden z największych kozaków, jakie się w tym roku ukazały. Przypomnijmy: tytułowy bohater to prywatny detektyw, ktoś w rodzaju chandlerowskiego Philipa Marlowe'a. Ma skłonności do ładowania się w przykre sytuacje. Tym razem musi rozwiązać zagadkę porwania małej dziewczynki, w które może być zamieszany szef policji. Na dodatek w całą aferę miesza się rasistowska organizacja (wzorowana na Ku-Klux-Klanie), która coraz silniej domaga się wprowadzenia pełnej segregacji. Nieoczekiwanym sojusznikiem Blacksada w tej ponurej aferze stanie się wścibski dziennikarz Weekly. Naprawdę zajebista rzecz: rysunki są mistrzowskie, scenariusz bardzo dobry (lepszy od części pierwszej), klimat powala na kolana. Klasyczny czarny kryminał w perfekcyjnym wykonaniu. (jd)



HALLOWEEN BLUES tom 1. PRZEPOWIEDNIE
Mythic - Kasprzak
wyd. Egmont

Forester Hill, były żołnierz, obecnie policjant, zostaje oskarżony o zamordowanie swojej żony, gwiazdy Hollywood. Z braku dowodów sąd go uniewinnia, ale mężczyzna nie jest pewny tego, co zaszło, nie pamięta bowiem niczego, co stało się feralnego dnia. W jego niewinność nie wierzy również... zamordowana, której duch regularnie nawiedza Hilla w jego domu. Aż pewnego dnia Forestera odwiedza wdowa po jego przyjacielu, która prosi o pomoc w rozwiązaniu tajemnicy związanej ze śmiercią jej męża. Komiks byłby bardzo dobry, gdyby nie jego wewnętrzne pęknięcie: zaczyna się jak klimatyczny thriller, kończy niczym zwyczajna historia kryminalna. Niewykorzystany (a z czasem zupełnie porzucony) jest wątek nawiedzającego Hilla ducha żony, umykają wszystkie wątki, nazwijmy, nadprzyrodzone. Co prawda Mythic (m.in. scenariusze do serii Alpha) jest sprawnym autorem, więc wszystko zapewne wyjaśni się w kolejnych tomach, ale na razie jakiś niedosyt pozostaje. Za to wszystko wynagradzają świetne rysunki Zbigniewa Kasprzaka. Na potrzeby „Halloween Blues" mocno zmienił swój styl, ale pozostaje w znakomitej formie. To dla jego ilustracji warto album mieć w swojej kolekcji. (jd)



PLASTELINA
Krzysztof Ostrowski
wyd. Graficon

Wydawnictwo Graficon w swoim cyklu „Zarysowane zeszyty" tym razem przedstawia zbiór historyjek stworzonych pod wspólnym hasłem „Plastelina" przez Krzysztofa Ostrowskiego. Autora znacie chyba dobrze, to on jest wokalistą i tekściarzem Cool Kids Of Death, zaś czytelnicy SLG z najdłuższym stażem zapewne pamiętają, że Plastelina pojawiła się również na łamach naszego magazynu. W każdym razie na pewno warto ten komiks przeczytać, bowiem jego zawartość na długo i porządnie poprawia samopoczucie. Ostrowski ma niesamowite poczucie humoru i perfekcyjnie wyłapuje absurdy codzienności, często dorzucając nieco żartów surrealistycznych. Ma też ciekawą, charakterystyczną kreskę, jego prace rozpoznaje się na pierwszy rzut oka. A opowieść o tym jak Hubert Urbański ratuje rodzinę jest po prostu genialna. Rewelacja. (jd)



PODRÓŻNICY
Macleod - Kasprzak
wyd. Egmont

Fajna, lekko nostalgiczna (przypomniała mi czytane ładnych parę lat temu książki Wiesława Wernica) historia. Jej bohaterem jest młody Szkot Bran Macleod, który - wygnany przez Anglików z ojczyzny - trafia na Alaskę, gdzie przyłącza się do dwóch poszukiwaczy przygód: milczącego Kerouaca i jowialnego Grizzly'ego. Tropem bohatera podąża jednak nieustępliwy Fairborough, z którym Macleod ma na pieńku jeszcze z czasów walk w Szkocji. Przyzwoita lektura, w której można znaleźć wszystko, czego spodziewacie się po komiksie, którego akcja toczy się na mroźnej Alasce: od starć z Indianami po polowanie na niedźwiedzie. Fajnie się czyta, przyjemnie ogląda (Kasprzak po raz kolejny udowodnił, że jest bardzo dobrym rysownikiem) i pewnie też szybko zapomina. Ale polecam wszystkim, którzy marzyli w dzieciństwie o poszukiwaniu przygód w odległych krajach. (jd)



RATMAN. O OBROTACH DZIAŁ NIEBIESKICH
Tomasz Niewiadomski
wyd. Kultura Gniewu

Oto nowy superheros: Ratman - narodził się na skutek wypadku w laboratorium, gdy po wybuchu przemieszały się atomy naukowca, szczura i Myszki Miki. Zadaniem Ratmana jest chronić nasz świat przed wszelkiej maści złem. A jego przeznaczeniem jest spotykanie znanych postaci w dziwacznych okolicznościach... Bardzo ucieszyło mnie wydanie ratmanowych historyjek w albumie. Ten komiks, publikowany kiedyś przez Nową Fantastykę, jest bowiem perełką absurdu, mimo swej z pozoru prostej formy jest tworem - niczym jego tytułowy bohater - złożonym z rozmaitych elementów. Znakomite są zwłaszcza te historyjki, do których scenariusze napisał Grzegorz Janusz, choć sam Niewiadomski nie wypada gorzej jako scenarzysta. Słabe są natomiast historie Parowskiego, na szczęście tylko dwie. I na sam koniec albumu ciekawostka: komiks o Ratmanie i Jeżu Jerzym, narysowany przez Tomka Leśniaka. Polecam. (jd)



PRZYGODY TINTINA. BŁĘKITNY LOTOS
Herge
wyd. Motopol

Cykl o przygodach dzielnego i dociekliwego reportera Tintina już kiedyś wam na łamach Ślizgu polecaliśmy, ale ponieważ komiksowej klasyki sprzed lat wciąż u nas brakuje, to z radością oznajmiam, że właśnie ukazały się dwa kolejne tomy serii. Oprócz „Błękitnego lotosu", którego okładkę widzicie obok, są to poprzedzające go „Cygara faraona". Tintin ma tendencję do ciągłego wpadania w tarapaty, a zagadki, które rozwiązuje, rzucają go we wszystkie możliwe części świata. Oczywiście z każdej opresji wychodzi obronną ręką, dzięki własnemu sprytowi oraz pomocy przyjaciół i wiernego psa Milusia. Do niezliczonych przygód dorzućmy galerię barwnych postaci drugoplanowych (z nieudanymi agentami Tajniakiem i Jawniakiem na czele) i mamy porządną, zabawną lekturę, będącą kawałkiem historii komiksu. A że całość jest czasami prosta i bardzo naiwna? No i co z tego! Dla mnie bomba. (jd)

Jeż Jerzy

txt: Rafał Skarżycki gfx: Tomasz Lew Leśniak







NO, BA! NIE DZIWOTA JAK SIĘ BADZIEWNEGO SPRZĘTU DO PĘDZENIA BIMBRU UŻYWA...

EKSPLOZJA NISZCZY LABORATORIUM, A PROFESOR M. ZABIERA TAJEMNICĘ SWOJEGO WYNALAZKU DO KRAINY WIECZNYCH ŁOWÓW...

ALE JEBŁO, STASIU...

JEBUDU!





TRZEBA PRZYZNAĆ, ŻE BESTIA SZYBKO WZIĘŁA SIĘ DO ROBOTY...

I MÓWI PANI, ŻE ZANIM ZDĄŻYŁA MU SIĘ DOBRZE PRZYJRZEĆ...

...A TAM PRZYJRZEĆ! NIE ZDĄŻYŁAM NAWET CENY WYBĄKAĆ A JUŻ BZYKNĄŁ MNIE I ZWIAŁ...

...NIE OSZCZĘDZAŁA NIKOGO...

AAAA! RATUNKU!!!

UWAŻAJ! MAM IMMUNITET!

PATRZ PAN! A CI TYLKO PIEPRZĄ I PIEPRZĄ...

AA... SZKODA GADAĆ...

BZZZZZZZZZZZZZZZZZZ

STRAŻ! WEZWAĆ STRAŻ MARSZAŁKOWSKĄ!

DLATEGO NIE NALEŻY SIĘ DZIWIĆ, ŻE NA KOLEJNĄ OFIARĘ UPATRZYŁA SOBIE...

JEŻA! TYM RAZEM BZYKNĘ JEŻA!

...W ZGODZIE ZE SWOJĄ NATURĄ NATYCHMIAST PRZYSTĄPIŁA DO REALIZACJI PODŁEGO PLANU...

CO DO...

BZZZZZZZZZZZ

...ZAALARMOWANY PODEJRZANYMI DŹWIĘKAMI JERZY ZDĄŻYŁ SIĘ JEDNAKOWOŻ OCKNĄĆ I...

SHIT!

UDAREMNIĆ JEJ ZAMIARY...

ŻEB

CHOLERNE OWADY! SPAĆ CZŁOWIEKOWI NIE DAJĄ!

TAK OTO DZIĘKI JERZEMU STOLICA MOGŁA ODETCHNĄĆ Z ULGĄ, ON ZAŚ MÓGŁ Z POWROTEM ODDAĆ SIĘ W RAMIONA MORFEUSZA - NIECNY MUTANT ZOSTAŁ UNIESZKODLIWIONY, PROFESOR M. ZAKOSZTOWAŁ UROKÓW RAJU, ZAŚ ŻYCIE NA ZIEMI STAŁO SIĘ BEZPIECZNIEJSZE I NIKT JUŻ NIKOGO NIEPOSTRZEŻENIE NIE BZYKNIE... NO, PRZYNAJMNIEJ TEORETYCZNIE - NA WSZELKI WYPADEK WARTO MIEĆ JEDNAK PACKĘ POD RĘKĄ...



DĄBROWA GÓRNICZA
(32) 261 49 18
SOBIESKIEGO 15
www.wuteele.prv.pl





BADOMAD
BYDGOSZCZ GALERIA POMORSKA
GDAŃSK CENTRUM ALFA



MASTERS
ul. Rynek 37 39-200 Dębica

MOUHA-DOBRY SKLEP
HIP HOP & SKATE SHOP IŁAWA
648 97 41 0606 69 26 59
SOBIESKIEGO 16C (obok " Budowlanki")



"C4" SKATESHOP
06-400 CIECHANÓW
UL. PL. KOŚCIUSZKI 12 A
TEL. 607-989-211
ZAPRASZAMY



Pan Krok
SKATEBOARDING
GDAŃSK WRZESZCZ, PARTYZANTÓW 6/12 (C.H.BIS)
BOX 109, tel. 761-29-05
PON.-PT. 11-19 SOBOTA 11-15

SKATE SHOP od 1993
Warszawa, ul. Rakowiecka 9, tel. (22) 849 42 45
Poznań, ul. Wielka 11, tel. (61) 853 29 50







BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17, 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36







www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Narutowicza 27
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 31, Wolności 18



9-300 Ełk ul. W.Polskiego 13, tel./fax (0)87 6215387, www.anagram.elk.pl



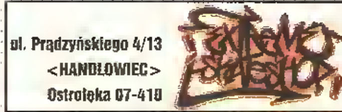




Szczegółowe informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07,
e-mail: magazyn-slizg@o2.pl



ul. Prądzyńskiego 4/13
<HANDLOWIEC>
Ostrołęka 07-410



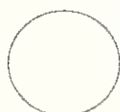
nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
15001777-121770066518
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

W P waluta PLN kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne + koszt przesyłki

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
15001777-121770066518
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3	6	12	miesięcy
17 PLN	35 PLN	66 PLN	



opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 15001777-121770066518

W P waluta PLN kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata: na okres od miesiąca numery archiwalne + koszt przesyłki

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO



Sławek Gliński

Sławek "Stevie" Gliński jest skateboarderem od zawsze. Od kiedy pamiętam zawsze krążyły o nim jakieś "legendy" powtarzane przez innych. Dlaczego? Ano dlatego, że zawsze miał on swoje wyobrażenie o deskorolce, na ten temat miał swoje własne zdanie i bez reszty się temu poświęcił. Jest on pionierem hard core'owego skateboardingu w Polsce, zawsze kręciły go wielkie schody, poręcze i wysoki poziom adrenaliny. Co ciekawe, rzadko można go zobaczyć na jakichś filmach, czy w gazetach - bardzo często jeździ on sam i w samotności kaluje triki. Ten styl jazdy był przyczyną mnóstwa kontuzji, było to powodem kilku przerw, które musiał on przeznaczyć na rekonwalescencję. Jednak mimo tego nie poddał się i dalej jeździ na desce. Jego sponsorami są R i Nervous. Oprócz skateboardingu Stevie jest urodzonym filozofem, zaowocowało to ukończeniem studiów na tym kierunku i bardzo ciekawym podejściem do życia. Lubi on rozprawiać na różne tematy i jest bardzo ciekawym rozmówcą. Przeczytajcie co napisał skater - filozof Sławek Gliński.

Kiedy przyglądam się sobie i innym ludziom bezpośrednio zaangażowanym w takie extrema jak np. jazda na deskorolce, zastanawiam się skąd bierze się w człowieku dążenie do realizacji w działaniach ryzykownych, przeczących zdrowemu rozsądkowi, który podpowiada by niebezpieczeństw unikać. Otóż myślę sobie, ze sekret atrakcyjności deskorolkowania, stawiającego umysł i ciało w najwyższej gotowości, tkwi w tym, iż pozwala niejako pośród wierszy uchwycić autentyczną relację pomiędzy moim podstawowym pragnieniem jedności z samym sobą, a tym, jako kto owo pragnienie realizuję. Deskorolkowanie rzuca blade światło na toczącą mnie nieuniknioną wewnętrzną konieczność, fundamentalne uwarunkowanie, odsłaniając tym samym choć zarys tego, kim jestem. Dla mnie taka wiedza to prawdziwy skarb, nie żeby tak trudno się było do niej dokopać, tylko zbytnio pokryta jest osadem poukładanej codzienności. Ponadto jazda na deskorolce, traktowana poważnie, jest jakimś radykalnym działaniem, działaniem autentycznym, bo usankcjonowanym realnym cierpieniem (upadki, kontuzje, rehabilitacje i takie tam), stawiającym pod znakiem zapytania stworzona przeze mnie na swój użytek wizje siebie. Ów radykalizm, przesiąknięty anarchią, przejawiającą się w nieustannym wystawaniu poza kulturą (w wąskim znaczeniu jako porządek określonych wyobrażeń na temat świata i związane z tym porządkiem obyczaje), w przygotowaniu na nieustanne ryzyko, jest jakby umieraniem dla kipiącego gdzie indziej życia, będącego zapomnianym fundamentem współczesnych struktur. Próżno szukać w świecie poznania dyskursywnego, w świecie gdzie wszelka indywidualność sprowadzana jest do zachłannej tożsamości postrzegającego i zrozumienia dla ekstremalnych zachowań, jednocześnie dla samych zainteresowanych takie działania aż ociekają znaczeniem najwyższej jakości.

W kontekście powyższych wynurzeń hasło „skate and destroy" nie oznaczałoby bezmyślnego niszczenia, okazywania głuchej i ślepej siły, lecz przebijanie sobie wyjścia z bezdennej studni istnienia, bezmiaru postaci możliwych albo komicznych do przyswojenia, oznaczałoby zgłoszenie pretensji do potwierdzenia przez świat naszej niepowtarzalności, która w zamkniętym systemie pojęć może stać się niepowtarzalnością tylko z nazwy, niepowtarzalnością ograniczającą się do istnienia w dokumentach, literaturze, rozmowach. Użyte przez mnie słowo anarchia dotyczy wyjątkowości osoby nie zaś jakiejś nieograniczonej swawoli, totalnej olewki.

Poskładane wcześniej zdania nie są apoteozą skateboardingu. Zdaję sobie sprawę, że mógłby się pod nimi podpisać niejeden tzw. czubek, walczący ze sobą o siebie przy pomocy innych narzędzi, niekoniecznie deski na kółkach. Deskorolkowanie jest przecież jedynie jedną z form w jakiej człowiek może zaistnieć dla siebie i dla świata, nawet ten zdeterminowany do tego typu działań. Niestety często zbyt szybko i zbyt szczelnie zrastamy się z ukutą przez nas i podsycaną przez innych wizją siebie jako skejterów, co wyłazi gdy się wściekamy po nieudanym tricku, albo się wozimy kiedy sprawy biegną zgodnie z naszym planem. Oczywiste jest, że bycie człowiekiem nie może zamknąć się w nieskończenie mniejszym zbiorze jakim jest bycie skejterem, dlatego nazywanie siebie deskarzem, czczenie siebie jako deskarza jest jakimś nieporozumieniem, niezrozumieniem, albo dezercją od tego kim jestem poza jazdą albo poprzez jazdę. Wystarczy sobie zadać pytanie kim jestem, gdy zdrowie nie pozwala na deskorolkowanie? Nie jestem już przecież skejterem, bo nie mogę jeździć. Kim zatem jestem? Jestem człowiekiem, który równie dobrze może odnaleźć się w świecie robiąc inne rzeczy.

Skupienie się wyłącznie na deskorolkowaniu, będącym jedynie połową indywidualizacji bytu, a więc etapem na drodze do swego człowieczeństwa, nie pozwala wyjść poza orbitę egoizmu gdzie niepodzielnie panuje „ja", gdzie każdy akt jest kolejnym objawem miłości własnej.

Dla mnie osobiście jazda na desce ma sens o tyle, o ile jest pochwałą mocy i łaski Boga oraz pomostem do drugiego człowieka.

.:Sławek Gliński:.

SPROSTOWANIE

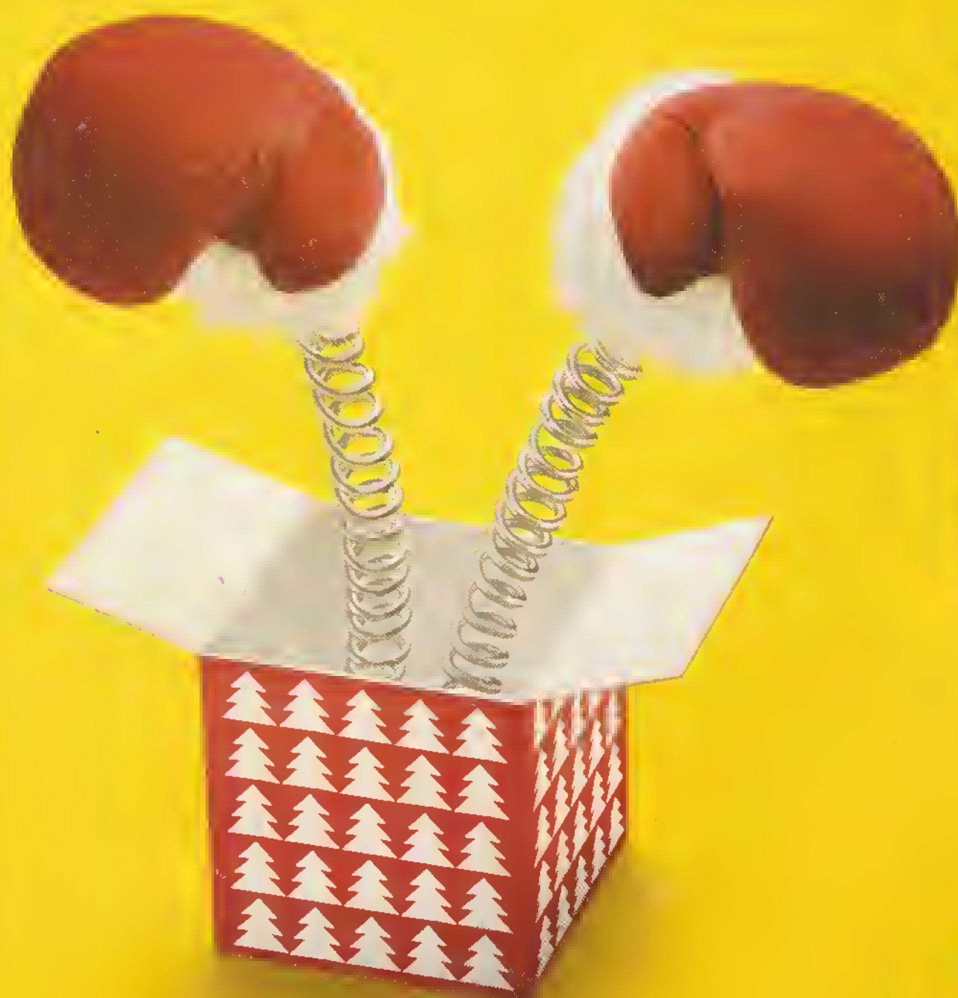
Wyrazy lubią znikać z różnych dokumentów, ostatnio to dosyć modne. Ale chociaż ja nie podążam za modą, to jednak przez przypadek „zniknąłem" jedno słowo („tylko") z ubiegłomiesięcznego Hajdparku. Ze wstępu wynikało jednoznacznie, że Rafał Skarżycki nie jest autorem przygód Jeża Jerzego, ale (o zgrozo!) stały się one jego największym sukcesem. Zdanie miało brzmieć: „Skarżycki nie jest tylko autorem JJ...". I teraz to potwierdzam, Rafał zdecydowanie JEST i zawsze był współautorem komiksów o Jerzym (i wielu innych historii). I nie zmienią tego niecne (choć niezamierzone) insynuacje dziennikarskie. Rafała, czytelników i Jeża przepraszam. Kuba Demiańczuk

UWAGA!
RUBRYKA AUTORSKA NIECENZUROWANA


OLD'S COOL
BLACKZONE®
NU SKULL



DRUGIE TYLE



Sagem MW3026

199 zł

242,78 zł z VAT



Samsung C100

- Kolorowy wyświetlacz
- Polifoniczne dzwonki



SuperStartPOP

Płacisz 40 zł,

a dostajesz 90 zł



powyższe ceny zawierają VAT

Dostajesz Drugie Tyle

Drugie Tyle na Święta i po Świętach też. Przez pół roku będziesz co miesiąc dostawał w prezencie od Idei POP drugie tyle na rozmowy i SMSy, ile wydałeś w poprzednim miesiącu. W POPie minuta rozmowy już od **24 groszy**/ 29 groszy z VAT, a SMS od **16 groszy**/ 20 groszy z VAT.

Informacja Handlowa: 0 801 234567; Koszt połączenia: 1 jednostka taryfikacyjna wg cennika TP SA; www.idea.pl



Łączy Cię z ludźmi